



WYBÓR POWIEŚCI
J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYDANIE TANIE)

Serya II.

T. 21.

BRACIA RYWALE.

OBRAZY SPOŁECZEŃSTWA WIEJSKIEGO
z XVIII-go WIEKU

WARSZAWA
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA

1884.

WYBÓR POWIEŚCI
J. I. KRASZEWSKIEGO.
(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

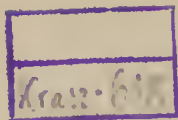
Tom dwudziesty pierwszy.

BRACIA RYWALE.

OBRAZY
SPOŁECZEŃSTWA WIEJSKIEGO
Z XVIII-go WIEKU
PRZEZ
J. I. KRASZEWSKIEGO.



WARSZAWA.
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.
—
1884.



Довволено Цензурою.
Варшава, 13 Сентября 1883 года.



I.

Dawno to już temu. na probostwie w Borusławicach. w Lubelskiem. (na mappie ich nie szukajcie) — siedział ks. Celestyn Paczura. Nie wiem, jak tam dziś jest, wówczas było to sobie, ot — miasteczko. jakich u nas wiele. Kościół pod inwokacją Św. Florjana, patrona od ognia. murowany, sięgał piętnastego wieku, choć w późniejszych kilka razy był przerabiany, czego ślady na nim zostały. Plebania też. szpital przy niej i szkoła, wszystko było murowane i stare. Z Firlejowskiego jeszcze nadania do probostwa należały znaczne grunta, łąki i lasu kawałek, które dobry folwarczek składały. ale że na to nikt niełożył, a szło zawsze dzierżawą, nie wiele z tego mieć było można.

Ks. Celestynu Paczura, który od wikaryusza tu siedział. a teraz był proboszczem, człowiek dobroci osobliwej. spokojny na podziw. serdeczny. a można było rzecz, że nieprzyjaciela nie znał. Naówczas musiał mieć lat pięćdziesiąt i kilka.

Jak kościół za starym cmentarzem. tak i probostwo za swemi zabudowaniami. nieco było za miasteczko wysunięte. Droga tedy wielka prowadziła do Lublina; kilka mizernych domków za kościołem jeszcze stało nad nią, ale życie miejskie skupiało się głębiej około rynku.

• Około probostwa cicho było i spokojnie. chyba gdy na targ tygodniowy, albo na cztery doroczne jar-

marki, większy zjazd się trafił — naówczas tedy ludzi więcej i wozów się przesunęło. Na Św. Floryana też 4 Maja. dla odpustu koło kościoła gwarno było. bo na ten dzień z Rzymu miał ołtarz wielkie indulgencje. Na małym wzgórku, wśród lip i klonów już starych, stała murowana plebania, obszerna dosyć i wygodna. Dziedzińce wszystkie, tak jak cmentarz murem były obwiedzione. Ku drodze do muru przyparty stał szpital, ze zwykłym obrazem przedstawiającym Łazarza, któremu psy rany lizają i z wielkim krucyfiksem u drzwi. W tem samem podwórzu z plebanią była i szkołka, i kuchnia proboszczowska. i pomniejsze zabudowania dla chudoby. Wszystko to cechy nosiło nie dzisiejszego wieku. mury były grube. niskie, kominy potężne, okna małe. kraciaste, a większa część izb miała sklepienia.

Wprost dziedzińca furtka wiodła na cmentarz. gdzie się dawniej grzebano. i po dziś dzień wiele grobów i kamieni pozostawało, a nieboszczykom pokoju zakłócać nie chciano. bo się trafiało, że kopiąc grób nowy. stare kości i szczątki trumien dobywano — nowy cmentarz trochę opodał założono. Tamten już. nie murem, ale parkanem był obwiedziony, i poznać można było łatwo. że w uboższych powstał czasach, — którym stało na mury gorzelni i obór, ale na rolę Bożą zabrakło.

Na starym cmentarzu przy kościele, zaraz od wujścia z probostwa. stała wielka w XVII wieku fundowana dzwonnica. w której oprócz wielkiego dzwonu, Floryanem zwanego, wisiało jeszcze trzy mniejsze..

Tuż i kościół za szkarpami swemi rozsiadał się wygodnie. przy którym dwie były kaplice, także późniejszymi czasy dostawione.

Budowa była mocna i piękna, częściami, jak to z okien znać było, z XV wieku. częściami z późniejszych. Wieżyczkę z sygnaturą i większą nad chórem organowym, już późno wzniesiono. i te miały cechy nowsze. A że kościołowi szczęściło się zawsze z pro-

boszczami, którzy się o dom Boży starali, aby go utrzymać pięknie. dziwnie się tu wiele rzeczy zachowało, mimo wojen, zawichrzeń i różnych kraju losów. Poszło to pewnie tak tradycją od pierwszego, co tu siedział po ufundowaniu, a którego imię nawet w wizytach kościelnych nie pozostało, — następcy wstydzieli się okazać mniej dbałymi i duch jednego gorliwego człowieka, choć pamięć jego zagasła, żył w pokoleniach następnych.

Można powiedzieć, że od progu począwszy. było na co popatrzeć i czemu się dziwować...

W samem wniściiu kazał się pochować jeden z fundatorów. obyczajem wieków pobożnych. jak się to naówczas często trafiało, na kamieniu nie dopuszczając wyryć imienia swego nawet. tylko słowa pokorne:

Hic jacet peccator— .

O rate pro eo.

(Tu leży grzesznik — módlcie się za niego.)

Z tych wyrazów, które lat więcej dwóchset ścierały nogi pobożnych parafian. ledwie teraz ślad pozostał...

W sklepionej kruchcie pod chórem. w prawo u murowanego słupa. stała bardzo stara kamienna chrzcielnica. w kształcie wielkiej czaszy. na nieforemnej podstawie. Na bokach jej też napisy były i godła nieczytelne. ale poważna starszka. choć nie piękna. poszanowanie obudzała. Ileż to rąk. z których już i kostka nie ocalała. czerpało z niej wodę święconą! W kruchcie były na prowo drzwi do składu, w którym się pogrzebowe przybory, katafalk. drewniane lichtarze i stopnie mieściły. z wielu innemi odwiecznemi gratami. Tu chowano i rycerzy drewnianych wielkopiątkowych. i wszystko. co do tego obchodu służyło, i stary żłobek wystawiany na Boże Narodzenie. W lewo wschody wiodły na chór do organów. także na klucz zamykane, aby się nie wszyscy tam cisnęli. Było to łaską organisty. komu dał wstęp na górę. a nie każdy jej mógł dostąpić. W kruchcie stanawszy. cały ów kościółek można obejrzeć było, który, choć nie

wielki, pięknymi proporcyami się odznaczał. Sklepienie wsparte na słupach, łukowate, dochowało się bez uszkodzenia... Słupy tylko dawniej gotyckie później poprzebierano modniej i nie bardzo się godziły ze sklepieniem. Nowszą była ambona rzeźbioną z drzewa. i ołtarz wielki. cały złożony, z figurami Św. Florjana, Wacława i Wojciecha a Stanisława. Dawniejszy szafasty, gdy się spak zmienił usunięto na lewo, ale pozostał w całości. Nie było to arcydzieło, przecież w nim i kunsztu i uczucia więcej może czuć się dawało. niż w nowej strukturze. pokątniejszej a zimnej...

Po nad kratką, która prezbiterjum oddzielała od kościoła, w górze też znajdowała się dawna z piętnastego wieku Tęcza. z Chrystusem na krzyżu i figurami Matki Boskiej i Św. Jana. Zaraz poznać było łatwo. iż one z ołtarzem na lewo w pokrewieństwie zostawały. Szafasty ów ołtarz nalewo mieścił N. Panne. w prawo nowszy odpowiadający mu Św. Antoniego Padewskiego. Stalle w prezbiterjum z drzewa dębowego ostały się stare, tylko części ich niepotrzebnie ktoś olejno pomalował. U ścian w lewo był cały szereg grobowców kamiennych i marmurowych, a z tych część tylko herbami bez napisów się odznaczała, na prawo też znajdowało się ich parę. Drzwi dwoje. żelaznych, przezroczystych, przedziwną robotą slusarską, wiodło z obu stron do przybudowanych kapliczek.

Ławy i konfessyonały stare się uchowały, wiele przy nich chorągwi zblakłych i formy nie dzisiejszej, po lat dwieście liczyło. Utrzymanie staranne dało im to długie życie. Przypatrując się z bliska. co krok się spotykało pamiątkę ciekawą... W posadzce kamienniej z napisami grobowemi minąć się nie było podobna. Niektóre z nich wmurowane były w słupy, inne w ściany... Ex-votów. malowanych tabliczek, obrazów zapylonych mnóstwo się spotykało wszędzie. Co dopiero mówić o zakrystyi. ornatkach i o małym skarbcu. gdzie w skrzyniach i ksiąg i graduałów i chóralów

pełno było... Żaden może mały kościółek na prowincji takiego nie miał zapasu monstrancji i pacyfikałów, kielichów. relikwiarzy. począwszy od piętnastego wieku. W czasie wojen szwedzkich kilkakrotnie uwożono te skarby do lasu. zakopywano je. a ks. proboszcz Derszniak, któremu nogi przypiekali Szwedzi nad wolnym ogniem, zmuszając go do powiedzenia, gdzie pochował kościelne rzeczy, został kaleką na całe życie, aby te drogie pamiątki ocalił...

Proboszcza tu nigdy o nic głowa nie zabolala. a gdy się zjechało duchowienstwo na odpust, czy na pogrzeb. nie potrzebowało z sobą kielichów przywozić —zawsze ich dosyć miała zakrystja... Toż samo z ornatami. z których jeden perłami szyty leżał w pokrowcu. mało kiedy używany, drugi z figurą Chrystusa rzeźbioną i haftowaną i herbami fundatorki, tylko się ciekawym pokazywał. Gdy przyszło z asystencyą celebrować. i kapy i ornaty dobrane występowały, że nieraz bogatsze kościoły zazdrościły Borusławicom. Ale tu nie było proboszcza i nie było dziedzica. ażeby more antiq uo coś nie przyłożył do tej żywej kroniki... W szufladach leżały te karty pobożne. jak historia wieków trzymających się za ręce. i kroczących drogami jednemi...

Teraźniejszy proboszcz ks. Celestyn Paczura tak się kochał w swoim kościółku jak ks. Derszniak, który dlań nogi utracił. Wizerunek tego męczennika. który później o kulach mszę świętą odprawiał, wisiał dotąd w zakrystyi z opisem łacińskim całego wypadku. Szwedzi cierpliwością proboszcza przerażeni, bo się im nadludzką wydawała—porzucili go i uciekli, a włoscianin znalazłszy odwiózł do Lublina. gdzie u Ś. Ducha przeleżawszy kilka miesięcy. ks. Derszniak do zdrowia powrócił. i żył jeszcze lat piętnaście.

Do grobowców starych w ścianach i na posadzce co to się tam różnych pódan wiązało. które z ust do ust przechodząc. przyozdabiane, poetyzowane stały się tkaniną fantazyi pobożnych na wątku przez rzeczywistość dostarczoną !... Jeden dziadus podawał dru-

giemu, zakrystjan następcy...—a gdy historya dwa pokolenia przeżyła... jak mur była mocną...

Ks. Celestyn Paczura, choć się niby z mieszczańską zwał. szlachcic był czystej krwi. ale z tej małej. ubogiej szlachty. co nigdy na wierzch nie umiała. czy nie chciała wypłynąć. — W Lubelskiem Paczurowie Ostoje mieli wsi kilka. jeszcze niedawnemi czasy. Brat ks. Celestyna. pan cześnik Medard Paczura trzymał kawał ziemi dziedzictwem. lecz nie pilnował gospodarstwa i marno to poszło. Żona zmarła ze zmartwienia. dzieci się przy klucznicy wychowywały. aż p. Medard. który nienastannie jeździł. sejmikował. służył wszystkim oprócz siebie. zmarł w samą porę. gdy już mu i to. co zostało a wisiało. zabierać miano.

W spadku po nim ks. Celestyn wziął dwóch chłopaków. o rok tylko wiekiem się różniących... których mu owa klucznica płacząc odwiozła... bo nikogo na świecie. prócz tego stryja nie mieli. Trzeba było znać skład domu i gospodarstwo proboszczowskie. żeby zrozumieć. jakim to ciężarem mogły się stać dwie gęby młode... Wprawdzie probostwo miało niby folwark. zwany Plebanką. o którym wspominaliśmy. lecz z tego niewiele było pociechy. Trzymał go od dawna ubogi człek obarczony familią. niejaki Hollowicz. szlachcic zamaszysty. gadatliwy. umiejący proboszczowi biedę swą w strasznych przedstawiać kolorach. Ten. sam Bóg wie. czem i jak się proboszczowi za dzierżawę wyplacał. Rzadko się ks. Paczura z groszem obaczył. Dostawiano po trosze zboża. owsa. grosz wpływał kapanią—nie było z tego pożytku. Dochody kościelne szły na kościół i jego utrzymywanie. Dostyc ze ksiądz biedę klepał. ale ks. Paczurze łatwiej ją było znosić niż komu innemu. bo nie wiele dla siebie potrzebował — a pogodę i wesołość miał taką w duszy. że mu jej nie. chyba cudze nieszczęście zamącić mogło.

On sam. przy wielu postach a bardzo skromnem życiu. obchodził się małym; zapraszało go też to tu to owdzie często. więc głodnym nie bywał. Nakarmił tylko kościelne sługi i wymaganiom ich uczynić za-

dosć. kłopotem było niemałym. Stara klucznica Magdaleną, wiecznie zajęta. śpiesząca się i stękająca. nie miała od nich spokoju. i nie dawała go też ks. Paczurze.

Na wikcie proboszczowskim był organista Matlachiewicz. człek daleko więcej wymagający od samego proboszcza. bo się miał za znakomitego męża, co nieledwie z łaski na małym organie bornsławieckim grywać raczył.—Temu i piwo codziennie być musiało i—jak tylko nie post, mięsa kawałek koniecznie. Nie tylko z klucznicą się o to do upadłego wadził. ale i ks. Paczurze dojadł raz nie jeden. A pozbyć się go nie chciał. bo co miał dobrego to głos donośny, czysty. że gdy zaśpiewał, miło było posłuchać. Wiedział o tem dobrze Matlachiewicz i korzystał, wielkim będąc dla proboszcza ciężarem. Nieraz też zabałamuciwszy się w miasteczku i na chór się opóźnił, i z głową zaproszoną na nieszpór przychodził. co ks. Paczurze wielce było niemiłym. Ale znosił.

Zakrystjan, kulawy Mamert, nie był tak wymagającym, ale mrukliwym, gderliwym. szukającym utrapienia. Dolegało mu coś zawsze, a gdy biedy nie stało. przeczuwał ją, domyślał się i prorokował. Taką miał naturę. Ten znów do kościoła i jego porządku przywiązany był nadzwyczajnie, godziny nie chybił i nikomu jej nie dał zapomnieć. kręcił się dzień i noc. zamiatał. sprzątał—zbierał. chował. przesunął. liczył i chwili nie próżnował. Gdy na lawie siadł już po nocy. to stękał a narzekał, że mu się gęba nie zamykała. a człowiek był dobry z kośćmi. On i Matlachiewicz żyli jak pies z kotem, i to też nie było dla proboszcza przyjemnem. bo ich ciągle godzić i sądzić musiał. Jeden na drugiego intrygował, cierpieć się nie mogli. A oba byli potrzebni!

W szpitalu pod Łazarzem siedzieli jeszcze Wiciha stara babka. pobożna, milcząca. trzęsąca się już od wieku. bo utrzymywała. że ma lat sto blisko. i dziad. przygarbiony. z głową nieco krzywą. Hruszka... Nie był to zły człowiek—ale pił. Od tego na-

łogu nie go wstrzymać nie mogło. Zarzekał się kilka razy, i nie wytrzymał. Wszelako zasygnować i do dzwonu pójść, kościółek zamieść, posprzątać kulawemu Mamertowi pomagał.

Gdy się to wszystko do kupki zebrało, oprócz organisty, który był człek pokąźny, kulawy Mamert, trzęsąca się Wicicha, z przekrzywioną głową Hruszka, a w dodatku tak zwany głupi Bartoch, który nie mając tu żadnej oznaczonej funkcji, wisiał przy plebanii,—ks. Paczura nazywał ich swoją komendą inwalidów.

Głupi Bartoch służył do wszystkiego w plebanii, dla tego że nigdzie indziej niktby go był nie zniósł. Spójrzawszy nań, widać było zaraz w nim zawałidrogę. Na bardzo niskich, grubych nogach, krótki w sobie, ramion szerokich, z głową ogromną, jakby hydrocefal, najeżonym włosom, małemi oczkami, oddętymi wargami, z wejrzeniem osłupiałem, jękającą się mową, Bartoch mało co rozumiał, mówił źle i trudno, tyle tylko że do rąbania drew, noszenia wody i na posyłki się przydawał. Do wielkiego też dzwonu można go było postawić czy na sunnę, czy w czasie pogrzebu, nie ustal nigdy. Owszem, coś się z nim takiego naówczas działo, że gdy chwycił za sznur, w początku zwolna się poruszał, potem coraz żywiej, a gdy podzwonne trwało, wpadał w jakiś szal, walił coraz gwałtowniej i oderwać go w końcu było trudno. Ciekł mu pot z czoła, wargi wisiały, oczy wychodziły na wierzch — z jakąś rozkoszą machał, rzucał się, miotał, i gdyby mu z rąk sznura nie wydarto, na śmierćby się zadzwonił.

Potem zwykle zaraz pod dzwonnica jak padł w trawę, leżał długi czas, nim do siebie przyszedł i zwłókł się powoli do kuchni... Dzięki był na pół człek — nie trzeba go było drażnić, bo gdy się wściekł na kogo, Boga i ludzi zapominał -- acz to się rzadko trafiało.

Wszystka ta ludność z rąk księdzu proboszczowi patrzała, nie tylko ich nakarmić, napoić, ale i odziać

było trzeba. a że się to koło kościoła kręciło, musiała odzież być od ludzi, zwłaszcza w dni świąteczne. .

Na probostwie teraz nie było wikariusza. obchodzić się bez niego musiał ks. Paczura, bo i sam. będąc wikarym jeszcze. z powodu długiej choroby swojego poprzednika—obsługiwał parafię bez pomocy niczyjej. — Różnie bywało. — Ale koniec z końcem się schodził przy Bożem miłosierdziu.

Mieszkania było dosyć — a jak teraz nawet — nadto. Na probostwie, wszedłszy w sieni. która była dostatnia, (ztań drzwi szły do lochu) — w lewo była jedna izba sklepiona tak duża. że w czasie stypy do chleba żałobnego osób w niej trzydzięści sięść mogło wygodnie, i jeszcze się było gdzie obrócić.

Jak za dawniejszych proboszczów tak i teraz ozdób tu żadnych nie było... Stołów trzy z sobą zestawionych, ław kilka i stołków. u drzwi zamczysta szafeczka niska, na ścianach Chrystus ukazujący bok rozdarty, Matka Boska bolesna naprzeciw. piec kaflowy zielony z ławą—i wszystko. Okna małe. w murze grubym, dwa nawet z błonami ołowianemi. nie wiele światła wpuszczały.

Ztań do średniego pokoiku, gdzie był ołtarzyk domowy w kąci, wchodziło się ciasnemi drzwiczkami. a przeszedłszy przezeń tuż i sypialnia ks. Paczury.

Łóżeczko małeńkie, twarde, dwa kufry, stół. na nim brewiarze. agendy i książek kilka — nad łóżkiem palma i gromnica. obrazki świętych... nic i tu więcej. Ks. Paczura mało żyjąc w domu. nie przywiązując się zbytnio do niczego, oddając. co miał z wielką radością, nigdy żadnego zapasu mieć nie mógł, ani się oń starał.

Za sypialnią dawni proboszczowie miewali skład. murowaną izbę z oknami kratą obwarowanemi. ale ks. Paczura nawet go nie zamykał. bo tu tak jak nie było. chyba się łom jaki zawieruszył. Klucze u niego w ogóle nie ua wiele służyły.

Na przeciwko mieszkania proboszcza, było dawne wikaryuszowskie, teraz nie zajęte. Byłby je pew-

nie sobie przyswoił Matłachiewicz. bo mu tu wygodniejby było i przyzwoiciej. ale nie chciał być tak bardzo na oku. Wolał więc od tyłu, gdzie osobny wchód miała izdebka mniejsza. zajmować ją. A nie wiele i w niej gościł. bo jeśli nie w kościele, najczęściej był na wieście. u znajomych. albo i w szynku. Wikaryuszowskie mieszkanie, dwie izby. stało niemal puste. na różne służąc nżytki. Bywało, że tam i gościa. gdy się trafił — ulokowano.

Na folwarku mieściła się klucznica stara. miał izbę Mamert. a kąt jakiś Bartoch. Ten jednak niekiedy się przespał w szpitalu. czasem na dworze — bawiało że u żyda w szabas. bo go i tam do światła najmowano. Ani pościeli, ani schronienia stałego nie miał.

Taki był skład dworu ks. Paczury, gdy mn na chłopskim wózku. spłakana klucznica. przywiozła dwóch chłopaków. prawie równego wzrostu. żółtych. chndych, z najeżonemi głowami. Byli to synowcowie jego: — Wacek i Wicek. Biedne dzieci głodne. wystraszone. spłakane, zziębłe. stały u progu, w odar tych kaftanach i drżały...

Spodziewał się ich już ks. proboszcz. ale w pierwszej chwili, ujrawszy tak strasznie zbiedzonych. wylekłych. zmizerowanych. łzy mu się w oczach zakręciły. Kazano im w rękę całować i do nóg stryjowi padać — nie dopuścił do tego i obu wyściskał. a słowa jakos zrazu wyrzec nie mógł. Dopiero nie rychło tchnął i uśmiechając się zawolał:

— Niech będzie Bogu chwała! Nauczy się to mini strantury i do mszy będzie służyć, aż miło!!

Pierwsza mu myśl przyszła o tej służbie Bożej.

Na folwarku. jak tylko dojrzano. że się wóz zatrzymał przed bramą i chłopców poprowadzono na probostwo — zbiegło się przez ciekawość, co żyło. Najprzód nadeszła. może najwięcej interesowana Magdalena klucznica. dla której nowy ciężar przybywający. dostarczał do gderania i narzekani obfitego materiału. Z załamaniem rękami już przez sieni kroczyła. Dążył

za nią kulawy Mamert, nie mniej kwasny od niej i zgryźliwy; ze szpitala ciągnął powoli Hruszka, nie śmiejąc wchodzić, ale czyhając, by się czegoś dowiedzieć. Widząc, że wszyscy gdzieś idą, wpadł nie pytając po co i czego głupi Bartoch, i drzwi nawet za sobą nie zamknął, choć to była jesień i powietrze już ciągnęło dosyć chłodne.

Otoczyli wszyscy dzieci, przypatrując się im zdaleka. Ks. Paczura po pierwszym wzruszeniu już przychodził do siebie — i twarz zę smutnej wracała do zwykłego spokoju.

— Magdaleno — odezwał się — Pan Bóg dał nam gości, na asindzkę to pono spada o nich myśleć... bo jejność co ich przywiozła, dozoru nad nimi podjąć się nie może.

Podżyła niewiasta, chustką ogromną obwinięta, która tylko czekała, aby jej usta rozwiązano, poczęła wnet szybko:

— Ojczy, dobrodzieju! a gdzież mnie biednej, własne dzieci mającej, z pracy rąk utrzymującej się, nie-szczęśliwej... nastarczyć dla nich... Biedna sierota... nie jestem w stanie... Póki nieboszczyk żył... ciągnęło się, choć z biedą wielką. Bywało różnie... Dzisiaj — co ja pocznę? Bóg widzi!

Łamała ręce, słuchał ks. Paczura.

— A któżby od jejności takiej ofiary wymagał, gdy i własne masz dziatki, na które pracować musisz?.. To się rozumie, iż synowcowie na mnie spadają, a Bogiem się świadczę... że z wdzięcznością ten dar z Jego rąk przyjmuję.

A! damy sobie rady z nimi! nieprawda mościu Magdaleno?...

Klucznica, chociaż ją litość brała nad dzieciakami, nie porwała się bardzo ochoczo do zaopiekowania nimi. Głową potrząsała długo...

— A juści! a juści! — rzekła — co się musi, to się robi... A juści... Nie na gody tu oni do nas przybył.

— Bo też one do gódów nie zwykły — dodała przybyła opiekunka — moja jejnościuniu, za życia niebosz-

czyka... o suchym chlebie nie raz się żyło... a rad był człek, gdy ciepłej polewki bez omasty dostał...

Ks. Paczura milczący słuchał... Dzieci się tymczasem strwożonemi oczyma po ogromnej izbie rozglądały.

Bracia sieroty podobni byli do siebie. rok różnicy w ich wieku mało był widocznym; twarzyczki mieli wychudłe i zwiędłe zawczasie; ręce, które im z krótkich wyglądały rękawów, kości więcej miały niż mięsa... Odzież na obu łatana była, wyszarzana i biedna. obowie podarte, spodnie, z których powyrastali, sięgały im wyżej kostek. Ostrzyżone, widać na podróż. głowy ręką opiekunki — jeżyły się zębato powyrywanemi włosami.

Litość obndzało biedactwo — i wszyscy ją uczuli, gdy się im przypatrzyli. Ksiądz się zbliżył, aby z nich dobyć głosu. Spytał, czy umieją pacierze, czy choć cokolwiek z katechizmu wiedzą? żaden z nich nie ośmielił się odpowiedzieć, ale klucznica zapewniła, że i pacierza ich uczyła, i miejscowy organista przez miłosierdzie czytać ich nieźle ponauczał.

Ucieszyło to bardzo ks. Paczurę, który się odezwał wesoło:

— Ho! ho. droga tedy otwarta! dalej już wszystko pójdzie jak z płatka — byle dobra wola.

Chciał objaw tej dobrej woli usłyszeć z ich ust. ale chłopcy się przełękli, głowy pospuszczali. i lży im się tylko potoczyły z oczu. Zobaczywszy to proboszcz, nie wymagał więcej...

— Ale oni głodni być muszą! — zawołał — jejmość. moja pani Magdaleno, a nakarm że tę zgłodniałą rzeszę... i panią, co ich przywiozła. też...

Widać było pewne zakłopotanie na twarzy klucznicy, lecz nic nie odpowiadając, szepnęła cos przybyłej do ncha, i chciała namówić, by z nią wyszła. Chłopcy, zobaczywszy to ruszyły przerażone za swą pierwszą opiekunką.

Ks. Paczura możeby był rad ich wstrzymać. lecz pomyślał, że winni byli ostatnią tę chwilę spędzić

z pocziwłą kobietą, która im miejsce matki zastępowała, zgodził się więc na to, ażeby szli z nią razem na folwark. Tuż za nimi ruszyli wszyscy ciekawi, a ks. Paczura sam jeden w wielkiej izbie pozostał.

Zaprawdę miał o czem się zamyślić, i nie dziw, że długo nieporuszony w miejscu, z oczyma wlepionemi w podłogę, jak wryty stał, wzdychając, modląc się może...

Lecz, po tej chwili trwogi i zwątpienia, jak gdyby mu nagle otchna jakaś do serca wpłynęła — podniósł oczy ku obrazowi Chrystusa i Matki Bolesnej — twarz mu się wyjaśniła znowu. Począł chodzić wielkimi krokami.

W progu ukazał się Małachiewicz.

— Niech będzie pochwalony — odezwał się.

— Na wieki wieków — rzekł stając proboszcz — a co tam?

— A nic! — śmiało począł organista. Jegomość słyszę na gości! szyderskim dodał tonem.

— Bogn za to dzięki... sieroty mi zesłał...

— Albo to my wszyscy tu nie sieroty? mruknął organista... Niech tylko jegomość dobrodziej pomyśli, jak tu u nas i u te gęby trudno... co dopiero jak ich tu dwie przybędzie?

— Mój Małachiewicz — przerwał ks. Paczura — nie psuj, że ty mi dobrej myśli, nie nadwężaj nadziei, jaką w Bogu mam... proszę cię...

Łagodnie to były powiedziane słowa, ale z powagą, która organiście usta zamknęła.

— Zapewne — dodał — a co mnie do tego? co mnie do tego! Jaż ich karmić nie będę! Z życzliwości dla księdza proboszcza się rzekło, bo na sieroty są różne przytulki...

— To synowcowie moi — odparł proboszcz...

Małachiewicz spytał o nabożeństwo jutrzejsze, i nagle, jakby urażony, wyszedł. Ks. Paczura zachmurzyło się czoło. Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, gdy Magdalena żwawo wbiegła. Zobaczywszy ją, stanął z rezygnacją proboszcz pewny, że nowe go spotkają wymówki...

Kobiece serce jednak litościwsze było... Spojrzawszy w oczy księdzu, nie chciała nań gderać stara klęcznica. — westchnęła tylko...

Ręką podparła brodę i stojąc patrzyła mu w oczy.

— Nakarmić to, odziać. fraszka — rzekła jakby sama do siebie — ale kto to będzie tego pilnował? Niech no jegomość pomyśli! Dziś to nic, ale jak się to cokolwiek odgryzie, obezna. oswoi — to tu tego wszędzie pełno będzie, i w ogrodzie, i na cmentarzu, i po izbach!

Milczał obwiniony...

— Jakoś to będzie — wybąknął wreszcie, — obmyśli się... zobaczycie... To ten, to ów zajrzy... No — a może się gdzie odda do szkółki... Nie frasujcie-no się... A jedli?

— Matko miłosierdzia! — przerwała klęcznica — żeby jegomość widział, jak jedli, jak chlipali. — co chleba spożyli — strach... Gdzieś ich głodem morzyli... Zrobiłam jajecznicę z ostatnich jaj, no to tę i podróżna też jadła... dzieciom na prędcę zgotowało się polewki z okrasą... no i chleb... Jak się wzięli, ażem stojąc patrzyła i dziwiła się.

— Chwalić Boga — chwalić Boga! rzekł śmiejąc się proboszcz... aby u mnie choć głodu nie zaznali... A gdzie ich pomieściny?

Zamyśliła się stara Durska.

— Na wikarceby można — ale tak samych jednych — strach... a kogo im tu dać? Bartoch głupi...

— Niech się Hruszka w progu położy...

— Pijaniusieńki...

— Skaranie Boże...

— Ale już tam temu zaradzę — poczęła Magdalen — siana się im zaściele i kilimek... bo pościeli oni żadnej nie mają.

Radzili tak długo, poczęła i podgderywać klęcznica i postękiwać, proboszcz zawsze w takich razach jeden miał ratunek — brał za brewiarz. Naówczas zamykały się usta i Durska odchodziła, choć mruczając. Mogła wojować z księdzem Paczurą, ale nie z jego bre-

wiarzem. I tego dnia, nie mając innego na nią sposobu, sięgnął proboszcz po starego przyjaciela, który przed przybyciem sierot, na stole był rozłożony... Wyszła klucznica.

Tym sposobem Wicek i Wacek dostali się do stryja na probostwo... Następny dzień był dla nich jeszcze dniem łez, tęsknoty i trwogi. Odjechała jedyna opiekunka, do której byli nawykli, znajdowali się w miejscu zupełnie obcym: postaci, co ich tu otaczały, nabawiały trwogą; począwszy od samego stryja. Największy pociąg jeszcze i nfnosć czuli do pani Durskiej, z którą się wczoraj przy jajecznicy i polewce zapoznali — ale instynktowo przestrach obudzał imponujący Matłachiewicz, który na pół głośno smarkaczami ich nazywał, nie mniejszą obawą napelniał widok kulawego, mruczącego Mamerta, pijanego Hruszki i głupiego Bartocha, tego śmiech nawet i wyszczerzone zęby straszne były...

Proboszcz dnia tego dał im swobodę. Dzień jesienny był dosyć ciepły... Tuż stojący kościół, dzwonnica, stary cmentarz, kostnica, ogród, w którym była stara grusza z wiszącymi jeszcze gdzie niegdzie ulęgalkami... kaczany od kapusty na ogrodzie wkrótce rozproszyły tęsknotę a obudziły ciekawość. Z ostrożnością pnsčili się w tę podróż odkryć po nowym dla siebie świecie, cicho i ostrożnie szepcząc na ncho różne uwagi, jakie się im nastreçały... Zrazu kościół i cmentarz obudzał pewną obawę... nie śmieli przestąpić furty dzielącej od niego dziedziniec... Zakrystyan kulawy Mamert, wiecznie zajęty, dobre gderliwe człeczysko, pochwycił ich tu stojących.

— A poszlibyście ze mną do kościoła, tobyście się pomodlili i Pannu Bogu podziękowali, że wam dał w sieroctwie taką opiekę.

Chłopcy uciekliby byli, ale Mamert popędził ich przez furkę przed sobą i zaprowadził niemal gwałtem do kościoła.

Gdy się otwarły jego drzwi, i w dali, w głębi, ukazał się ołtarz złocisty, wysokie sklepienia, pod któ-

remi unosił się Chrystus w górze; chorągwie lśniące od galonów, rzeźbione figury aniołów. cała ta wspaniałość małego domu Bożego — chłopcy co dotąd nie widzieli nic. tylko mały. drewniany. ubogi kościółek swej parafii — stanęli zdumieni i zaciekawieni. Pusto tu było i cicho... Cisza dodawała majestatn i uroczystości małej świątyni. która się przez to, że była pustą i milczącą. większą wydawała się i wspanialszą. Weszli powoli chłopcy za Mamertem, który, sledząc ich wrażenia. oglądał się na nich... weszli... i pod kruchtą oba... Złożyli ręce... zaczęli szeptać jedyny pacierz, jaki umieli — od którego się ich wychowanie poczęło:

Ojcze nasz....

W rok potem. Wacka i Wicka poznać nie było już można.

Pokorne sieroty. niemal panowały na probostwie. Białe twarze chłopaków rumieniły się zdrowiem, wypełniły policzki. zajaśniały oczy, wygładziły nastrzępione włosy. Ani Matlachewicz, ani głupi Bartoch nie przerazał ich wcale. zawojowali Magdalenę. w łaskach byli u kulawego Mamerta, a Wicicha i Hruszka nazywali ich paniczami.

O księdzu Paczurze niema już co i mówić — powtarzał ciągle patrząc na nich:

— Prawdziwe to błogosławieństwo Boże... Sit nomen Domini benedictum!

Potrzeba ich było widać. jak gospodarowali raznie w zakrystji, gdy ks. Paczura miał ze mszą wychodzić, jak ubrani w białe jednakowe komieszki,

z niebieskimi wstążkami, Wacek ze mszałem, Wicek z ampułkami, wiedli stryja do ołtarza, jak Wacek syguował wychodząc. jak oba potem schyleni ku księdzu, raźnie głośno. równo odmawiali: *Confiteor*...

W dni uroczyste chlubił się nimi ks. Paczura, ich pojętnością, rozgarnięciem, żywością, nawet swawolą. Potrzeba było na nabożeństwo majowe, z którym razem przypadał odpust w Borusławicach, ustroić ołtarze, przygotować lampy, poroźścielać kobierce — kulawy Mamert miał w nich pomocników ochotczych, tak, że teraz głupiego Bartocha pomocy nie potrzebowwał wcale. Bartoch z nałogu przybywał, ale nie mając co robić, albo się kładł na wznak pod dzwonnicy, lub siadał na progu kościelnym i coś tam do siebie mruzczał. Miał obyczaj taki, on co z ludźmi rozmówić się nie umiał, że sam z sobą prowadził gawędy, wśród których często napadał go śmiech dziwny, śmiech niepohamowany, że oburącz sobie usta zatykać musiał. Spojrzał li kto naówczas na niego, uchowaj Boże, wnet namarszczył się, zagniewał, zrywał i uciekał..

Chłopcy oba lubili się zdala przypatrywać głupiemu Bartochowi, a niekiedy go nawet drażnili. Lecz raz cisnął kamieniem na Wacka, poczem go dwa dni nie było — i od tej pory strzegli się go zaczepiać.

Nie było już tu kąta teraz, nie tylko w plebanii, na cmentarzu, w kościele, ale w okolicy, którego by chłopcy nie spenetrowali. Hamować ich trzeba było i karcieć, tak to się do wszystkiego rwało. Proboszcz, nie mając kogo innego, za osobną opłatą, organistę czasowo dał im za nauczyciela pisania i rachunku. Z tym mieli prawdziwą męczarnię. Nie cierpiał ich Małachiewicz, nienawidzili go chłopcy. Wzajemny wstręt jaki ku sobie czuli na pierwsze wejście, był jakby, przecuciem tych przyszłych stosunków. Nie cierpliwy, przekorny, rad że im dokuczyć może, organista nie tylko ich po rękach klapał, klęczeć kazał, za uszy targał, ale przed stryjem obmawiał i skarżył, że z nich nigdy nic nie będzie, że na wisnów powyra-

stają, że słuchać nie chcą, o naukę nie dbają. a o jed-
dnej tylko myślą swawoli.

Widać jednak. że proboszcz. znając człowieka, niewielką do tego przywiązywał wagę, bo mu to ser-
ca do chłopców nie psuło... Nie zmienił nauczyciela.
może dla tego, że w surowości widział pewny środek
wykształcenia charakteru. Samą dobrocią wyżyć mło-
dosc bez szwanku nie może, tak jak srogością samą
się psuje i zsycha. Jedno i drugie do poruszenia ser-
ca. nauki cierpliwości i pokory potrzebne. Walką jest
życie, a człowiek do niego jak żołnierz musi się spo-
sobić, wszystkiego zażywając, aby na wszystko był
przygotowany.

Z ks. proboszczem chłopaki były tak swobodne,
tak szczere, iż się niemi nacieszyć nie mógł. i powta-
rzał swoje: — Prawdziwe błogosławieństwo Boże!

Dobrze mu z niemi było. Wyjeżdżał do chorego
czy na chrzciny, gdy dziecka do kościoła przynieść
nie mogli — brał zwykle jednego z nich kolejno z so-
bą, a chłopaki pilnowały się dobrze na kogo szła kole-
lej; tym sposobem się młodzież przetrzęsła, nakar-
miono obficie gościa w obcym domu, trochę się chłop-
cy przecierały i z ludźmi oswajały. Dzikie też już
wcale nie były. Gdy proboszcz wracał sam. chłopcy
ledwie się ukazał za bramą, stały gotowe mu pomódz
wysiadać, węzełki z bryczki zabrać i po rękach całow-
wały. Nie było bowiem wycieczki, żeby ks. Pacznra
czegoś z sobą nie przywiózł do domu. Znano jego ubo-
stwo i dobroczynność, że łatwo o sobie zapominał.
Każdy mu się czemś chciał przysłużyć. i choć on
o tem nie wiedział, wetknęto mu coś do bryczyny.
Często się nie rychło postrzegł, iż w nogach coś za-
wadza. schylał się: — Co to to jest? I pokazało się,
że mu albo faszeczkę masła, albo kobiałkę jaj i sera,
albo koszyk owoców wetknęto...

Ks. Paczura się uśmiechał: — A bodaj ich! pocz-
ciwe ludziska — zawsze o mnie pamiętają!

Dostatku w domu mimo to nie było, ale i głodem
nie marli. Hołłowicz, który trzymał dzierżawą Ple-

bankę, folwark bardzo urodzajny, obarczony był dziećmi i z dobroci korzystał. Przytem nie najlepiej gospodarzył. Przyszło płacić, to się wypraszał, kwitki składał, o następstwa prosił, po rękach całował, a nie nie pomogło to, przyjeżdżała żona z dziećmi. jak zaczęli modlić. musiał ks. Paczura ustąpić.

Wszyscy mu mówili dawno, że powinien był dzierżawcę zmienić, albo ekonoma poczciwego wziąć, ale o tem proboszcz słuchać nie chciał. — Bójcie się Boga! mówił: tyle czasu siedzą na tej dzierżawie, gdzież to się podzieje? Trzeba Boga w sercu nie mieć, aby ich rugować. I Hołłowicz siedział. Żył. dzieci chował. a ksiądz biedę cierpiał. tyle tylko. że mu się wysługiwali i całowali po rękach.

Nigdy szczupłe fundusze tak dotkliwie się czuć nie dały ks. Paczurze, jak gdy chłopców mu Pan Bóg dał. bo bądź co bądź, jakieś wychowanie dać im było potrzeba. posłać gdzieś do szkół — a to musiało kosztować. Matłachiewicz ze swą nanką nie na długo mógł starczyć. Nie było w myśli stryja robić z nich uczonych wysoko ludzi, chciał mieć poczciwych i do pracy zdolnych. — na to zawsze jednak więcej trzeba było. niż mógł dać organista, który czytać i pisać i trochę rachunków ledwie umiał, a muzyki i organu z praktyki się tylko nauczył przy krewnym. Chlubił się z tego, że nigdzie nie bywając w szkołach, sam sobie wszystko był winien, a jak to się często tego rodzaju ludziom zdarza, więcej o sobie rozumiał. niż był wart...

Znał go ksiądz dobrze, i troskał się zawczasu, dokąd odda chłopaków? wkrótce o tem czas już myśleć było. Odkładał po trosze. bo mu też i pomyśleć stawało się przykro, dzieci w świat puścić — zostać samemu.

Gdy chłopcy przybyli, kłopot był zrazu: wkrótce tak się do nich przywiązał. że nie wiedział, jak bez nich wyżyje. Wnieśli z sobą życie do domu, do zakrytji, do kościoła... a wesołe ich śmiechy jak świergot wróbli w krzewach potrzebne były uchu i sercu.

Wacek i Wicek roztropni byli oba, podobni do siebie charakterami, a że ciągle z sobą żyli, nabrali jednych obyczajów. ruchów. głosu. tak. że gdyby Wacek o pół cala nie był wyższy — trudno ichby było rozpoznać. Młodszy jednak pojęcie miał nieco bystrzejsze i żywszy był, Wacek myślał powolniej. a postępował ostrożniej.

Nie tylko proboszcz. ale i parafianie przyzwyczaili się widzieć tych chłopaków i zajmowali się nimi, a odwiedzając ks. Pacznę. podpieszczali ich i psuli po trosze... W istocie przy summie. na processyach, w czasie nabożeństwa, para tych mroźnych chłopcząt w białych komeczkach, przyozdabiała uroczystość każdą. Niewinne te twarzyczki rozmodlone i jasne, mimowolnie aniołków na starych przypominały obrazach.

Na biedę rośli żywo i coraz się to swawolniejsze robiło. a do utrzymania trudniejsze; z Matłachiewiczem coraz szło gorzej. i nie było dnia, żeby skargi nie dochodziły proboszcza. Rzeczywiście zaś nie wiele oni byli winni, choć czasem figle płatali; tylko organista całą swą mądrość wyczerpawszy wprędce, dalej nie wiedział. co robić z nimi. Chwalił się on łaciną. ale jej tyle umiał. co z kancjonału i responsoryjów, nie rozumiejąc, chwycił. Niechcąc się wydać z nieuctwem. wreszcie w końcu roku. rozgniewawszy się na Wacka, którego Wicek obraniał. trzasnął drzwiami, i poszedł oświadczyć proboszczowi, że więcej ich, już uczyć nie będzie...

Ks. Paczura nie na to nie rzekł. wiedział i sam. że kiedyś na tem skończyć się musi. postękał. pochodził i kazał winowajców przywołać. Stanęli oba na drzwi. bynajmniej nie złęknięci.

— Cóżście tam znowu splotali? he? Matłachiewicz już was uczyć się zarzeka? — rzekł dobrotnie. ale smutno ks. Paczura.

Wicek się posunął naprzód.

— Nicesmy nie zrobili — Wacek nie winien... Pan

Matlachiewicz szuka tylko pretensji, aby bić i jałać...

— Mów Wacek! o co poszło? spytał proboszcz.

— O rachunki — odparł starszy. — Pan Matlachiewicz mówił, że jest omyłka. Jam trzymał, że jej niema... Dopieroż od wisusów zaczął wymyślać. a omyłki nie było.

— Nie było — dodał młodszy i na stole położył sekstern. Pleban nań popatrzał.

— Należało zmilczeć — rzekł — a nie odpowiadać zuchwale. zawsze winien...

Chciał Wicek coś mówić. ksiądz pogroził z lekka.

— Idźcie. żeby mi tego więcej nie było. Matlachiewicz was czytać nie chce. Do szkół iść będziecie musieli. nie ma rady.

Sklonili się chłopcy i wybiegli. Nie bardzo ich to zmartwiło. — Do szkół. do szkół! Brał wprawdzie strach. ale się razem uśmiechało... jechać w świat... tylu znaleźć towarzyszków. i z pod linii Matlachiewicza dostać się do prawdziwej szkoły!

Wylecieli jak burza z izby. jak huragan przebiegli sięn pustą. w której się ich kroki rozległy, i wypadli na dziedziniec, a potem biegiem do furty i na cmentarz.

Cmentarz stary był najulubieńszem miejscem ich narad i przechadzek. W dziedzińcu zawsze coś przeskadzało. chodzili ludzie. ktoś zawołał. posłano po coś.. Czarna krowa, o której chodziły wieści. że biała. nie dozwalała się przechadzać bezpiecznie. Na cmentarzu oprócz wróbli na lipach. nie było nikogo. Niekiedy głupi Bartoch legiwał pod dzwonnica. lecz ten im nie przeszkadzał. U muru był rodzaj starego grobowca opadłego. czy ołtarza. przy nim leżał ogromny kamień szary. na którym zwykle bracia siadali i tu gwarzyli godzinami. W prawo i lewo porosły dziko chwasty. krzewy, bez. głogi. róże zdziczałe. Zakrywały one tak ten kątek. iż chłopcy się tu od oczu ciekawych schować mogli. Powyrywali trawy i pokrzywy. i tu sobie zrobili schronienie, które im było najmiłsze. Nawet w deszcz bezpiecznie siedzieć mo-

gli, gdyż rodzaj daszku do muru przypięty, zabezpieczał od niego.

Wprost tedy tam niesli się z tą groźbą, która dla nich była zarazem jakby oknem otwierającym się na świat szerszy.

— Do szkół! do szkół! powtarzali biegnąc.

— Pojedziemy do szkół! bijąc w ręce wołał Wicek.

— I zbędziemy się tego niepocziwego Matlachiewicza!!

— To dopiero! — wołał Wicek — to dopiero zobaczymy świata, bo jużci nie gdzie tylko do Lublina!

Ściskali się z radości.

— No, a mnie będzie żal Borusławic — przebaknął, oglądając się Wacek.

— Co ma być żal! wrócimy przecie na wakacje. na święta...

Gwarzyli tak, to się śmiejąc, to smucąc, ale zmianą doli szczęśliwi, bo każda odmiana młodym głowy zawraca, gdy posłyszeli w dziedzińcu ruch jakis. Domysłując się, że proboszcz ich potrzebować może, pędem nazad puscili się w dziedziniec.

Ks. Paczura wyjeżdżał, bryczka była zaprzężona. Sądził że którego z nich weźmie z sobą, kolej wypadła na Wacka, ale ksiądz zdala ręką tylko machnął, co znaczyło, że nikogo nie bierze. powrócili więc smutni na swe miejsca, puszczając cugle marzeniom.

I śmiechu, i sporu, i wrzawy było dosyć pod tym daszkiem i za temi gałęzmi, które spokojny jakiś osłaniały grobowiec.

Proboszcz tym razem ani do chorego, ani do znajomego w odwiedzinę nie jechał: potrzebował się widzieć i rozmówić z Hołowiczem, którego dwaj chłopcy byli już w szkołach; potrzebował z nim poradzić się o swoich.

Do Plebanki położonej pod lasem było małe pół mili — przebył je ks. Paczura zadumany i smutny. Myśl, że się z chłopcami rozstać przyjdzie, przykrą

mu była. Ani się też spostrzegł, jak wśród tej zadumy zbliżył się do małego dworku.

Wyglądało to bardzo biednie, bo Hołowicz, choć od dawna tu siedział, pamiętał, że był na dzierżawie. podpierał, latał — żył z dnia na dzień tylko. Dworek był stary i niepokązny, z ganeczkiem o dwóch słupkach przepasanych w połowie i wyrzynanych ze staroświecka. Dach na nim słomą kryty, w części był mchem porośły, gdzieniegdzie poddawiany. aby nie zaciekało. Sam ganek tylko gonty czarne okrywały. Na małym stołku, co otaczał domostwo, w rogach na kołkach smuszono hładyszki i wietrzono garnki. dalej rozwieszane były chnstki. Z korytka pożywiał się zielem osypanem z wielkim apetytem wieprzacek. w koło niego kręciły się kury. i gęsi z wyciągnionemi ciekawie szyjami... U studni gospodyni z zakasaniem rękawami i podwiniętym fartuchem coś miała z balijkami do czynienia. Dwoje cieląt pasących się na kawałku trawy, nyszczawszy turkot proboszczowskiej bryczki. pierzchły wierzgając z fantazją wielką. pozadzierawszy ogony do góry.

Obejrzała się gospodyni i poznawszy dobrodzieja. biegła mu już otwierać wrota. a Hołowicz wdziewał opończę i stał w ganku, gotów sam biedz na spotkanie.

Wielki to bowiem gość był zawsze ks. Paczura, gdy Hołowiczów nawiedzał.

Jejmość otyła niewiasta. która po domowemu i bez czepka na głowie, i bez chustki siedziała, poszła się co prędzej ogarnąć. Dwoje dziewczątek z sieni uciekało też, bo nie były do gościa odziane. W domku zawieruszyło się.

— Proboszcz! proboszcz! wołano na wszystkie strony.

Hołowicz szczęściem zdołał nałożyć rękaw drugi. nim ksiądz nadjechał. zbliżył się do bryczki. podał rękę księdzowi i w ramię go czule ncałował.

— A cóż to za szczęście, że jegomość dobrodziej

o swych sługach pamiętał? zawołał jakby zdyszany ze wzruszenia.

— Jak się macie! jak się macie! mruzczał ks. Paczura. I wchodzili już do pierwszej izby na lewo, która choć najparadniejsza, w tym momencie wcale na przyjęcie, nawet tak poufalego jak proboszcz gościa, przygotowaną nie była.

Jejmość, gdy bryczkę zobaczyła, zajęta była liczeniem motków, i część ich i talek zajmowała kawał pokoju. Na głównym stole leżało motowidło, kilka związanych kłębków na krzesle. Oprócz tego, na stole gąsior był na pół próżny z jakąś ciecżą mętną. Zobaczywszy to Hołłowicz, niezmiernie się zmieszał i na nieporządek babski narzekać zaczął. Uprzątnął żywo krzesło dla proboszcza. Wnet i jejmość w czepku na prędce narzuconym i chustce, którą się okryła, nadeszła z przeprosinami.

— Niech jegomość dobrodziej daruje, słowo daję — gospodarstwo kłopotarstwo, a czego człowiek sam nie zrobi, nie będzie z tego pociechy.

— Ale nie ma nic, nie trudźcie się! — mówił ks. Paczura — niech to sobie będzie. Ja na chwilę do państwa — i — z interesikiem.

Zmieszał się Hołłowicz, przeczuwał, że ks. Paczura o zaległość się mógł upomnieć, i wesa pokreślił jakby go sobie chciał urwać.

Hołłowiczowa spojrzała z ukosa, blademi oczyma i nos utarła zaniedbany nieco... wśród gospodarskiej troski.

Czekali milczący, westchnął proboszcz. Ręce złożył i zadumany siedział, smutno mu było o tem i mówić.

— Masz waćpan dwóch synów w szkołach? — odezwał się do Hołłowicza zwracając. Powiedzże mi, radbym wiedział, co cię to kosztuje, gdzieś ich umieścił?

Hołłowicz zwykł był zawsze, zwłaszcza przed proboszczem skarżyć się i narzekać; podniósł wnet rę-

ce do góry. Sama jejmość wsparła się na stole i czekał. co powie, aby mu wtórować gorliwie.

— Co oni mnie kosztują? odparł dzierżawca. Co kosztują? Nie. niech już jegomość dobrodziej nie pyta! Zjadają mnie, niszczą mnie, rujnują. jak Bóg miły! Od gęby sobie człowiek dla nich musi oddzierać. Kosztują! a! — westchnął.

— Ale przecież? pytał ksiądz. któremu się twarz zachmurzyła.

Nie mogli Hołłowiczowie domyślić się jeszcze. w jakim celu zadane było to pytanie; dzierżawca musiał być ostrożnym.

— Co kosztują? powtórzył.

Wtem przerwała mu żona prędko i podkaszując za każdym słowem:

— A! czy to tam się z tą szarańczą wyrachować można? Kto to wyliczy! Niby powiedziano. że tyle mają kosztować, a byłże jeden rok, żeby nas nie zdarli?

Ks. Paczura zmiarkował widać, że otwarciej się tłómacząc. prędzej do celu dojdzie.

— Widzicie bo, kochany mój Hołłowicz, ja moich dwóch malców muszę już do szkół oddać. Chciałem się was poradzić — gdzie? jak? rachowałem. że mi będziecie pomocą.

Spojrzeli po sobie gospodarstwo. i zaraz w istocie zmieniło się usposobienie. Hołłowicz przyszedł podziękować za zaufanie.

— Niech jegomość się na mnie spuści, ja to ułatwię, z duszy, serca. jak najlepiej.

— Jejmość — przerwał nagle — a kawa dla księdza proboszcza?

Choć niechętnie poszła. pani Hołłowiczowa, a dzierżawca się zbliżył do księdza.

— Oddać ich do Lublina. na stancję do dyrektora — rzekł — ordynaryę się da. to od umowy, w dodatku za naukę coś, gotowym groszem. Już to prawda — dodał wzdychając — z tą ordynaryą! dawniej inaczej bywało. Dzisiaj czego oni nie wymyślają. Bywało wy-

ka, krupy, trochę okrasy. słonina i starczyło, teraz i masła chcą, i w krupach wybredni, i sadłoby się im zdało, i suszenina na post, i grzyby. — i nie wiem tam już co. choć dzieci tego nie widzą!!! Odemnie nawet ogórki kwaszone wzięli! Ale czego człek nie zrobi dla dzieci!

Słuchał proboszcz myśląc, zkąd to wszystko było wziąć. a i pieniądze w dodatku za naukę.

— A to ich dwóch jeszcze! westchnął zakłopotany. Hołłowiczowi żal się go zrobiło.

— Że dwóch to nie ma nic — rzekł — za dwóch zawsze mniej się da razem, jedno przy drugim. mniej niż od jednego wymagają.

Poszli tedy do szczegółów. ile maki. krup ile. jaka okrasa. Nadeszła Hołłowiczowa z kawą i wtrąciła się do rozmowy. upewniając dobrodzieja. że mąż jej to wszystko ułatwi jak najlepiej. Oboje mieli tę myśl. że proboszczowskich synowców umieszczając na tej samej stancyi co własnych synów, coś się im też okroićby musiało. Jedno przy drugim. Nie miał tego na sumieniu dzierżawca, bo za to swój trud i pośrednictwo ofiarował.

Tak pierwsze preliminaria do umieszczenia chłopaków omówione zostały. Rozumiało się samo przez się. iż ordynarya z dzierżawy po dobrych cenach odliczoną być miała. choć oboje Hołłowiczowie zapewniali, że jak najtaniej ją porachują.

— Już niech jegomość dobrodziej będzie pewien. mówiła jejmość. że my łask jego dla nas pamiętni, nie nadliczmy. Mielibyśmy na sumieniu. A! niechże Pan Bog uchwata.

— Jak najsumienniej!!! mruczał Hołłowicz, ręce obie zaciśnięte mocno podnosząc do góry. z wyrazem wielkiego przejęcia się sumiennością.

— Ani prószynki cudzej. dziękić Bogn, nie ma się na duszy! mówiła pani.

Proboszczowi niepodobna się było oddalić z domu na dłużej, umówionem więc zostało, iż dzierżawca

chłopców miał odwieźć do miasta i ze swymi umieścić. Właśnie pora po temu nadchodziła.

Chcąc się ze swoimi dwoma już ze szkół na wakacje przybyłymi popisać. Hołłowicz mrugnął na żonę, która zawahawszy się wyszła.

W istocie nie łatwo ich było tak na prędce odszukać. matka domyślała się, iż młodszy musiał siedzieć w grochu. starszy zaś mógł z fuzyjką pójść do lasu. a tam go, jak wiatru w polu, jak igły w stogu siana — odszukać nie było łatwo.

Oprócz tego, aby się przed proboszczem stawić mogli, i około czupryn i odzieży trzeba było radzić.

Młodszy na wsi, dla oszczędności chadzał bez butów, starszy miał lataną na lato katankę.

Zakłopotana matka wyszła, lecz szczęśliwiej się stało, niż się spodziewała: starszy, wróciwszy z lasu spał na sianie w szopce. — młodszy był niedalej niż w agrestcie za dworkiem. Obu wnet umyto, uczesano, przyodziano i dobrze im poleciwszy, jak dobrodzieja w rękę mają całować—wprowadzono do izby.

Starszy Hieronimek był jak tyczka od chmielu cienki. wyrosły. chudy. z twarzą długą. wyglądał głupowato. ale swawolnik był i psotnik na całą szkołę pierwszy choć pozornie trzech niby zliczyć nie umiał. Młodszy puciołowaty. faworyt matki, obżartuch. leniwy. nie wiele miał intelligencji. ale gdy do ogórków i grochu trafić trzeba było. instykt przedziwny. Oczy miał piwne i kose.

Stawiono obu przed proboszczem, który kilka im zadał pytań, aby też mieć wyobrażenie, jak ich tam uczono. Młodszy posłyszawszy zadane pytanie, otworzył usta. spojrział na matkę, potem na ojca, oczy spuścił i znikł.

Słowa z niego dobyć nie było sposobn. Matka go tłumaczyła. że był lekliwy. Starszy. gdy kolej nań przyszła, począł się krztusić. jakby miał już coś powiedzieć. odchrząknął, nogą dwa razy tupnął. poprawił kołnierz od koszuli, chrząknął jeszcze raz, powtórzył pytanie, przekręcając je i z pomocą litującego się

księdza. wybrnął z biedy. Rodzice byli pewni, że się doskonale popisał. Po czym obu odprawiono na świeże powietrze. Młodszemu, ponieważ się skutkiem natarczywego egzaminu rozpląkał, dała matka sera kawalek. i zaraz go poszedł przypiekać. bo w ten sposób urządzony najlepiej mu smakował. Starszemu pogłaskała głowę i nalala troszkę kawy. Tak się to szczęśliwie skończyło. Proboszcz nie był bardzo zbudowany, wiedział jednak. że takie dorywcze egzamina nie nie dowodzą, a ufał łasce Bożej. iż jego chłopcy. z ochotą do nauki, czasu tracić nie będą.

Oprócz tego myśleć trzeba było o oporządzeniu ich do szkoły. O tem już nic nie wspominając ks. Paczura. kawę wypwszy, spytawszy o gospodarstwo. zabrał się do powrotu.

W miasteczku Bornsławicach był Chaim krawiec z powołania, do niego się udać nieodzownem się stało. Nie lubił go proboszcz. gdyż chytry człek. złośliwy, na każdej rzeczy coś obciął. i nie było najcisłej obrachowanej rewerendy. z którejby mu się na parę czapek lub na kamizelkę nie okroiło.

Była to rzecz dowiedziona, zaklinał się. przeczył, chwytało go na uczynku potem. Sukna potrzebował dużo, zestepowywało się u niego nad miarę, snownie były ciasne, a kamizelka... gdzieś się pokątnie sprzedawa.

Sukno szaraczkowe dobre i mocne, miał już ks. Paczura dawniej kupione, i było go tyle. aby na wyrost można uszyć odzież i żeby na polatanie stało.. Ociągał się tylko z szyciem, bo. jak mówiono wyżej. Chaima nie lubił, a innego krawca nie było. Choćby nawet dla bezpieczeństwa kazano mu szyc na folwarku, na oczach Magdaleny, proboszcz przekonany był, że npilnować go nie było sposobu. Musiał się rezygnować na to. aby być oberzniętym.

Następowało obuwie. bo w mieście buty szyc im kosztowało podwójnie. Jedne buty nowe i jedne przyszwyy były konieczne. O te się po bożemu jeszcze umówić było można z Seredowiczem. Seredowicz

szewc. katolik pobożny. należący do bractwa i starszyzny. śpiewał godzinki w kościółku i na probostwie mile był widziany. Temu zaufać było można, iż skórę da dobrą, podeszwę trwałą i cholewy, któreby nie jedne przyszwę wytrzymać mogły. Był on nadwornym probostwa dostarczycielem. robił buty księdzu. buty gospodyni i Mamertowi. Pocziwy, miłośniwy człek opatrywał też dla miłości Bożej. nawet głupiego Bartocha, któremu każdej zimy dawał stare buty, jak jałmużnę.

Naostatek szła jeszcze bielizna, którą z zapasu płótna, jaki miał ks. Paczura, nszyć musiała sama Magdalena. z pomocą którejś baby z miasteczka. Sześć koszul zdawały się bardzo dostateczne.

Ordynarya, grosz żywy i ta wyprawa. stanowiły wydatek znaczny. lecz nieuchronny. Mówił sobie w duchu ks. Paczura, iż na czem innem oszczędzi.

Nazajutrz nie tracąc czasu, posłano po Chaima. aby miarę brał i na folwarku fabrykację odzieży rozpoczął. Dowód ten nienfności obszedł mocno krawca, ale mu wprost powiedziała Magdalena o ostatniej kamizelce defraudowanej. i żyd warunki przyjął. Z oczu mu jednak widać było, iż czyni to. aby dowiódł, że mimo pilności, on swojego nie zmieni obyczaju.

Tegoż dnia przywołano i Seredowicza, który zapewnił, że buty będą „na urząd“, acz przestrzegł zaraz, że ta młodzieź, co na nic nie zważa, w błoto dla swawoli lezie, najlepszego obuwia długo nie ponosi.

Cały ten dzień zszedł na troskach podobnych. którym się chłopcy przysłuchiwali z kątów. a gdy Chaim poszedł sukno stępować. pobiegli za nim, aby mu się przypatrzeć. Rozognione ich wyobraźnie już się widziały w tych nowych sukniach. w nowych butach, odnowionych od stóp do głów. Przy każdej teraz zręczności Magdalena przypominała im, co kosztują. i jak być powinni wdzięczni stryjowi. który tak na nich łoży, nic nie żałuje. i sam nowej rewerendy potrzebując. odmawia jej sobie, aby ich poprzyrodziewać.

Dni to były niezwykłego ruchu na probostwie.

Do Chaima, który był gaduła, schodzili się wszyscy na folwark, już dla plotek, już dla przypatrywania się robocie, miał bowiem sławę o tyle zręcznego. o ile niesumiennego majstra.

Matlachiewicz ubolewał, że dla tych urwisów, z których nigdy nie być jego zdaniem nie miało. proboszcz tyle i takiego sukna poświęcał. Ujmowała się za nimi Magdalena, szwargotał Chaim, a chłopcy to przez okno. to od drzwi zaglądali. Dopieroż gdy przyszło przymierzać sfastrygowane, każdy był innego zdania: Chaim bronił swej roboty. Matlachiewicz utrzymywał, że odzienie jak wór leży, ksiądz domagał się, aby było szerokie i na wyrost. Prowadzono obu w tych bez rękawów opończkach z folwarku, jak w processyi na plebanie, tu się musieli i z jednej i z drugiej strony prezentować, aż póki ks. Paczura wyroku swojego nie wyrzekł. Wszędzie być miały zakładki. Ubranie na długie lata starczyć miało — a no. ta młodzież tak wyrasta prędko!

Już się Chaima robota kończyła, już i powolny a sumienny Sieredowicz wkrótce gotowym być obiecywał, gdy dopiero ks. proboszczowi na myśl przyszło, że tu jeszcze i dwóch skrzynek dla nich było potrzeba, aby mieli gdzie złożyć rzeczy i książki i uczyli się je utrzymywać w porządku. Nie było gotowych na probostwie, znown więc troska, aby i suche były i porządnie okute, a ks. Paczura przebąkiwał, że pomalowaneby być powinny, przeciw czemu Magdalena zaprotestowała.

— Jeszcze czego—rzekła—żeby ich elegancyi uczyć i psuć. Do czego się to zdało!

Proboszcz się dał przekonać, i skrzynki kupiono w miasteczku bardzo proste, do kłódek. Obaj bracia poczęli zaraz tegoż wieczora uczyć się zamykania ich i odmykania, przyczem Wickowa kłódka nie wytrzymała. Lament wielki, a litościwa Magdalena w sekrecie kazała ją naprawić. Ślusarz zaręczał, że dopiero teraz trzymać będzie lepiej niż uowa, towar był tandetny.

Słowem roboty było dużo. troski mieli wszyscy dosyć. a Mamert stękał najbardziej, że mu chłopaków miało w zakrystyi zabraknąć i do nabożeństwa. Za złe miał nawet proboszczowi, że dla nich nie wiedzieć jakiej edukacyi szukał. gdy czytania. pisania i ministrantury byłoby dla nich dosyć na życie całe.

— A mało to ludzi z tem żyje. Pana Boga chwali i na zbawienie zarabia. bez gorszenia ludzkiego! At! takie czasy! Mądrości się wszystkim chce. Aby tylko dusz przez to nie pogubili.

Do tych, co po chłopcach tęsknić mieli, należał i głupi Bartoch.

Prawda. że w początkach bywały między nim a nimi nieporozumienia, że kilka razy do passyi go doprowadzili, lecz później i oni mu się strzegli dokuczać. i on się do nich przywiązał. Zdaleka lubił bardzo przypatrywać się ich swawoli. ruchami rąk i nóg wyrazistemi jakby dopomagając do niej. Gonił ich oczyma. może zapożyczając u nich wesela. Bawiła go ich zręczność. pnszczał się czasem biegać, gdy się na wyprzódki ganiłi. ale dopędziwszy ich zasapany. uciekał. Zbliżka bowiem nie śmiał nigdy do ich zabaw się mieszać. Gdy dzwonił. a chłopcom też napała ochota do sznurów. nie bronił im nigdy tego.

Przygotowania do wyprawy dla chłopców, czyniły go widocznie smutnym. Stawał zamyślony nad skrzynkami. które na słońcu u ściany folwarcznej suszono. wpatrywał się w nich zdala. jakby w pamięci wesół obraz ich chciał zatrzymać. Wszyscy po trosze. jak on. nie mówiąc o tem. żalowali chłopaków i przewidywali, jak na probostwie bez nich pusto będzie i smutno.

Zbliżała się ta chwila rozstania. Hołłowicz, który pilno się dowiadywał. kiedy wszystko będzie gotowe, przyjechał raz ostatni dla oznaczenia dnia. Ks. Paczura zobaczywszy go. aż posmutniał. nie śmiejąc się do tego przyznać, iż rad był zwlec odjazd dzieci.

— Ale czego bo się tak spieszycie? rzekł do

Hołowicza — u mnie jeszcze nie wszystko gotowo, to tego, to tamtego brak. bieliznę doszywają.

— Toby im resztę można nadesłać — rzekł dzierżawca.

— Czyż to tam o dzień, dwa chodził — rzekł ksiądz wdychając. Jużbym rad, aby wszystko było, jak należy, w porządku. Parę dziunków.

Zamilkł dzierżawca.

— Jegomości dobrodziejowi bo podobno chłopców żal będzie — dodał.

— A pewnie, nie zapieram się! żal... pustka tu po nich zostanie. Ale co robić, dla dobra to ich, egoistą się być nie godzi. Więc kiedy?

— W Poniedziałek — wyrwało się Hołowiczowi.

— We Wtorek może?

— We Wtorek. ale pewno.

— Co robić! niech i tak będzie.

Chłopcy bodaj stali poddrzwiami w czasie tej rozmowy i pierzchnęli natychmiast, roznosząc wiadomość po całym dworze. Powtarzano sobie: — we Wtorek.

Ks. Pacznra nie odstąpił od tego. aby chłopcy dnia naznaczonego do mszy świętej mu służyli, po której dać im miał błogosławieństwo i dopiero „w drogę pokój i szczęśliwości“ odprawić. Posmutniał jeszcze, biedny stary.

Tymczasem chłopcy w swej izbie pakowali się i rozpakowywali, stały skrzynki otworem, do których i jabłka ofiarne i różne strzępki najpotrzebniejsze wchodziły. Magdalena ciągle coś przynosiła. proboszcz zaglądał, żeby się przekonać, czy umieli sobie dawać radę. Wicek kałamarz był schował do kufra, i dopiero Mamert mu uczynił tę uwagę, że atrament z bielizną nie dobrze się godzi. Jeden Małachiewicz, trwając w swej niechęci dla chłopaków, z drugich się wysmiewał, a sam wcale się nimi nie zajmował.

Nadszedł ów Wtorek naznaczony, i rano, mimo

że deszczyk kropił, co, jak wnosił już proboszcz, podróż mogło powstrzymać. nadjechał Hołłowicz węgierskim wozem wyładowanym, gdyż i dwu swoich synów zabierał, a siano i owies zwykły był brać z sobą w drogę.

Na przedzie było wysłane siedzenie, a gdy jeszcze upakować przyszło dwie skrzynki Wacka i Wicka, obawiać się zaczął ks proboszcz o osie. Uczynił nawet tę uwagę, lecz dzierżawca mu zaręczył, że nie ugiąwszy się stodołę by uniosły. Szli wszyscy do kościołka, a przodem chłopcy oba. Ks. Paczura tak powoli, jakby chwilę wyjazdu odwlec pragnął. W zakrystyi już leżały ich dwie komeżki białe, które po raz ostatni wkładać mieli. Stał Mamert z założonemi rękami, spoglądając na przygotowania do mszy. On już był zawczasu i przykrycie zdjął z ołtarza i świece zapalił. W kościółku, na wieść o tej mszy na intencją dzieci, zgromadzili się z plebanii wszyscy, nie wyjmując głupiego Bartocha klęczącego w kruchcie koło chrzcielnicy. Chociaż msza czytana być miała, Matlachiewicz grać musiał na organach i śpiewać.

Z miasteczka też przybył Seregowicz, kilku mieszczan i babek. Im żal było chłopiąt szczególnie dla tego, że ich przy nabożeństwach brak być miało.

Ze wzruszeniem powoli mszę świętą czytał ksiądz Paczura. Po ostatniem przeżegnaniu, przy którym spojrział na klęczących synowców, jakby łza mu się zakręciła w oku. Powrócili do zakrystyi. Tu, po modlitwie krótkiej, ksiądz włożył komżę i stulę i wyszedł do ołtarza z agendą, pomodlił się klęcząc, zwrócił się dając znak chłopcom, by bliżej przystąpili, i cichym głosem nad schyłonemi ich głowami odczytał błogosławieństwo.

Teraz wszystko było skończone; kulawy Mamert gasił świece wielkiego ołtarza, zasunięto obraz patrona, wszyscy poszli na probostwo.

Skromne śniadanko czekało w wielkiej izbie, do którego i dwu synów Hołłowicza wezwano. Widząc

wszystkich smutnych, dzierżawca starał się być jak najweselszym, humoru i ochoty dodawał.

Nie skutkowało to jednak. Ks Paczura coraz to spojrział na swoich chłopaków, uśmiechnął się do nich i coś szepnął. Młodszy Hołłowicz tymczasem chleb sobie obficie masłem smarował, a starszy z talerza sציגał, bo ich tu nie więcej nie obchodziło.

— Niechże się jegomość dobrodziej już nie frasuje — zawołał dzierżawca, który też darami Bożemi nie gardził i gębę miał pełną — już ja ręczę, że lepszego dyrektora i dozoru na całym świecie niema jak u Miniewskiego. Przeszło już przez jego ręce dzieci dosyć. Rygor jak należy, dyscyplina zawsze pod ręką.

Skrzywił się proboszcz.

— A! różeczką dziateczki Duch Święty bić radzi! — mówił Hołłowicz, a doroślejszych dyscyplina rozumu uczy.

Chłopcy, którzy dotąd znali tylko linie Matlachewicza, puszczali oczy.

Śniadanie miało się ku końcowi, talerze stały zupełnie puste, a masła resztę palcem już do ust młodszy syn dzierżawcy prznosił. Proboszcz wstał, rzucili mu się chłopcy do nóg, bo ich Magdalena nauczyła, lecz ks. Paczura podniósł ich zaraz i do piersi przycisnął.

— Niech Bóg błogosławi — rzekł stłumionym głosem — prowadzi i odprowadza. Uczcie się, Boga bójcie i wracajcie mi zdrowi.

Szli wszyscy, żegnając się do progu, Hołłowicz powtarzał jeszcze.

— Niech jegomość dobrodziej będzie spokojny.

W sieniach nikogo nie było, ale przed plebanią, choć deszcz ciągle kropił, stali wszyscy. Zapłakana stara Magdalena oczy chustką ocierała: kulawy Marmert usta oddał, aby nie pokazać, iż mu się też płakać chciało. Wdali Wicicha i Hruszka i głupi Bartoch, kiwali chłopcom głowami. Z otwartymi ustami, skrzywiony okrutnie, z ręką za pasem, stał Bartoch z oczyma wlepionymi w chłopców. Jednego Matlachewicza,

który wprost z kościoła poszedł do miasteczka. nie było.

Zaczęło się tedy pakowanie na ów wóz węgierski, na który siadł naprzód sam Hollowicz. dalej posunął się starszy syn jego. który miał się przy nim umieścić, młodszy wcisnął się w środek. Siedzenie na przodzie przeznaczone było dla Wacka i dla Wicka, niezbyt może wygodne. lecz dające im czuć obie skrzynki drogie. które tylko trochę sianem przysłano. Gdy się usadowili tak wszyscy, woźnica obejrzał, proboszcz przeżegnał, trzy konie wyciągnęły się dobrze, nim wóz z miejsca poruszyły. Chłopcy kłaniali się jeszcze czapkami i głowami. a stojący ich żegnali błogosławiąc. Proboszcz natychmiast do izby powrócił. wstydził się leż swoich.

Wóz stuknął na progu bramy. wytoczył się i za murem zniknął. A na probostwie zapanowała cisza tak smutna. jakby już tam nikogo nie było.

Następnej niedzieli. jak zawsze na smmę. doszć się parafian zebralo. Kollatorem i najbliższym sąsiadem był pan starosta Andrzej Chryzostom Smiechota. Zwykle nań czekano z smmą, a nigdy na nią nie chybiał. Między nim a ks. Paczurą stosunek był dziwny. bo starosta i wielce szanował i zapraszał proboszcza, i rad był widocznie pozyskać sobie jego względy — a proboszcz. choć mu okazywał uszanowanie i nie miał powodn do najmniejszej niechęci. mimo dobroci swej dla wszystkich, zdala się od dworu w Zalesiu i od pana starosty trzymał.

Gdy się spotykali, jak najlepiej byli z sobą, bo ks. Paczura z nikim źle być nie mógł; przecież poufałości i zażyłości brakło. Starał się o nią widocznie pan Snichota, unikał jej proboszcz. Przecież gdy się o starościę zgadało, oddawał mu ksiądz sprawiedliwość wszelką i przynioły jego wynosił. Ale był powód dla którego, mimowolną czuł doń odrazę ks. Paczura. Pan starosta miał jedną wadę, nałóg czy manię, bo nie wiedzieć, jakby to nazwać wypadało — był pieniaczem.

Takich już dziś na świecie niema. Starosta pieśniał się nie dla zysku, nie ze złośliwości, nie przez chciwość na dobro cudze, ale przez dziwną do prawowania się namiętność. Niepokoił tem ludzi, narażał się im, pieniądze marnował, a bez procesu żyć nie mógł.

Opowiadano o nim, że gdy mu raz szlachcic w sprawie o granicę chciał dla miłego spokoju dobrowolnie ustąpić — zbureczał go.

— Chyba punktu honoru nie masz? jak to może być, ażebyć sobie bez oporn dać brać z przed nosa? he? Mnie się zdaje, że mi się to należy, ale to jeszcze nie racya. Któż to wie? mogę się ja mylić! nie chcę cudzego dobra mieć na sumieniu. Niech sąd rozpozna przy kim słuszość, musisz się kochanku prawować, to nic nie pomoże.

Proces dla starosty był rodzajem walki, ożywiało go, dawał mu ochotę do życia, weselość, różność, gdy mu brakło tego zajęcia, smutniał i nudził się. Kosztowało go to nieraz dużo, ale o to nie dbał. Kupił pono był Zalesie jedynie dla tego, że tu miał widok na trzy sprawy ważne, dwie graniczne o bardzo znaczną dyferencyę, która się na setnicy włók liczyła, trzeci o sumnę na dobrach opartą, jakoby spleconą, przy tem uległą już przemileczeniu, o którą się upomniano. Mniej-zych różnych spraw, jakie chwycił i prowadził, zliczyć było trudno. Więc jeździł po sądach i trybunałach, naradzał się z prawnikami, sam pisał informacye, wglądał we wszystko, gardłował, przynawiał się

od kratek. a znano go z tego, iż prawo na palcach umiał. i radzono go się też chętnie. Dom był zawsze pełen mecenasów. regentów i gości. Szczęściem państwo Sniehotowie dzieci nie mieli a fortunę znaczną. która na te fantazyje starczyła.

Sam pan starosta człek wzrostu bardzo słusznego. chudy. kościsty. trzymał się zawsze prosto. głowa do góry, czuprynę nosił mocno podgoloną, i nastrzępioną, wąs też podstrzygał. Zwykł się być chętnie pod barki brać i ręce za pas zakładać. z czem mu było do twarzy i człek był prezencyi wielkiej. Przytem grzeczny niezmiernie. kłaniający się, wesoly. w komplementach przesadnych łacińskich wyegzercytowany i wymowny. anegdot różnych starych i nowych zawsze obfity miał w zapasie. Pić bardzo nie lubił. ale do kielicha, gdy było potrzeba. stanął. i tych co słynęli z tego, że czysto koło szkła chodzili, zawsze pobіл. W domu. gdy obyczaj nakazywał, poił. sam wołał trzeźwym być. Tak samo z jedzeniem. nie gardził niem, ale do niego wagi nie przywiązywał. W plikach papierów siedział ciągle.

Gdy mu zajęcia nie stawalo żywego. naówczas lubował się w przeglądaniu starych procesów rozmaitych. szczególnie o posiadłości ziemskie i nikt od niego lepiej nie znał status causae ordynacyi ostrogskiej. albo sławnego owego procesu kapituły wileńskiej.

W papierach u niego ład był większy niż w gospodarstwie. w którym sami się ekonomowie zarządzili i niemilosierpie go okradali.

Sama pani Sniehocina. Anna imieniem, z domu Brzechwianka, kobieta była miłująca spokój. cicha. pobożna i dobra. a dla jegomości gotowa i cierpieć i milczeć i czynić, co kazał. byleby mu z tem dobrze było, to też może przykładniejszego małżeństwa nad to na świecie nie było. Szanował ją Sniehota i z wielkiem był dla niej przywiązaniem, ale miał taki obyczaj niedobry, że mimo to przy niej często na kobiety wyrzekał, przesmiewał i przykrość jej tem czynił.

Szło to tak sobie żartami, — a pani starościna, ostrzelana już z temi wybrykami, milczeniem je pokrywała.

Bezdzielni, samotni. krewnych nie mając blizkich. rozrywali się. jako mogli, on procesami, ona wychowywaniem dziewcząt, których u niej zawsze, pod jej okiem. pięć do sześciu bywało w fraucymerze. Gdy z nich która dorastała, przyjętem już było. że starosta dawał dwa tysiące złotych posagu i sutą wyprawę. Sprawiano wesele jak własnemu dziecku. i te wychowanki starościnej, wszystkie jakoś szczęśliwie jej poszły, a dobrze się za mąż powydawały. Jedna nawet bardzo majątnemu człowiekowi poślubioną została. Starościna zwała je dziećmi swemi, a obchodziła się z niemi jakby rodzone jej były.

Dwór w Zalesiu. u państwa Sniehotów. już niemal na pański zakrawał. jeździli kareta poszóstną, mieli dworzan kilku. kapelana bernardyna w domu. starego krewniaka u nas marszałka dworu, a służbę pośledniejszą bardzo liczną. — zaleski dom też poprawiony i dobudowany dosyć się prezentował okazańie. Była w nim i sala z chórkim. i pokojów gościnnych dosyć i różnych zakomórków a schówek do zbytku — a choćby się zjechało jak najwięcej miłych braci. miejsca dla nich nie zabrakło. Piwnica i knecnia, zaspособione dobrze. starczyły na wszelkie wypadki.

W stajni kilkadziesiąt koni zawsze było w pogotowiu. Gościnność starodawna, uprzejma, braterska, drzwi otworem, a łacniej kogo zatrzymano gwałtem. niżby się go pozbyć miano.

Ze szczegółyim był ks. Paczura szacunkiem dla starościnej—jednak nie wezwany nigdy do Zalesia nie zajrzał, a po nabożeństwie bywało, iż się nawet z panem Andrzejem nie widząc. dawał mu do domu odjechać. Wprawdzie Sniehota, mając kapelana w domu, pomocy duchownej tak dalece nie potrzebował, a przecież za proboszczem, którego lubił—tęsknił.

Bywał ks. Paczura u nich zwykle na Wielkanoc. na św. Andrzeja i św. Annę, rzadko inaczej. Jednak

kollatorowi należne uszanowanie okazywano. Czekano ze mszą świętą w niedzielę na niego, na którą do parafialnego kościoła z obowiązku nigdy przybyć nie omieszkał, choć miał w domu kaplicę. Trzeba było choroby ciężkiej, by Zalesie chybiło, a i w takim razie, przysłano kogo i ze dworu. Mieli kollatorstwo ławkę swoją suknem wybitą, podawano im pierwszym patynę do pocałowania. Szli za celebrującym na processyi. W czasie obchodu Bożego Ciała, starosta księdza nosącego ciężką firlejowską monstrancję zwykle podtrzymywał. Jednak stosunki były ceremonialne i chłodne.

Z ks. Serafinem, kapelanem starostów, ks. Pacznra był w najlepszej komitywie, często gęsto pomagał mu on do spowiedzi i posług duchownych, ale to nie zbliżało go do Zalesia.

Tej też niedzieli chwilę czekać musiano, nim się poszóstna karetą i za nią bryka ukazała. Gdy ją spostrzeżono na drodze, dano znak i głupi Bartek na sunnię uderzył w dzwon wielki, za którym mieszczańskie chłopaki ruszyły resztą dzwonów. Lnd, który stał na cmentarzu, zaczął płynąć do kościoła. Mamert świece wszystkie, wielkie i małe zapalał. Matłachiewicz już był na chórze, na który kilku swoich wybranych pusił.

Stanęła landara przed bramą, i ukazał się starosta, jak zwykle, wyprostowany, z miną pańską, pod rękę wiodąc drobną i małą żonę swą, oslonioną czarnym welonem. Za nimi szli ks. Serafin i dwoje dziewczątek jednakowo ubranych, z pańskiego francymeru, oraz stara Ościńska, która miała dozór nad niemi, i ów major domus, rezydent marszałkujący p. Prawutyński Hieronim; też okazałej postaci człowiek, który z powodu słabych nóg, na lasce się podpierał...

W kosciele ustapili się im wszyscy tak, że mimo ścisku, mogli dojść wygodnie do swej ławki. przy której Prawutyński zajął miejsce z boku.

W tejże chwili zasygnowano na sunnię i ks. Pacznura wyszedł z zakrystyi, ale — zamiast dwu chłopac-

ków, do których już byli wszyscy nawykli, takich zręcznych, pięknych, z miłemi twarzyczkami, na których serce się patrząc radowało, Mamert dobrał dwóch z miasta dzieciaków i to z wielką biedą, których ledwie wyuczono jako tako do ampułek i mszału, nie wymagając ministrantury. Jeden od Seradowicza, chudy był i cienki, a niezgrabny, bo już na stołku szewcowskim siedząc, nogi sobie pokrzywił; drugi pędrak mały, co go ledwie za kratkami widać było, pyzaty, ciężki i przestraszony, ledwie szedł. Wszyscy zaraz dostrzegli zmianę, a staroście tak ubytek dwóch serwitorów był jakoś przykry, że mu to w nabożeństwie dystrykcję robiło.

Odezwał się aż, wstając na Ewangelię do jejności: — Co się to z księdza chłopcami stało? — Naturalnie starościna odpowiedzieć nie mogła. Inni też w kościele zaraz zauważyli, iż zmieniono służbę przy ołtarzu, wszystkim brakło Wacka i Wicka. Najbardziej jednak bodaj staroście.

Po nabożeństwie i odśpiewaniu pieśni, na którym dotrwali państwo oboje, starosta, co się bardzo trafiało rzadko, szepnął coś żonie, i wyszedłszy na cmentarz, zamiast do powozu wprost — skierowali się oboje na plebanję.

Ks. Paczura, który się tych odwiedzin nie spodziewał, gdy mu o tem dano znać, pośpieszył za nimi tak, że ich we drzwiach napędził. Szedł też i ks. Serafin i Prawutyński, tylko Ościńska z dziewczętami wprost do Zalesia odjechała.

Witano się z wielką grzecznością a proboszcz, drzwi otworzywszy do sali, zapraszał.

— Nigdybym jegomości dobrodziejowi moją wizytą naprzykrzony nie był — ozwał się starosta. — gdyby nie szczególna okoliczność. Tknęła mnie absencya dwóch chłopaków, do których nawykły oczy nasze. Czy uchowaj Boże nie pochorowali się?

— Bo to teraz choroby różne dziecinne panują — dodała starościna.

— Al nie. dzięki Bogu — wzdychając odparł proboszcz: — dura lex. sed lex, trzeba było oddać do szkół. Czas nadszedł. Ścisnęło mi się serce. zwlekałem... w końcu... trzeba było... trzeba było.

Smutny wyraz twarzy dowiódł, jak po nich ks. Paczurze bardzo było tęskno.

— Powiem panu staroście — dodał skłonny jakos tego dnia do otwartości proboszcz — że i dla chudej plebańskiej kieszeni i dla serca stryjowskiego ciężki to był casus. a no... co było robić!!

Rozśmiał się, twarz chustką ocierając. Starosta i staroscina spojrzeli po sobie.

— A ja. ks. proboszczu dobrodzieju — rzekł starosta poważnie — Bóg widzi, patrząc na chłopaków. miałem do was zanieść prośbę.

Żartobliwą zrobił minę.

— Oto moja dobrodziejka — wskazał na żonę — zawstydz mnie. sromoci. nie może językiem, to factis mnie upokarza. Wychowuje sieroty dziewczęta naumyślnie, aby światu pokazała, co to za nienżyty i twardy człek ten jej mążysko... Cierpiałem, cierpiał — aż miarka się przebrała — vicisti Galilee, postanowiłem albo mojej jejmości dorównać, lub ją zawstydzić. i — choć dwu chłopców wziąć na wychowanie. Przyznasz jegomość dobrodziej. że jej pięcioro dziewcząt to jeszcze nie dochodzi wartością dwóch chłopaków ..

Rozśmiał się i popatrzał po słuchających.

— Chciałem się właśnie, dodał. dopraszać laski waszej, abyscie mi te sieroty wasze powierzyli. A tu — czy moja jejmość zaintrygowała? he? przyznajcie się?

Proboszcz stał zakłopotany. uśmiechała się pani.

— Gdzie się chłopcy podzieli? zapytał starosta.

— Wyprawiłem ich z Holłowiczem do Lublina do dyrektora — rzekł ks. Paczura.

— Niech i tak będzie — przerwał starosta — ale pozwólcie, aby nie na waszym koszcie byli, lecz na moim. inaczej mi moja jejmość oczy wykałać będzie.

Ks. Paczura stał mocno skonfundowany, gdy starosta ruszył go uściskać.

— Proszę o to jako o łaskę — jako o środek jedyny utrzymania zgody i pokoju między małżeństwem...

— Panie starosto... mruczał proboszcz.

— Nie wymówisz się — nie pomożesz! Chłopców biorę na mój koszt, aż do wyzwolenia ich... inaczej nie będzie. Jest to dla mnie konieczność — jejmość biorę za świadka...

— Ale tak! tak! poczęła żywo staroscina — dla świętego spokoju... bo ja mu go nie dam inaczej.

Zaczął proboszcz dziękować.

Dawniej — inaczej się dobrodziejstwa świadczyły i przyjmowały. Dziś jest więcej dumy w ludziach, bo miłości mniej jest. Dawniej dawał brat bratu, a prosił jak o łaskę, by przyjęto; przyjmowano bez sromu, bo każdy oddawał drugiemu, co wziął od pierwszego.

Pojęcia i uczucia z obu stron niezmienne się odmieniły w tym względzie. Duma nie dopuszcza od obcego przyjmować nic, a dziś i brat jest obcym, gdy dawniej obcy był bratem.

Ks. proboszcz, zawahawszy się pół chwili, ani mógł, ani chciał odrzucać ofiary możniejszego pana, któremu ona czyniła przyjemność, dla dzieci była rękojmią swobodniejszego rozwijania się, a może lepszej przyszłości...

Oboje starostwo poweseleli, ucieszył się ks. Serafin, a że chciano podziękowań uniknąć, zaprosił na jutro na obiad proboszcza do Zalesia Śniehota. Karetę podeszła pod bramę dziedzińca, i wyjechali.

Ks. Paczura pozostał w niej długo jak upojony, modląc się po cichu i sam nie wiedząc, jak Bogu dziękować za to dobrodziejstwo.

Jeszcze stał tu, gdy nadszedł Hołowicz, który był z ekonomem ze wsi sąsiedniej zagadał się na cmentarzu.

— Słyszałeś, co się stało? zawołał do niego proboszcz... łaska z nieba spadła na moich chłopców... Starosta ich wychowanie na siebie bierze!

Hołłowiczowi wcale to nie było na rękę — skrzywił się nieco i głową pokiwał — lecz winszować musiał. Cała spekulacya na ordynaryi i dyrektorze — upadała...

— A no — rzekł — winszuję — jeśli jest czego?... da się to widzieć — Pańska łaska na pstrym koniu jeździ.

-- Daj-no pokój — daj — nie denigruj przed czasem... Wola w tem dobra jest — niech im Bóg płaci.

Zamilkł Hołłowicz. Biedny człek naprzódby był wolał bodaj swoich dwóch synów dać starości. potem zatrzymać tych dwu dla ordynaryi... Smutno mu się zrobiło. Pomyślał tylko: Są ludzie szczęśliwi.

Nazajutrz proboszcz. kazawszy nową rewerendę wytrzepać. ustrojony siadł na bryczkę i do Zalesia pojechał. Ks. Serafin go. mówiący pacierze na gościńcu schwycił — i poszli razem z nim pieszo.

— Widzicie. dobrodzieju mój — a nie mówiłem? — odezwał się ks. Serafin — a nie dobry ze starosty człek? Serce złote!... Ma swoje ale... a któż go nie ma? W piersi się uderzmy.

— Albożem ja kiedy. uchowaj Boże, ujmował mu? — zawołał proboszcz.

— Ja tego nie mówię — a no — serca do niego nie mieliście. Tymczasem kto go jak ja zna bliżej, na pasek św. Franciszka patryarchy naszego, ojciec mój — złoty człek. Myślicie. że mu kto poddał tę myśl względem chłopców! Uchowaj Boże! W modlitwie mu przyszła, gdy tych chłopców przed oczyma nie stało... A tak się tem cieszy — rozśmiał się bernardyn — jakby proces wygrał.

— Otóż to te procesa! wtrącił po cichu ks. Paczura — mój ojciec — do czego to? do czego?

— Caro infirma. rzekł Bernardyn, oto ja ks. proboszczowi powiem coś, czego sam byłem świadkiem. 'Toczył się proces w Morochowsczyźnie ze szlachcicem. z Wybranowskim. Zaciął się Wybranowski. i choć nie majątny stawiał mu czoło — do upadłego.

On też — w to mu graj. Lat sześć trwało to pieniacstwo, wodzili się po trybunałach. kondemnowali, apelowali, ciągli, rwali, aż nareszcie, co łatwo było przewidzieć, Sniehota wygrał. Wybranowski padł... tak, że się już na ostatni trybunał fantował. i zostawił dwa pasy i karabelę sadzoną... A tu trzeba było kosztą jeszcze opłacić. Wyrok wyjęto.. Sniehota nasz posmutniał — wprost tedy do Morochowszczyzny. do szlachcica... Gdy przed dworek zajechał, Wybranowski myśląc, że urągowisko. z szablą wyszedł w ganek. a ten mu na szyję: — Niech cię nsciskam — zrobiłeś mi satysfakcyę prawdziwą. nie dałeś się — broniłeś. dojadłeś mi, — szamję. — Otóż widzisz. przyjechałem, aby ci wszystko wrócić i dyfferencyę i kosztą. A mnie to po co? Jam charakteru w waści macał a nie worka. Przyjaciółmi bądźmy i kwita.

Odtąd Wybranowski go pod niebiosa wynosi.

Doszli do dworu. a tu ich starosta przyjął i sama staroscina serdecznie, i proboszcz rad nie rad dał się ująć dobrocią. Umówiono się o utrzymanie chłopców, do których zaraz starosta posłał Prawutyńskiego, aby opatrzył. co było potrzeba. Sama staroscina posłała im bieliznę, suknie, — słowem chcieli, aby im na niczem nie zbywało.

Za to pretendował Sniehota, aby część wakacyi spędzali u niego, i w czasie świąt, choć parę razy z probostwa przybywali do Zalesia.

Tak się to poszczęściło sierotom. a zarazem i proboszczowi. któremu, by ich wychować. jak należy, było ciężko, zwłaszcza przy takim dzierżawcy. Niezły był człowiek z Hołowicza, ale i on i żona zbyttnio o swoim pięciorgu robaczków pamiętali.

Zaraz tedy na święta Bożego Narodzenia. gdy ich przywieziono, nazajutrz się musieli jechać stawić i pasć do nóg staroście. Okarmiono ich tam i ponatykano kieszenie i odprawiono do stryja. Tu była radość wielka, a opowiadanie nie. kończone o szkole. o nauce. o różnych przygodach strasznych. jakie przechodzili. Chłopców po wszystkich kątach było pełno.

pytała Magdalena. trzymał w zakrystyi kulawy Mamert. a biedny głupi Bartosz. jak cień się wleczał za nimi. zęby wyszczerzał i śmiał się zdaleka. Gdy ich wesołymi zobaczył, sam też podrygiwał. rzucał rękami, głową trząsł. rygotał w kulak. a gdy nim ta radość owładła do szalu. uciekał z oczu ludzkich.

Jeden Matlachiewicz utrzymywał. że się tylko w szkole gorszej swawoli nauczyli — wszystkich figlów i psikusów studenckich...

Proboszcz, który ich wziął na ścisły egzamin z łaciny. rad był z nauczycieli. Z historii świętej też Wacek szczególnie wytrzymywał najsurowsze badanie. Nie można jednak zaprzeczyć. że czasu świąt było i swawoli dużo. Na żart chodzili po miasteczku z jasełkami, poprzebierani. straszili pod oknami, Wicek się w kożuch na wywrót przystroił i jakieś niebywale stworzenie reprezentował. Nie było w tem tak dalece nic złego. W czasie nabożeństwa w kościele rażno też dopomagali Mamertowi.

Na Wielkanoc potem przyjechawszy, oni z nim nbrali grób wielko-piątkowy w bocznej kaplicy. a może nigdy nie był tak ustrojony i oświecony jak teraz. nigdy drewniani rycerze nie stali butniej na straży i lampy nie były ustawione misterniej. Zieloności dużo po ogrodach napsuto, aby przybrać grób na podziw pobożnym.

Na święcone i proboszcz i oni pojechali do Zalesia. Tu zjazd był zawsze wielki. i przez tydzień nie schodziła zastawa ze stołów. a niekiedy na Zielone święta ją odnawiano. Wielkanoc w tym roku przypadała późno. a wiosna wczesnie nadeszła. więc zabawić się było można i w grodzie. a u starostwa był ogród staroswiecki szpalerowy. w kondygnacyach. ze strzyżonemi drzewami. które podziwienie obudzały. Dwa świerki szczególnie ostrzyżone w kształcie długich pudełek z gałkami na wierzchu. były dla okolicy cudem świata. Co rok. na wiosnę przystawiano do nich drabinę i nietłosciwie młode gałęzie ogromnemi nożycami postrzygano tak, że biedne drzewa na zewnątrz nie

mogąc rosnąć. w środku gęsto zbitemi. czarnemi się okrywały wypustkami — i stały jak z muru ciemnego zbudowane. Oprócz tego duże długie ulice, jak zielone korytarze, dwiema okrągłemi altanami zakończone. w lecie nie przepuszczające promieni słonecznych mogły służyć za schronienie w największe upały.

Tu dopiero chłopaki się rozkoszowali. biegając na wyprzodki i przypatrując mnóstwu ptactwa. które się gnieździło po gestwinie. Gniazd bocianich. czaplich. wronich, nie licząc drobnego skrzydatego tłumu. co niemiara było. W sadzawkach cembrowanych mogli widzieć rzucające się karasie i lin... Tu — z mnóstwo ślimaków dostarczało przedmiotu do ciekawych obserwacji... Brano jednego z nich i przemawiano goń wedle starej formuły:

Ślimak, ślimak — wystaw rogi,
Dam ci grosz na pierogi...

Ślimak z wolna wysuwał rogi z pod skorupki i dostawał po nich gałązkę. czem skonfundowany. na nowo uciekał. cały chowając się w swym domku... Ogród to był pełen dziwów i czarów. a osobliwszym w uim przedmiotem — dla którego widzenia nie żał było przebiec w drugi jego koniec, — była grota cała muszlami wysadzana. Niegdys tryskała z niej woda. lecz gdy prowadzące ją rury się popsuły, stała sucha; ściany jej, odziane całe kamyczkami świecącemi i skorupkami osobliwych barw i połysków. podziw obudzały w chłopcach. Po nad nią i do koła jej rosły różne dzikie krzewy. przypominające nieró to ich schronienie pod murem cmentarnym, w którym niegdyś siadywali. Tu jednak daleko było piękniej — a coś tajemniczego nęciło do niej. Słońce nigdy nie dochodziło do tego kąta, powietrze przesiąkło było jakąś wilgocią i zapachem dziwnym... Zdawało się, że jakieś poczwary, duchy i widma zamieszkiwać tu i gospodarować musiały, gdy ludzi nie było. Do wrażenia, jakie czyniła grota. przyczyniało się i to jeszcze że — jak mówili pocichu dworscy — jeden z dworzan poprze-

dniego dziedzica z niewiadomego powodu odebrał tu sobie życie... Wiele lat upłynęło od tego czasu, a jeszcze okazywano na ziemi coś, jakby kształt nieforemny ciała ludzkiego przedstawiającego, szczególną okrytego pleśnią, która starta wracała... — tak pamięć nieszczęścia i występku przechowała się widomie. Nikt nigdy stopą nie śmiał dotknąć miejsca tego, ale mu się przypatrywano ze zgrozą. W samym końcu rozległego ogrodu była ciekawość jeszcze większa — wzgórze, na którym niegdyś miało stać zameczysko... Nie pozostało już teraz z niego nic, oprócz stosu kamieni i studni... Była ona kamieniami też ciosanemi ocembrowana, a tak głęboka, że gdy w nią kamyk cisnięto, trzeba było czekać dobrą chwilę, nim upadł na duo. Chłopcy też nigdy nie omieszkiwali, wszedłszy na wzgórze, rzucić w głąb jej po kamyku...

Kaplica, w której gospodarzył ks. Serafin, stała także w ogrodzie, ale była drewniana i po kościółku w Borusławicach wydawała się małą. Staraniem pani samej ubrana była zawsze bardzo pięknie, a na Maj pełna kwiatów. Zwykle nawet przez cały dzień dla wpuszczenia powietrza stała otworem, lekką tylko kratką przezroczystą zamkniętą. Można się więc było jej przypatrzeć, i cudownemu obrazkowi Matki Boskiej w ołtarzu, i pięknym ławkom, i mnóstwu drobniejszych wizerunków, któremi ściany były okryte. W czasie świąt Wielkanocnych drugiego już roku, gdy chłopcy tu przybyli i wybiegli oglądać te osobliwości. — czas był piękny, dzień prawie gorący, liście na drzewach już spore... Zapędzili się aż pod grodzisko, zwane górą zamkową... Nikogo tu niebyło, sami mogli huknąć i gospodarować i dokazywać, jak się im żywnie podobało. Nagle Wicek schwycił brata za kołnierz i wstrzymał go, krzycząc: — Tst!

Stali wśród gąszczy, po za którą szedł szpałér. Właśnie tą ulicą idącą, postrzegli całą gromadkę jakąś w sukienkach białych. Była to wypuszczona na przechadzkę kupka wychowanców starościnej, pod dozorem starej pani Ościńskiej, idącej za niemi Dzie-

wczętka wesoło podskakując, zupełnie się tak radowały wiośnie i ogrodowi, jak dwaj nasi młodzi Paczurowie. Skromniej tylko objawiała się ta radość i ciszej a ostrożniej tryskały śmieszki

Przodem szły dwa małe dziewczątka, trzymając się za ręce, z włosami krótko poostrzyżanemi, jedna ładna, druga ospowata i brzydka, chorobliwie a blado wyglądająca.

Obie miały w rękach po garści narwanych w cieńnin przelaszczek... Za niem szły dwie drobne słuszniejsze, osobną stanowiące grupę, bo latami już nie dozwalały uczestniczyć w swawoli pierwszych. Na ostatku przy, a raczej przed samą panią Osińską szła jeszcze starsza, może dziesięcioletnia dziewczeczka z kosami zaplecionemi we wstążki niebieskie spadającemi jej na ramiona. Ta szła już jak osoba dojrzała, sama z sobą, zadumana, myśląca, w ręku trzymając jeden kwiatek, duży liliowy anemon, okryty srebrnym z wierzchu włosem, wcale to zjawisko pierwszych dni wiosny, które wprzódki kwiat puszcza niż liście, i trwa... jeden dzień wiosenny.

Sliczną miała twarzyczkę zadumana dziewczeczka, już prawie nie dziecinną, tak powagi pełną, a jeszcze rysami i krojem aniolkowatą i dziecięcą. Coś myślała, na kwiatek patrzyła, to znów gdzies tak w głąb, w świat, jakby czego szukała — co się przez całe życie znaleźć nie może. Oczy jej duże, czarne, myślące, z pod spuszczonej główki, błyskały ogniem jakimś, już zwiastującym myśl, cierpienie i rozpoczęte zawczasu życie.

Oba bracia skryci za krzakami, przypatrywali się dwom pierwszym trochę i dwom drugim także pobieżnie, ale ta ostatnia — ta ostatnia, idąca tak mierzonym krokiem, powoli, z tym w ręku kwiatkiem, z kosami długimi, z oczyma czarnemi, wymierzone mi wprost na nich — przestraszyła ich niemal. Chcieli nieciekać i stali jak wryci... Nie widziała ich sierotka, bo byli schowani dobrze za młode krzaki w gęstwinę, ale im się zdawało, że na nich tak temi oczy-

ma strasznemi patrzyła, że im coś mówiła niemi... Nie rozumieli tej mowy, a przeraziła ich, jak pytanie jakie. na które na świecie odpowiedzi nie było...

O co ona pytać mogła temi oczyma czarnemi — ta smutna dziewczeczka?... Przeszła cała gromadka i już ją tylko widać było migającą za krzakami wśród zielonych gałęzi — a chłopcy jeszcze schyleni stali — i zdało im się, że przed nimi ciągle było widmo tego dziewczęcia pytającego oczyma?

Nagle obaj rzucili się uciekać... Strach ich ogarnął. Biegli aż na drugi koniec ogrodu, i tu dopiero stanęli zadyszani, patrząc się na siebie. Wacek był zadumany, a Wicek głową trząsk... Nie mówili nic do siebie... Odpadła ich ochota do swawoli, spoważniali nagle... Żaden z nich drugiemu nie powiedział o tem zjawisku ani słowa, ale je tak dobrze zapamiętali, jakby nie jeden, ale sto razy mieli je przed oczyma. I gdy tegoż roku na wakacje przybywszy, pojechali znowu do Zalesia, upaść do nóg staroście, a żona jego wieczorem chcąc ich zabawić, do wielkiej sali z chórkami pozwoliła przyjść sierotkom swym z Ościńską, aby grali w cinciubabkę, pierścionek i cztery kąty a piec piąty — gdy weszła też sama dziewczeczka z pytającemi oczyma, poznali ją od razu. Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się i zrozumieli.

Tu się dopiero dowiedzieli z odezwania się przy-
padkowego Ościńskiej, iż to dziewczę zwano: Kocia — z czego Wacek wniósł, że mogła mieć imię Konstancji, i oba je dobrze zapamiętali... W czasie gry, gdy inne dosyć wesoło rozbawiwszy się swawolily i śmiały, jedna ta Kocia pozostała poważną, jak jej wiekowi przystało, zamyśloną, i choć w grach była bardzo zręczną, bo jej nigdy ani złapać nie było można, ani na niczem pochwycić — milcząco się trzymała i z wielką na siebie pamięcią. Chłopcy usiłowali się zbliżyć do niej, ale tak się zręcznie im wymykała, iż musieli tego zaniechać... Strach ich jakiś ogarniał, patrząc na nią.

Ze wszystkich dziewczynek była najstarszą, rej

też między niemi wiodła, najstaranniej była ubraną, a z pewnych oznak i troskliwych wejrzeń starościны wnosić mogli, iż szczególne u niej miała względy. Gdy wśród gry kosa się jej jedna rozpuściła, starościna ją do siebie przywołała, postawiła oparłszy o swe kolana i sama jej włosy zaplotła. — Dziewczę pocałowało ją w rękę, a pani w główkę...

Wszystko to Wicek i Wacek widzieli i zapamiętali. Na obu ich dziewczę w czasie zabawy żeby też choć raz spojrzęło; dopiero gdy się rozchodzili—Kocia żegnając, każdemu z nich dała po jednym owem wejrzeniu pytającym, które ich przejęło i zmieszało tak, że się nawet zapomnieli jej odklonić...

A gdy wrócili na probostwo, nic sobie nie mówiąc, myśleli bardzo niepotrzebnie o tej Koci, posiadawszy w kątach wielkiej izby, że aż ks. Paczura wszedłszy, musiał ich budzić.

— Co wam u licha — powróciliście, jakby starosta połajał — czy co?

— Ale! chowaj Boże! chowaj Boże! — odezwali się oba razem.

— Cóż was, chyba drzemka porwała?

Wyszli tedy oba w dziedziniec. i tak się zadumy skończyły...

II.

Upłynął lat dziesiątek... W lat dziesięć. mój Boże, co się to stać i odstać może! Ile ludzi odpoczywać idzie. a ilu trudzić się na świat przychodzi! Jak się zmieniają serca i twarze, myśli i uczucia?!

A czasem — lat takich dziesięć w cichym kątku przeleci i prawie ich niema znaku. Żyje się tu powoli — dłużej... na twarzach nie depczą ścieżek dni. co ciężko idą. łzy rowów na licach nie kopią — śmiech warg nie wykrzywia. i po latach dziesięciu zastajesz tych samych zasuszonych ludzi... jak byli.

Nie zupełnie jednak można to było powiedzieć o Borusławicach. Tu wiele zostało i wiele się też odmieniło.

Najprzód ks. Paczura. prawda. że trochę więcej suwał nogami. że mu gdzieniegdzie włos się srebrzył jasniej, że gdy brewiarz w ręce brał, odrobinę mu się trzęsły — a jednak do chorych na wózku jeździł jak dawniej — pełnił swe obowiązki. nie zwalniając się z nich i wikarego nie trzymał. Z otoczenia jego, nieznośny Małachiewicz wyniósł się od lat kilku do Lublina, gdzie roku nie wybywszy, chciał nazad powrócić do Borusławic — ale tu już miejsce jego zajmował niejaki Drujewicz. który głosu wprowadzie tak dobrego nie miał. lecz na organach grał lepiej i pokorny był a spokojny. Tyle tylko. że nadto spać lubił. Małnert kulawy zawsze królował w zakrystji. Magdalena skurczona. bo cierpiała na krzyże, chodziła jak przed-

tem. wykrzykując: — „O panie ty mój miłosierny... zlituj się nademną...”. Nawet głupi Bartek, który się niepomniecznie roztył i jeszcze przez to poczwarniejszym zrobił, żył, dzwonił, po dzwonienu leżał na trawie i śmiał się. Nie przybyło mu rozumu, ale brzucha.

Holłowicz owdowiał i z dziećmi sobie rady dać nie mógł. Synowie i córki górę nad nim brali tak, że powagi proboszczowskiej używać musiał, aby ich poskramiać, i władzę swą utrzymać. Szczególniej ten mały, który w młodszym wieku takim apetytem się odznaczał, podrośszy, ciężkim był dla ojca...

Tak było z ludźmi w probostwie i koło niego. a zajrzawszy do kościółka. powiedziałbyś, iż go widziałeś wczora. najmniejsza rzecz z miejsca się nie ruszyła. — nic nie ubyło. a przybyło nie wiele. Przenośny Ołtarzyk Niepokalanego Poczęcia na nowo był odzłożony. jedną chorągiew fundowało bractwo nową i świetną. kilka wotów zawieszono u obrazu, zresztą grobowce owe nieznanych i zapomnianych ludzi. stara chrzcielnica. ławy. konfessyonały — zdawały się być nieśmiertelne, tak na nich czasu ubiegłego nie znać nie było ..

A chłopców, tych dwu małych w komeżkach. co koło nich chodzili — poznaćby teraz nie mógł, kto by ich rosnących nie widział. Obaj już byli pod wąsem, młodszy lat dwadzieścia liczył, obaj szkoły pokonczyli z łaski pana starosty. i jeden trzymał folwarczek dzierżawą, drugi wszystkimi jego lasami zawiadywał, nie tylko w Zalesiu, ale w innych dobrach.

Lata jeszcze ich bardziej zrównały z sobą. trudno było poznać, kto z nich młodszy był. kto starszy — z twarzy dosyć do siebie byli podobni, tylko Wacek posepniejszą miał i zamysloną, Wicek bystrzejsze wejrzenie, mowę. i więcej usmiechu. Porosli oba jak dąbeczaki, a kto na nich spojrzał, musiał przyznać, że o urodziwszych trudno było.

Cieszył się nimi niewymownie ks. Paczura, a gdy który z nich go odwiedził. on zwykle dosyć powolny, wpadał jakby w gorączkę, biegać chciał, wołał i nie

wiedział jak przyjmować. Wiele też on w milczeniu o czym nikt nie wiedział w świecie. przecierpiał dla nich... i przez nich. Bóg jeden policzył te przebyte godziny trwogi... Bał się dla nich wszystkiego, prób młodości, sideł niedoświadczenia, gorączki serca. zapędów myśli, wpływu ludzi, zarazy świata... Za każdym przyjazdem, nie śmiejąc słowy, badał ich oczyma, potem zapuszczał jak sondę na dno morza jakieś słówko. co z duszy. z głębi wyciągnąć coś miało... i drżał — co przyniesie słowo, czy potwór jaki morski. czy zeszlą trawę. czy przezroczystej kroplę wody?

Dziękował potem Bogu. bo szczęściem, dusze były czyste, serca pocziwe, i na pozór szło wszystko tak dobrze, tak pomyślnie jakoś. tak się im obu wiodło, iż więcej życzyć nie było podobna. Wacek polubił polowanie i lasy. starosta mu dał panowanie nad rozległemi puszciami, w których mógł królować. Wicek się brał ochoczo do gospodarstwa. zamiast go wsadzić na ekonomię, dał zaraz małą dzierżawę płatną z dołu. pomógł do zagospodarowania. i cieszył się tymi wychowañcami. jakby dziećmi własnymi. Lubiała ich obu bardzo pani staroscina. mieli łaski u wszystkich... Co rzadko. umieli oni być wdzięczni i proboszczowi i starostwu. a gdyby za nich życie dać przyszło. nie żałowałiby go. Skinąć tylko było, biegli wyprzedzając żądanie...

Jedna rzecz wydawała się dziwną i smuciła ks. proboszcza. Bracia, którzy długo kochali się z sobą, jak dwoje sierot. co siebie tylko mają na świecie — ostygli od niejakiego czasu dla siebie, zdawali się unikać. i nie okazywali tej miłości, jaka ich dawniej łączyła. Nie poróżnili się. ani, uchowaj Boże, do waśni między nimi nie przyszło, byli z sobą niby po staremu a czuć było przecież. że coś między nimi stanęło.

Gdyby kto na Wacka śmiał słowo rzec w obecności Wicka, ująłby się gorąco pewnie za brata — jak jeden tak drugi... nigdy żalem nie poskarżył się

o nic, — a proboszcz przecię czuł, przeczuwał raczej, że już tam między nimi dawniej jedności nie było.

Przyczyny się do badać, ani domysleć nie umiał. Chciał ich poddać jakiejś próbie. a składało się tak zawsze, że gdy jednego do siebie zawołał, drugi stać się nie mógł. Pojedynczo ich badając, do niczego nie doszedł. Czasem sobie mówił, że to mu się może tak zdawało tylko. z wielkiej o nich troskliwości modlił się do Przemienienia Pańskiego. aby, jeśli co było. na lepsze zmienić się mogło.

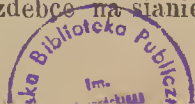
W istocie, bracia teraz rzadko się z sobą spotykali. Folwarczek, który Wicek trzymał dzierżawą. o mil trzy był oddalony od Zalesia. Wacek zaś albo po lasach się włóczył i objeżdżał je, lub w samem Zalesiu przesiadywał. Lasy naówczas, choć ich w większych dobrach dopilnowano. nie bardzo były zagospodarowane. Taki pan lesniczy głównie strzedz musiał. aby obcy włościanie nie wyrąbywali się, a gdy las sprzedawano, aby kupiec nie wywiózł więcej, niż mu należało. Roboty nie było wiele. wańczosy i belki poznać... z leśnikami się rozmówić, zapolować, gdy było zwierzyuny potrzeba, na rubieżach kopców i sosen ze znakami dojrzyć... od pożaru strzedz... Czasu było wiele na spoczynek i zabawę. Ale Wacek do zabaw wielkiej nie miał ochoty.

W czasie wolnym od zajęcia nastrecał się do wszelkich małych usług dworu, staroście jego skrypta przepisywał. bo charakter miał piękny. czasem do gości przychodził do dworu, gdy ich więcej przyjechało. a regularnie też do stołu go wołano, gdzie rozmową starostę zabawiał. Człowiek z niego może nad wiek stał się poważny i wytrawny. płochości nigdy się po nim żadnej nie pokazało, pobożnym też był bardzo i choć dorodny mężczyzna. gdy trzeba było do mszy św. ks. Serafinowi posłużyć. chętnie komeżkę wdziewał. Wszystko to razem łaski mu wielkie jednało u obojga starostwa i zachowanie. którego drudzy zazdrościli.

Można było powiedzieć. że we dworze na równi

w łaskach tych stało u państwa dwoje. Jeden Wacek Paczura. i druga panna Konstancja Rewnowska, owo dziewczę z czarnemi pytającemi oczyma. które bracia niegdyś z kwiatkiem w rękę idące, przez szpaler widzieli. Z dziewczęcia wyrosła ona na słiczną pannę, tylko jej te czarne. dawniejsze oczy pozostały pytające, wejrzeniem niepokojącym zdające się zaglądać do duszy. Nie było w okolicy piękniejszej panny nad Rewnowską, to nie tylko starościna utrzymywała, ale wszyscy godzili się na to. Wzrost. postać. rączka. nóżka. kibić, cudowne włosy. wszystko w niej było jakby na wzór dla kunsztmistrza. lecz niczem piękność ta jeszcze. przy niezmiernej dobroci i rozumie. Wychowanie u starościnej odebrała ówczesne. nie wykwintne, ale gdy inne dziewczęta tępo i mało co z niego korzystając, umiały nie wiele. same z siebie nic do niego dosunąć nie mogąc, ona więcej pono nauczyła się, niż ci umieli. co ją nauczali. Bardzo skromna i cicha, gdy się odezwała, było czego posłuchać. a już same oczy mówiły tyle! Pracowita. spędzała dni nad robotą jakąś, gdy czas pozwalał nad książką pobożną. albo nawet świecką jaką — bo czytać lubiła wiele. Starościna nie mogła się nacieszyć tą wychowanką. i dla tego może, iż się do niej mocno przywiązała. zapowiedziała wczesnie, że nie łatwo ją wyda za męż. aż się znajdzie taki. co w jej przekonaniu będzie Koci godnym.

Rewnowska była sierotą zupełną i bez grosza, rodziny jej nie znano, metryka tylko świadczyła że szlacheckiego rodu była dziecięciem. Dziwnym sposobem przyszła do niej starościna, bo w podróży będąc do Warszawy, w gospodzie gdy dwór na noc stanął. ludzie jej oznajmili. że kobieta jakaś z dzieckiem jadącą. nagle zachorowała i już dzień trzeci coraz miała się gorzej. a zdawała dogorywać. Starościna, jak to była pani niezmiernie litościwego serca. choć ją od tego odwieść chciano, lękając się. aby choroba zaraźliwą nie była — poszła sama do chorej. Znalazła ją w małej izdebce na sianie leżącą. prawie bez-



przytomną. z dzieckiem do piersi przytulonem i płaczącą... Próżny już tu był ratunek wszelki — chorą mowę straciwszy, dogorywała. Dowiedzieć się od niej. kto i z kąd była, nie umiano. Chłopek, który ją wioził na najętej furmance, porzuciwszy chorą, sam odjechał. Gdy ta zmarła. starościna się zaopekowała sierotką. Przy umarłej metrykę tylko dziecka znaleziono i kilka papierów. z których się nie dobać było podobna — prócz że Rewnowska wdowa pochodziła z Podlasia od Białej. Posyłano tam potem. rozpytując przez księży Bernardynów do koła. ale tu o żadnej rodzinie tego nazwiska nikt nie wiedział. ani w Białej. ani koło Łosic. ani w Huszcy i Tucznej. gdzie drobnej szlachty wiele. Sierota tak opatrzynym sposobem narzucona starościnnie. jak ona mawiała, z samej woli Bożej, zawsze w szczególnej była pieczy, ale też i powiodło się z nią nadzwyczajnie.

Marzyła tedy starościna, że ją wyda świetnie i nie za lada kogo. a wszyscy wiedzieli, bo to głośnem było na dworze. iż krom sutej wyprawy. nie zwykłe dwa tysiące, ale dziesięć tysięcy złotych starostwo pod poduszkę dać obiecywali.

Nie tylko dla tej wielkiej sperandy. ale dla samej piękności. statku i wdzięku dziewczęcia. cisnęła się młodzież do Rewnowskiej. ale ona nie łatwy do siebie przystęp dawała. Nazywano ją pospolicie dumną. inni żartem przezywali: panną starościanką... dosyć, że ci co zabiegali jej drogę, rzadko wejrzemnie zyskali. Na dwór też młodzieży uboższej przystęp nie był łatwy, chyba gdy święta jakie wypadły. i oficyalsci z dóbr do stołu bywali zapraszani.

Z majątniejszych synów obywatelskich z okolicy spoglądało także wielu ku niej. ale ostrożnie i z obawą. żeby się nie rozmiłować. bo sierotą była bez koligacyi i dla nich mało posażną. — a naówczas rodzice nie łatwi byli w wyborze synowej.

Jeden niby co się tam najśmielej posuwał. był

niejaki Prosper Mudłowski, mający wioskę dobrą, o mil dwie od Zalesia, kawaler. sam sobie pan.

Ten. zależąc od siebie. bo rodziców stracił oboje, gdyby chciał, ożenić się mógł, i zdawało się, że ma jakieś zamiary. Spostrzegła to starościna. poczęto się dowiadywać o niego. różnie ludzie mówili. Nic bardzo dobrego. nic nadto złego... A nie oświadczał się jeszcze. i milczał, tylko bywając w Zalesiu, oczyma strzelał i do panny kołując się zbliżał.

Lat miał ze trzydzieści. niczego mężczyzna. ubierał się pięknie. gospodarzył dobrze; szeptano tylko. że do kobiet miał zbyt wielką słabość. i że już z sąsiadem bodaj z tego powodu popstrzykał się. aż mu dom wymówiono. Lecz mogły to być plotki. Starosta go lubił dla tego, że go o procesach rad słuchał, a gdy się odezwał. bąka nie strzelił. Starościna by się też może nawróciła — lecz. gdy spytała o niego panny Konstancyi, nie mogła z niej słowa wyciągnąć z czego wnosila, że się jej nie podobał. Ile razy o zamążpójściu mowa była, panna Konstancya npewniała, że wcale zamąż iść nie myśli. i że przy swej dobrodziejce rada pozostać — ani chcąc nic innego. Jejmość jeduak wiedząc, że pospolicie panny tak powiadać zwykły, nie wiele na to zważała. Mudłowski bywał. patrzył. i tak to sobie wisiało... We dworze znowu bystrzejsze oczy widzieć chciały, jakby dosyć łaskawie spoglądała panna Konstancya na Wacka Paczurę. Szeptano to sobie. choć może na odwrót się miało. Panna. jak panna. a Wacek na nią. to pewna. że ile razy mógł. a miał zręczność — patrzył jak w tęczę. Nie uszło to oczu starościny. a choć Wacka lubila. pono się jej zdawał dla Konstancyi za małą rybą. Wyżej dla swej wychowanki okiem sięgała. a już choćby jednej wioski dobrej spodziewała się. Pacznra nie miał nic, i trndno było przypuszcic, aby mu co z kąd spaść miało, bo choć jest przysłowie: — kto ma księdza w rodzie, tego bieda nie ubodzie, — po ks. Celestynie nic się spodziewać nie było można. Zbierać nie umiał. a rozdawał tak chętnie. że prawie zawsze więcej, niż

niał, rozposażał, i długi mu ciążyły. Na lesniczowstwie zas u starosty nie wiele się było można dorobić, — ze skórek lisich...

Nie śmiał się też posuwać Wacek. i chyba oczy za niego mówiły, gdy na pannę zdala poglądał: zbliżyć się nie miał odwagi. a niewiedomo zkąd i jak wyrobiła się w nim taka duma, że sama myśl, iż mógł dostać odprawę wstydliwą — trzymała go w oddaleniu. Nie przeszkadzało to przy codziennych lub przynajmniej częstych bardzo spotkaniach. wielkiej z obu stron uprzejmości. Panna Konstancya rychlej jego zagadnęła, niż on ją. czasem o coś poprosiła i w dłuższej rozmowie jakby go wybadać pragnęła...

Ale tak samo zupełnie była i z Wickiem. który się mniej od brata ukrywał i z wielkim dla niej affektem. Często też pod rozmaitemi pozorami zbiegał do starosty, najczęściej w porę obiadową, bo na obiad przychodziła staroscina z Konstancją.

Po nim łatwo było poznać, iż panna mu głowę zawróciła i staroscina widzieć to musiała. ale znajdowała to natURALNEM i żadnem niegrożącym niebezpieczeństwem. Śmiała się z tego po cichu, mówiąc sobie: — A ktoby też Koci nie kochał! At! zwyczajnie młodość! Kocha się. to się przekocha! — Wicek, gdyby nie to. że panna była wielce ostrożną. stałby się łatwo napastliwym; szukał zreczności zbliżenia się do niej. przysługi czynił — i śmieiej spoglądał. Nie można jednak było dostrzedz ze strony panny najmniejszej oznaki pierwszeństwa. danej z nich jednemu. Dla obu była równie życzliwą. ale od obu daleko. Wicek najczęściej dowiedziawszy się. kiedy brata nie było w Zalesiu. zbiegał umyślnie naówczas. a gdy oba się razem znajdowali. zimniejsi byli. i więcej na siebie patrzyli. szpiegując się. niż na pannę. Jeden i drugi domyślał się. że w bracie miał współzawodnika — to ich widać oziębilo wzajemnie. i wielka miłość owa braterska, zmieniła się w nieufność, od której do niechęci było już blisko.

Wacek wiedział bardzo dobrze, iż nadziei posłu-

bienia faworyty starościnej mieć nie może. przecież bratu zazdrościł, który zdawał się roić śmieiej, acz i on był w tem samem położeniu. Wicek też, wiedząc, że brata ma pauna częściej na oczach, niecierpliwił się tem i burzył.

To był rzeczywisty powód rozbratu między nimi. który proboszcza niepokoił, ale ks. Paczurze nie przyszło nawet na myśl, ażeby jakaś miłość przyczyną zerwania być mogła. Gdy mu to coraz bardziej w oczy wpadało — postanowił wreszcie stryj sprowadzić do siebie obu, i albo nic nie mówiąc, wybadać ich oko w oko stawiając, albo wprost do wytłómaczenia się zmusić.

Wiadomo, że dzień Ś. Celestyna, imieniny proboszcza, przypada d. 6 Kwietnia. Ks. Paczura nigdy ich nie obchodził, najczęściej niedopuszczając nawet, aby się dla niego ktoś fatygował. po rannej mszy wyjeżdżał do Holłowiczów na Plebankę, i tam do wieczora przesiadywał. Wiedziano o tem w sąsiedztwie i nikt już się nie wybierał z powinszowaniem, nawet sąsiedzi posyłali wiązania i bilety; na tem się kończyło. Potem w miesiąc d. 4 Maja na odpuszcie na Św. Floryan, ponawiano tylko życzenia. W tym roku, ks. Paczura nie obawiając się już, aby go najechali goście, bo zwyczaju tego nie było, namysliwszy się, napisał do obu synowców prawie w jednych słowach zaproszenie, aby mógł z nimi dzień ten przepędzić. Magdalena miała przygotować obiad nie wykwiutny, do którego pieczona gęś z jabłkami dodaną była, gwoźli uroczystości. Ani Wacek ani Wicek nie mogli odmówić, choć obu zbliżenie się ciążyło... Przyszli do tego zobojętnienia dla siebie, i jakiejś obawy stykania się z sobą, nieznacznie, powoli — odsuwali się, unikali siebie, i ani spostrzegli, jak im to w obyczaj poszło i ludzkie już oczy razilo...

Wacek przybył konno z Zalesia tak wcześnie, że jeszcze proboszczowi, dawnym obyczajem, mógł do mszy służyć — ale już stara owa krótka komeżka ze wstążką niebieską, której używał dawniej, jeszcze le-

zaca w szufladzie służyć teraz nie mogła. Mamert ją tylko pokazał, śmiejąc się, jako pamiątkę. a dał inną dłuższą, w którą przyodziawszy się Wacek, wyszedł sygnując ze mszałem na rękę...

Wicek, któremu dalej było do Borusławic. a musiał w domu wszystko sam powydawać. obroki dla koni, obiad dla czeladzi. bo się na nikogo nie spuszczał—Wicek ledwie na podniesienie podążył, i już w ławce pokłakłszy, resztę mszy świętej wysłuchał. I to mu już było przykrem. że i tu go brat wyprzedził, choć on temu winien nie był. Po mszy świętej, poszedł zaraz do stryja do zakrystyi, i całując go w rękę. przeprosił. że prędzej zdążyć nie mógł. Przywitali się z bratem milcząco i zdaleka, co Paczury oka nie uszło.

— Kawał bo drogi do mnie—rzekł Wicek.—i choć Bóg widzi. wstałem rano, ale póki się wszystko wydało i zadysponowało, choć konie rażno biegły. już na czas nie przybyłem. Na grobli w Żyznowie fura z sianem zagrzęzła i podle niej ledwie się było można przeдрzeć... tak wązko...

— Nic się tak złego nie stało—odparł proboszcz.—jeszczeście w porę na przeżegnanie przybyli...

Zatem na śniadanie szli oba za stryjem. przez znajomy ów cmentarz. przypominający swawole dziecięce. przez dzwonnice. w której głupi Bartoch podniesionemi rękami i śmiechem ich witał... przez dziedziniec, na którynt stała Magda w czepcu. na ten dzień żółtami wstęgami przystrojonym. Z gości, jak się spódziewał ks. Paczura. nie było nikogo, oprócz starego Holłowicza, który pozbawiony będąc nadziei oglądania księdza u siebie, sam się do niego wprosił. Ten nie wiele komu zawadzał... Ks. Paczura wesół był dnia tego. przy mszy św. jakiś duch w niego wstąpił, który mu serce rozradowywał. Przypomniął sobie wszystkie życia swojego przygody, wszystkie łaski Opatrzności, frasunki, w których został pocieszony, niedole, z których go ręka Boża dźwignęła, i przejęty wdzięcznością, patrzył wesół na synowców, bo i tych

dziwnym trafem a raczej łaską niebieską potrafił tak wychować i wyprowadzić na ludzi.

Spostrzegł jednak zaraz, że Wacek i Wicek tak się jakoś ustawili, że ich stół dzielił i jak najdalej od siebie zajęli miejsca. To go nieco zachmurzyło...

— Co to z was za poważni ludzie dzisiaj! — rzekł przy śniadaniu — ho! ho! a jak to nie dawno swawolilo się tam pod murem... i siadało pod daszkiem... He? Dzisiaj się już ani do ludzi, ani do siebie tak ochoczo i rażno nie śmiejecie.

— Co jegomość dobrodziej chce? — wtrącił Hołowicz, — a to już każdy z nich ma troski swe...

— Jakie troski? — rozśmiał się proboszcz. — Panu Bogu tylko dziękować — bo im się wiodło i wiedzie, jak rzadko komu!!! Powinniby się śmiać od rana do wieczora...

Żaden z braci się nie odezwał.

Dzień był dziwnie piękny jak na kwietniowy, słońce świeciło, powietrze było ciepłe... ptaszki śpiewały... okna nawet już tego dnia pootwierano. Kończyło się śniadanie, gdy proboszcz żartobliwie dodał:

— Na pamiątkę dawnych chwil tu spędzonych, powinniście ichmość oba ręka w rękę, pójść razem na cmentarz i pod ten daszek, aby po bratersku, po staremu pogwarzyć z sobą. Słyszę, że się teraz rzadko spotykacie, — niechby się dawna pocziwa miłość odświeżyła.

Wacek i Wicek zarumienili się oba, nawykli byli tak słuchać stryja, że słysząc to powstali. trwożliwie na siebie spojrzeli — i — zabierali się już do wyjścia...

— Rzeczywiście — ja tu jeszcze mam z panem Hołowiczem coś do pomówienia — pójďte się przejść i pogawędźcie z sobą.

Tym fortem niezbyt wyszukany, ks. Paczura zmusił ich niemal, aby się do siebie zbliżyli. Wzięli tedy czapki porzucone u drzwi, i milcząc wyszli z izby... przeszedłszy się, stanęli w progu... spojrzeli sobie w oczy, i nic nie mówiąc jeszcze, wolnym krokiem

pociągnęli ku cmentarzowi. Szli obok siebie — Wacek patrzył na drzewa, na których pączki wzbierały, Wicek pod nogi. Koło dzwownicy spotkali Bartocha, któremu oba, jakby jedną tknięci myślą, dobyli z kieszeni i dali po kilka groszy... Wesoły uśmiech im za to podziękował... Dalej, drożyna cmentarna była wązka, Wacek poszedł przodem. Wicek za nim. Nie odzywając się jeszcze do siebie, stanęli naprzeciw drzwi kościelnych. Ztąd już mur, kędy dawniej siadywali, widać było i ów kamień upadły, na którym się oba mieszcili — krzewy osłaniające go w lecie, nie miały jeszcze liści — stały nagie, miejsce więc dobrze ztąd wpadało w oczy.

— A co? — odezwał się cicho Wicek. — czy siądziemy tam znowu?

— Dla czegoż nie! — żwawo odparł ułodszy, — i owszem — chodźmy...

— Tylko to pytanie — rzekł starszy. — czy my się tam teraz pomieścimy oba?...

— Spróbujmy — zawołał Wicek... i ruszył przodem ku kamieniowi...

Wicek siadł pierwszy, ale na samym rogu. Wacek na drugim, obu nie było bardzo wygodnie, lecz widocznie unikali zbliżenia się i otarcia o siebie, bo środkiem dość miejsca zostawało.

— Mnie się widzi — odezwał się Wicek, zbierając na odwagę. — że stryj nas tu nymyślnie posłał — bo mi kilka razy dawał do zrozumienia, że mu to nie w smak, iż my z sobą nie żyjemy...

Wacek spojrzał i zdał się zanysłać.

— To trudno — rzekł nieco zniższany, — kiedy z nas każdy gdzieindziej, i ma co do roboty...

— Pewnie — podchwycił Wicek, — mnie gospodarstwo zajmuje czasu dużo, a wam około lasów objazdżki... Jam temu nie winien.

— Juścić i nie ja — powtórzył Wacek... — Co innego gdyśmy dziećmi byli...

— A! tak — co innego, — począł Wicek... — jak tu się koło tego muru w piłkę grywało... pamiętasz?

Westchnął Wacek... Zamilkli.

— Prawdą a Bogiem—rzekł młodszy,—mógłbyś do mnie, objeżdżając lasy, czasem wstąpić. Wiele to razy tak było, żeś u leśniczego pod nosem moim popasał, a mnie minął.

— Ot ja nie wiem, czy się to kiedy wydarzyło — zauruczał Wacek, — może być, alem pewnie spieszyć musiał.

— E! e! — zaczął Wicek, — mówmy prawdę, nie chciało ci się.

— No — a uderz się w piersi.—odezwał się starszy. Bywasz często. o! i bardzo często w Zalesiu, a czy kiedyś się tak wybrał, żebyś mnie tam zastał!

— A jam temu co winien! — wykrzyknął Wicek.

— Gałaj zdrów — jakbyś to nie wiedział, kiedy mnie można znaleźć. — mówił Wacek; — jać przecie mam dni moje, w których objeżdżam lasy.

Wicek ramionami ruszył.

— Dosyć, że jakoś się nam spotykać codzień trudniej, — rzekł. — Ludzie to nawet uważają, że my się unikamy—ale—jam nie winien.

— Ani ja—ani ja—przerwał starszy...

— A któż? — zagadnął Wicek...

— Albo ja wiem mruknął drugi.

I siedzieli znowu jakiś czas w milczeniu, spoglądając w prawo i lewo... W prawo, chmura wróbli unosiła się z krzykiem nad zaroślami i staremi krzyżami, w lewo. dwie sroki na mur wlaższy odpowiadały im wołaniem szyderskiem.

— Wyście nawet gospodarstwa mojego nie widzieli prawie,—odezwał się wreszcie Wicek,—a słowo daję mógłbym się pochwalić. Starosta, jak ostatnią razą zajechał do mnie, nie mógł dworku poznać i zabudowań... Tak go to zdziwiło. że na dzierzawce tyle sobie pracy zadaje, iż chyba na guiazdo kwilę. A no—dalipan, nie byłbym od tego! Rozśmiał się Wicek i spojrzał na brata. Wacek siedział pochmurzy długo.

— A czemuż nie ma to być, — rzekł cicho, — powin-
szuję.

— A wam się to też nie śni? — odparł Wicek. — boć
to pono po starszeństwie iść powinno...

— O! ja o tem nie myślę. — odezwał się Wacek. —
z czym? jak? którażby mnie zechciała? żeby zostać
panią leśniczyną i mieszkać ze mną na folwarku! Ani
mi to w głowie... Wyście sobie lepszą częśćkę obrali.
łącniej panią dzierżawczynię znajdziecie...

— Nie byłbym od tego, byle po myśli. — Dalipan —
śmiejąc się mówił Wicek i przysunął nieco do brata. —
No, — co mam się z tem tać przed wami? Pamiętacie
ten dzień. gdysmy to stojąc za szpalerem. pierwszy
raz piękną Kocię z kwiatkiem w rękę zobaczyli? od
tego czasu, Bóg mi świadek, na chwilę mi ona z myśli
nie wyszła — pokochałem się w niej — kocham. Albo się
z nią ożenię. albo z żadną!

Wacek pobladł, drgnął, spojrzał ostro na brata
i rozśmiał się sucho, szydersko...

— Na zdrowie waszeć! — zawołał. — Ale — zapewne!
Nic złego ci się zachciało! Patrzajcie. jak wysoko
sięga myśl i ochota! Zapewne! Panny Konstancy
bys za żonkę pragnął!! Czemu nie! czemu nie!

— Albo co? — rzekł zarumieniony mocno Wicek, —
a cóż to znowu tak niedostępnego? Księżniczka
udzielna czy królewna? Miły Boże! Taka sierota
jak i ja...

Ruszył mocno ramionami i wstał, ale ponysław-
szy nieco usiadł znowu,

— Co ci się roi! — rzekł z goryczą. — czyż nie wi-
dzisz. co dla niej starościna ma na myśli? Durzysz
się nadaremnie, boć to na dłoni, że z tego nic być nie
może ..

— Albo — albo. — odezwał się Wicek, — zobaczymy.
Gadajmy otwarcie. co tu mamy sobie mydlić oczy?
Wybyście mnie chcieli odstraszyć. bo wam się samemu
jej chce! Niby ja tego nie wiem!

Z zaognionemi oczyma zwrócił się ku bratu Wa-
cek, i rzekł popędliwie:

— A no, tak! tak! nie puszczę! Pewnie że ją nie mniej kocham i adoruję od tej samej godziny co i ty. Zapierać się nie będę. tak jest! Ale ani ona moją, ani twoją nie będzie... Nie będzie! powtórzył z boleścią.

— Gadajmy spokojnie. — odezwał się Wicek. — otośmy już zyskali. że między nami clara pacta... Wiedziałeś ty o mnie, wiedziałem ci ja o tobie... Już się o pannę bić nie będziemy, kiedy. jak mówicie. obu nie chce...

— A żadnemu z dwóch jej nie dadzą. choćby i chciała, — dodał Wacek. Co to gadać daremnie! Ona od siebie nie zależy, starościnie wszystko winna, a panni dla niej wymaga wiele.

— No — jakeś mój brat, — zerwał się Wicek żywo, — jakeś brat, i jakeś pocziw, mów otwarcie. Kocha ona ciebie? Gadaj prawdę jak na spowiedzi. — Serce mi pęknie. — niech pęka — ale Bogiem się klnę, nie mruknę i ustąpię...

Z podniesioną głową słuchał Wacek brata uwaźnie, mieniła mu się twarz.

— Tyś pocziwszy odemnie, — rzekł wyciągając rękę, którą Wicek pochwycił i ścisnął. Bóg zapłać. — klnę ci się na wszystko — czy ona mi sprzyja, nie wiem... Nie wiem.

Westchnął spuszczaając oczy.

— Albo ja ją rozumiem? — mówił, — jużci dobrą jest dla mnie, ani słowa. Są takie dni. że spojrzę, zagada, serce poruszy — zdaje się — któż ją wie. może i dobrze życzy... Przyjdzie drugi dzień, stroni, nie odezwie się, jakby nie widziała... Człowiek na przemiany desperuje i szaleje — a nie wie nic.

— A! — zawołał Wicek. ręce łamiąc, tak jest i ze mną! Nie wiem do dziś dnia, czym jej miły. czy wstętny... ale to wiem, że czy tak jest, czy owak, ja jej kochać poprzestać nie mogę — bo — bo nie mogę! — wybuchnął — bo nie mogę...

— Toć i ze mną. — dodał Wacek smutno. — a żebyśmy dla niej mieli sobie przestać być braćmi —

niechaj tego ludzie nie mówią!! Wszystko to daremne. Ona nie dla nas... ani dla mnie. ni dla ciebie... Ja to wiem. że z inną żadną. choćbym sto lat żył. nie ożenię się. Tak mi Boże dopomóż.

— Jam to sobie dawno powiedział, i poprzysiągł— mrukał Wicek... I dobrze. żeśmy się tu rozmówili otwarcie. jak na braci przystało, nie mniej ty mi za złe affektu mojego, tak jak ci twego nie biorę za złe — ani ty, ani ja nie winniśmy... Przeznaczenie!

W milczeniu ręce sobie znowu podali i ścisnęli.

— Dziwna dziewczyna! — mówił Wacek. — widuję ją częściej od was; a nie rozumiem... Mieni się jak pogoda, choć niby zawsze jest jedna... W tych samych oczach na przemiany mroź i skwar. — światło i ciemność...

— Może ona kogo innego mihuje? — westchnął Wicek.

— Myślicież. że ja nie śledził i nie badał? — przecież mi o to szło bardzo, żebym pewnym nie był — Jako żywo! niema nikogo! Kogóżby miała znowu ulubić. czy nie Mudłowskiego. który wąża kręcąc wdycha do niej — myśląc. że ją wioską skusi? Na Mudłowskiego i patrzeć nie chce. Starościna z biedyby go może i forytowała. choć o nim brzydkie rzeczy gadają. boć nie darmo mu dom w Zaparkach wypowiedzieli... Zresztą kto? niema nikogo.

Nie mówił nic Wicek, brat po chwili kończył.

— Patrząc jej w oczy, nieraz myślę sobie: gdybym ja też mógł widzieć, co one gadają? Spojrzę raz, przysięgłbym. iż mówi: Sprzyjam Waszeci. — Ledwie to schwycił, ledwie pomyślał, już z nich co innego się odzywa: — Co waćpan sobie myślisz? A to pięknie? Ani mi waćpan w głowie!! Zdaje się jakby ledwie się przyznawszy. zawstydzila się i rewokowała.

— Toż i ze mną, słowo w słowo—westchnął Wicek.

— Jawna rzecz. — dodał starszy. — że kiedy obn jedno mówi, obudwu z nas chyba nie chce...

— Albo ja wiem! — dodał Wicek... I wy i ja szalejemy za nią, a to dziewczyna jak lód — żeby człek konał, jej się usta nie rozwiążą!

Zwierzieniom tym uie byłoby końca. bo bracia teraz ochoczno się sobie spowiadali. znownu do dobrej przyszedłszy zgody. i oba również się czując biedni. gdyby proboszcz, który już był o nich niespokojny. nie pociągnął na cmentarz za nimi. Zobaczywszy ich zdala na tym kamieniu. obok siebie siedzących znownu w dobrej zgodzie i porozumieniu, a tak żywą zajętych rozmową. rozrzewnił się starowina, Bogu dziękując. i uie byłby im przeszkodził do dalszej rozmowy. gdyby za uim Magdalena z rozpuszczonymi już czepca wstęgami nie przywlokła się.

— Jezn ty mój miłosieruy! na spacer acaństwo się wybrali. kiedy obiad już gotów i gęś się zesmali na niwecz...

— Dawajcież wazę, dawajcie, — odezwał się ks. Paczura, ja ich pościagam zaraz.

I podszedł wolnym krokiem ku mnrkowi zdala wołając.

— Mości panowie — gęś się przepiecze... Proszę do stołu...

Twarz mu się śmiała... Nie wiele kroków uszedłszy, słaby starszek już. że na dworze było ciepło. potniał i czoło sobie ocierał. ale w duszy też ciepło mu było... i Bogu dziękował. że mu się jego pocziwa strategia tak szczęśliwie udała.

— Chodźcie ichmość pożywać. co Bóg dał, — powtórzył z uśmiechem... Podajcie mi ręce z obu stron i prowadźcie. tak prędzej staniemy u celu, bo pod waszą opieką raźniej będę suwał nogami...

Wacek z jednej. Wicek z drugiej strony pospieszyli mu podać ręce — twarz starego promieniała. Patronowi swojemu dziękował. że mu dał myśl szczęśliwą i skutek jej tak pomyślny...

Zdala Hołowicz, który się sam jeden pozostał

w wielkiej izbie, gdy na rozkaz proboszcza pospieszono z wazą, która już na stole stała, wyszedł oznajmić o tem.

— Księżę proboszczu dobrodzieju — Hora canonica! Wazę przyniesiono... czekam sam jeden...

— Idziemy! jak widzisz, — rzekł ks. Paczura, — a raczej ja lecę, niesiony na rękach tych dwóch podpór mojej starości. Z nimi się tak lekki czuję, jakbym istotnie miał ulecieć...

Weszli tak na probostwo... Hołowicz, który starszą swą córeczkę, lat już osiemnaście mającą, zażywną kwoczkę, rumianą, gadatliwą, śmiejącą się, swawolną, wielką miał ochotę wydać za jednego z synowców proboszcza — schwycił assumpt do dalekiej ku matrymonialnym widokom przymówki...

— Jeszczeby jejmości dobrodziejowi lżej i weselej było, gdyby szanowni jego synowcy, pomyśleli o zagospodarowaniu się po bożemu. Taż to ichmość dobrze pod wąsem, wartałoby o gniazdkach pomyśleć.

— Człowiecze! — zakrzyknął ks. Paczura wesoło. — a to mi dopiero zaśpiewałeś. Ho! ho! nie psujże mi młodzieży, będzie na to czas! będzie. Niech-no pierza wprzód na gniazda przyzbierają! niech pracują! Nasi dziadowie dopiero się szpakowaciejac żenić byli zwykli.

— A od czegoż przysłowie, — przerwał Hołowicz; — kto rano posiał i wcześniej się ożenił, nigdy nie żałował?

— Przysłowie inaczej mówi. — poprawił proboszcz. bodaj w Rysińskim go, czy w Knapskim kie łys weryfikowałem, — kto rano wstał, wcześniej posiał i za młodu się ożenił, nigdy nie żałował. A wiesz asindziej, jak się to tłómaczy? — oto żebyście rano wstawali i sieli wcześniej — co się zaś tycze ożenienia — zachowajcie młodość i czystość serca, zawsze z niemi choć pod siwym włosem ożenienie będzie młode!

— Jak mi pan Bóg miły, rzekł łapczywie zupełną jadając Hołowicz, — ks. proboszcz ze swoją dyalektyką zawsze mnie w myślą dziurę zapędzi... No — niech so-

bie będzie. jako chce... Ja wiem, że młodu się ożenił. bo mi się był ledwie wąż wysypał. nie żałowałem tego. Niech jej Bóg świeci — mojej nieboszczce. drugiej takiej nie ma i nie było na świecie.

Wnet rozmowa. gdy proboszcz sam nalał na ten dzień wyniesionego z pod klucza wina i kieliszki się wypróżniły. żywszą się stała.—Hołłowicz ją szczególnie dykteryjkami podsycił. choć nie były pierwszej świeżości i doboru... Wacek i Wicek uśmiechali się także...

Z gęsią razem. która ani niedopieczoną ani przepieczoną nie była — Hołłowicz podniósł się i zdrowie ks. proboszcza wychylił. Chłopcy przyszli stryja w rękę pocałować... a że stara Magdalena stała jeszcze w progu, nalano i jej kieliszek, który. ściskając za kolana ks. Celestyna, po kropelce wysączyła.

Właśnie nadchodził ów odpust w Borusławicach. d. 4 Maja. na który zwykle synowcowie dla posługi stryja zjeżdżali i dla nabożeństwa—gdy jednego dnia, starosta kazał do siebie powołać Wacka w pilnym interesie.

Wicek wcale pana Sniechoty nie utemperował w zapale procesowym. owszem. z latami zdawał się stawać jeszcze zapamiętałym pieniaczem, jakby się obawiał. że już mu czasu nie stanie na to. co rozpoczął. Toczył na ów czas proces z Sanguszkami. o jakąś zastarzałą pretensyę nabytą, przelaną przez familię, która się nigdy z niej grosza wziąć nie spodziewała. Zastarzałą tę sprawę wzięwszy na siebie sta-

rosta, obrachował się z alterum tantum. kosztami, rachunkami, miał niby wyzyskać krocie. Sanguszkowie, ludzie spokojni, już chcieli odczepnego dać kilkadziesiąt tysięcy, ale o tem ani chciał słuchać.

— Zapewne! — rzekł, — nie wykręca mi się sianem te magnaty! Nie boję się ich prepotencji, choć wiem, że mają swoich deputatów w trybunale. Ja też nie wypadłem sroce z pod ogona, i przyjaciół znajdę. Mają oni grosz, mam i ja go... Zagramy tedy od acana do acana, a obaczyni komu tuż usłużą!!!

Tym czasem gdy przyszło do zarejestrowania i spisu dokumentów, z rozpatrzenia się w nich luka się w nich okazała. Jawnie i oczywiście fascykuly dwa czy trzy u przeszłych posiadaczy przez kogoś ściągnięte zostały; nie dziś ani wczora się to dokonało.. Starosta miał niezmierny spryt w dochodzeniu dróg, jakim papiery chodziły, albo chodzić mogły. Rozumując — ille fecit cui prodest, trafiał zawsze szczęśliwie na podchwycone akta i nieraz mu je się udało wyszukać. Teraz też, znając dawne familijne stosunki, czuł, że papiery u sukcesorów rodziny Matuskich na Podlasiu znajdować się, ni fallor, były powinny. .

Utkwiło mu to tak w głowie, że gdyby na jedną nogę nie był zasląbł i nie dostał obrzęklizny takiej, że ją obwiniętą na stołeczku trzymać musiał — byłby sam zaraz siadł do powozu i po te papiery zaginione, w świat wyruszył.

Szło bardzo o to, ażeby się całe staranie i poszukiwanie nie rozbębniło po świecie, aby zręcznie papiery dobyć pod pozorem genealogii i nie dać z siebie wziąć haraczu.

Kogo tu posłać? Wacek mu się zdawał najroztropniejszym i najwłaściwszym do tego. Powołano Wacka...

— Kochany mój Paczuro — odezwał się starosta, zobaczywszy go we drzwiach, — jeżeli ty pana Boga kochasz, usłuż mi... Dam ci konia z rzędem — bez

żartu... Patrz, jak mi noga nabrzękła, nim się odsmaruję, a odejdzie, *periculum in mora*.

Począł mu tedy tłumaczyć, o co szło... i jak miał starać się o to... Wacek słuchał pilno. Kazał mu wysłuchane powtórzyć. powtórzył Wacek...

— Siadaj na bryczkę — rzekł, — weź grosza. ile potrzeba, wybierz się przystojnie. na drogę nie żałuj sobie, — ruszaj zaraz... wracaj prędko — a bez papierów mi się nie staw... bo cię znać i widzieć nie chcę.

— Żart na bok, — choćby je z pod ziemi wygrzebać przyszło. to mi ich potrzeba.

Tak zagadnięty Wacek. pomyślał nieco. do pana Boga westchnął... i po południu w drogę wyruszył.

Już jak mu się tam w niej działo, opowiadać nie będziemy, bo to do rzeczy nie należy. dosyć że do Matuskich przybywszy. którzy około Wisznic mieszkali w kącie zapadłym, gdy dla rozwiedzenia się lepszego, do karczmy zajechał — od arendarza dowiedział się, iż właśnie we dworze obchodzono wesele starszej córki, która za Litwina jakiegoś wychodziła.

Karczma była pełninsienka ludzi gościnnych ze dworu przybyłych. i wozów a bryczek, na które już nie było miejsca w folwarku. Zgryzł się tem mocno Wacek — trafił, jak kulą w płot właśnie. Gdzież tu się było dopytać? jak doczekać?

Jeszcze stał przed karczmą tak zadumany, co z sobą pocznie. — a arendarz oparty o bryczkę badał go, bo to tam w tej okolicy gość z daleka, i nieznajomy. był rzadki — gdy odedworu podjechał syn gospodarza młody Matuski. aby zadysponować coś Żydowi, i zetknął się z Wackiem.

— Co? jak? kto? ciekawość go wzięła, zkąd tu w taki czas nieznajomy się trafił. A że wesele już drugi dzień trwało i młody Matnski był dobrze podchmielony. w złocistym humorze, wnet się do bryczki przyparł...

— Aresztuję waćpana. miły bracie — zawołał, — ktośkolwiek jest. nie pytam. u nas na Podlas'u prawo takie, kto w wesele wpadł, ten się z niem weselic mu-

si. nic nie pomoże. Zabieram was do dwora! Tak mi Boże dopomóż, choćby konie gwałtem wyprzęgać przyszło...

Paczura mu się przedstawił. — a tego mu trzeba było. aby go przyaresztowano. Więc u arendarza wyprosiwszy izbę, którą od bachurów uwolniono, tłumoczek kazał zanieść, wymył się, odział, wyswieżył. najlepsze odzienie wziął, i z Matuskim, który już nie puszczając czekał nań, puścił się do dworu...

Dwór był stary, koszlawy, niepozorny, pod słomą. ale w nim świeciło we wszystkich oknach. dymiło ze wszystkich kominów, wrzało i gotowało się, już nie dojeżdżając do niego. słychać było basetle, a bliżej całą muzykę i cymbały.

Okna stały pootwierane. a wewnątrz widać było wywijające pary i starych z kielichami do góry podniesionymi. Ścisk był ogromny. w sieniach pełno, ganek jak nabity, w nim latarnie dwie ze stajni pożyczone. słabo oświecały kielichujących sąsiadów. Za dworem palono z móździerzyków na wiwat!

W dziedzińcu nawet, czeladź na trawie płaśała. korzystając z muzyki. która przez okna otwarte wybuchala na podwórze.. Chwilami wśród tej wrzawy. podnosiły się krzyki jeszcze silniejsze nad nią, nad muzykę i móździerze.. Wiwat!.. Zdało się, że domostwo stare rozsadza..

Był to już, jakeśmy mówili, dzień wesela drngi. wszyscy pod hełmem, rozohoceni, humory królewskie, serdeczności takie. że jak się w ganku wzięli ścisnąć przyjaciele. oba się na ławę walili. Dopieroż śmiech... W prawo w salce, widać było beczkę węgrzyna. na widelkach stojącą. z której raz w raz napelniano gąsiorki, a drudzy wprost do niej szklanki przystawiali...

Choćby człowiek żelazny był albo marmurowy. gdy w taki popadnie kipiątek — cztermaby go literami nazwać trzeba. żeby nie poczuł w sobie ducha i żeby się nie rozgrzał..

Wacek jeszcze jak żyw. w opałach takich nie bywał — gdy go Matuski na ganek wprowadził, — nie

pytano ni kto. ni co, ni zkąd, gospodarz ojciec. człek jak baryła. czerwony, przystąpił doń z kielichem i na-przód zdrowie jego wychyliwszy. — począł go konwin-kować.

— Niesprawiedliwośćby się nam stała, a równości szlacheckiej krzywda, gdybys asindziej nie wyrównał się z nami, co najmniej kieliszkami trzema. Jakem pocziw, za kołnierz wyleję — a zechcesz się bić — no — to stoję...

Wacek wypił, węgrzynek był lekki i połykać się dawał dobrze. a on głowę miał nie dla proporcji... więc nuż go sobie z rąk podawać, aby tak godnego obywatela wyściskać. Myślałby kto, że go od wieków zuali... Ale co tam — kość z kości! Szlachciec prawy... za kołnierz nie wylewa... Zaczęto go kochać nie-zmiernie...

— Wpadłszy między wrony, krakaj jak i ony! — mówił sobie Wacek.

Wzięli go z ganku do tańca, a że żwawy był i chłopak urodziwy, tu go znów porywano i musiał wszystkie panie w ręce całować. a mało z którą uie przetańcować.

Kobiety także nie bardzo dopytywały, kto go rodzi i zkąd, bo mu z twarzy dobrze patrzyło i rażny był; a słowa mu nie brakło... Caluteńką noc porwany tak w czarodziejskim owem kole spędził. jedząc. pijąc. tańcząc. śmiejąc się, ściskając, i nie mogąc prawie oprzytomnieć, co się to z nim działo ..

Gdy dzień się zaczął robić. pozamykano okien-nice i dotańczono do słońca. Naostatek nóg zabrakło. ci co pili pospali się w ganku, młody Matuski litość mając nad podróżnym, zaprowadził go do szopy na siano, gdzie już dery i kilimki były posłane — i tu na spoczynek legli. Czas było. Na Wacku koszula choć wykręcać mokrusieńka, a pot się z czoła lał... Młode-mu jednak z tem i zdrowo i dobrze... Padłszy na sia-no, zasnął kamienym snem — do południa.

Wstali dopiero do wódki i przekąsek. bo po hu-latyce — kieliszek wódki i ogórki kwaśne naówczas

uważane były za najlepsze lekarstwo. Nie od rzeczy bywał i bigos, gdyż siły wyczerpane krzepkiego pożywienia wymagały. Jedli też wszyscy tak uczciwie i sumiennie, że wkrótce na stole nic nie było. a muzyka iterum iterumque do przerwanego tańca wabiła, i Matnski już w pierwszą parę polskiego prowadził starą podkomorzynę...

Wacek tego dnia po spędzonej nocy w gronie miłych gości. był już tu jak w domu. Znał wszystkich z twarzy, uśmiechały mu się panie, choć prawdą a Bogiem, połowa osób nie wiedziała, jak się nazywał. połowa wiedząc zaponniała, a on, oprócz gospodarza i jego rodziny, nikogoby był nazwać nie umiał.

Dzień ten trzeci jakoś był spokojniejszy. wszyscy się pomęczonemi czuli. Wacek też ze starszemi siadł w ganku na ławie. Stateczny jakiś bardzo człek. podżyły już, z podbródkiem długim, czoło ogromne, wąs spuszcisty, który głaskał ciągle — siedział obok niego. Rozmawiali o różnych rzeczach — podobali się sobie wzajemnie, aż ów sąsiad o nazwisko i procedurę go zagadnął.

Powiedział mu o sobie Pacznra, nie tając kim był, ani się zbyt panosząc... Ten też wzajem mu się zarekomendował, jako — pan Benedykt Rewnowski.

Wacek aż poskoczył: — Co? Rewnowski?

Obrazil się niemal sąsiad. — A cóż to znów moje nazwisko asindzieja w taki podziw wprawia. — Czyż go to nigdy w życiu nie słyszał?

— Przebacz mi pan. — rzekł Wacek, — obrazy w tem nie ma — ani go to dziwić powinno; właśnie że mi to nazwisko znane jest. dla tego mnie. gdy tu je spotkał, tak zdziwiło.

— O la Boga! — odczwał się sąsiad, — a gdzieżes to asindziej Rewnowskich spotkał — boć o ile wiem, Rewnowskich herbu Równia. nie ma więcej ino ja jeden jedyny... Miałem brata, ten się nieszczęśliwie ożenił, majątność stracił. żonę słyszę odumareł, a ta z córką, już temu lat kilkanaście będzie — podziąła się, i jak w wodę wpadła. cośmy się nasznkali. śladu

nigdzie nie znaleźliśmy. Tem nas to bardziej obeszło, że nam samym z jejmością Bóg, co dał dziatka, to pozabierał...

Mówiąc to patrzył Wackowi w oczy...

— Ile lat temu, jak bratowa pańska z owym dziećciem zniknęła? — zapytał.

Obliczał na palcach Rewnowski, niezmiernie zaciekawiony pytaniem.

— A niewiadamo panu, jak na chrzcie było imię owej córeczce? — dodał Wacek.

— Jak nie ma być wiadomo, kiedym metryki o to wertował! — rzekł sąsiad... Imię jej było Konstancja...

Paczura w ręce uderzył, i za głowę się pochwycił.

— O cudowne zrządzenie! — zawołał, — ja znam synowicę pańską...

Zerwał się Rewnowski za ramiona go chwytając. —

— Zbawco ty mój, dobrodzieju! mów! gdzie? jak!

I nie czekając odpowiedzi, począł na cały głos wołać:

— Jejmość! Jejmość! Basieńku!

Mimo wrzawy, głos ten widać doszedł do powołanej. i wbiegła niespokojna w ganek kobiecina. małego wzrostu. otyła. z jasnymi włosami. nie młoda, ale jeszcze rumiana i świeża, z twarzyczką o drobnych rysach, i nosku zadartym, który niegdyś bardzo być musiał wdzięczny.

— Co mój aniele? — co? — zaczęła wołać.

— Basieńku! złoto moje! Cud, ten oto pan... jakże? Paczura — zna naszą synowicę zaginioną, Konstusię Rewnowską.

Oboje przypadli do Wacka:—A mów! a zlituj się!

Nie rękąc tedy za nic, całą historję panny Konstancyi. tak jak ją nie jeden raz z ust samej starościny słyszał, opowiedział Wacek — i dopiero mu teraz na myśl przyszło, że wprawdzie sierocie mogło to przynieść szczęście, ale nieochybnie ją od niego oddalić... Ścisnęło mu się serce, ale już nie było co czynić, tylko

dociągnąć z opowiadaniem do końca. A tu i inni cisnąć się zaczęli, i tumult powstał do koła, bo sobie tę historią cudowną z ust do ust podawano.

Stary Matuski wziął z tego assumpt do kielicha. za zdrowie państwa sęstwa Rewnowskich i ich synowicy. Nie było już najmniejszej wątpliwości, iż to dziecko zaginione w wychowawicy starościны znaleźć się miało. Wacek jednak czynił tę uwagę, że niemało już familii poszukiwano, że właśnie w tych stronach o nią dopytywano, i że starania były nadaremne.

— To źle nas szukali. — rzekł sędzia. — a do tego dodać trzeba. że w zapadłym kącie mieszkamy. i gdyby istny fortuny kaprys nie przyniósł tu oto właśnie na te dni waćpana, pozostała by ona sierotą. a my bez wieści o niej.

Umówił się zaraz Rewnowski, iż sam miał z Wackiem jechać do starostwa Sniehotów, a gdy w nim przyjaciela sobie pozyskał Paczura. nie wahał się już wyznać przed nim. z czem tu jechał, rady prosząc i pomocy.

Sędzia był człowiekiem bardzo rozumny i w obywatelskich sprawach biegły. nakazał tedy Wackowi milczenie, i sam się z Matuskim o to mówić podjął. ręcząc, że. jeśli papiery są. to je mieć będzie. Trzeba jednak było pochmiele weselne przeczekać i jeszcze z państwem młodem przenosiny odbywać.

— Na to już nic nie pomoże. — dodał sędzia, — kiedyś grzyb. leż w kosz, trafiłeś na wesele na Podlasiu. tu ci nie darują. musisz dopić i dojeść, co należy, bo by się ludzie za pokrzywdzonych uważali.

Stało się, jak pan sędzia Rewnowski powiedział... Całe towarzystwo prosto ztamtąd. gdy już ostatnia beczulka węgrzyna z lagrem była dopita, ruszyło na przenosiny.

Pan młody nie chciał się gorzej od teścia pokazać, więc pito *de noviter repertis*. Węgrzyn lekki niczem by był. ale tu trafili na stare miody, tak zdradzieckie. że szły do ust jak ulepek dziecin-

ny, pił każdy chętnie, bo mu smakowało i do głowy zaraz nie szło — a gdy przyszło wstawać, nogi były jak popodcinane.

Historye się więc tu działy, bo po tych miodach ludzie spali dwadzieścia godzin. niektórzy jak bobaki, a gdy się przebudzili — dziwna rzecz. głowy mieli lekkie, żołądki gotowe do jadła, i czuli się jakby cudownym lekiem orzeźwionemi.

Jednak w powtórnem starciu z temi butelkami ostrożniejsi już byli, i z respektem małemi kieliszkami cmoktali. W drugim tygodniu dopiero Rewnowski mógł przystąpić do interesu swojego klienta. Poszło głodziuteńko. Matuski wydawszy córkę wedle myśli, był bardzo szczęśliwy, papierami więc staremi wygodzić miłemu gościowi rad był serdecznie. Poczęto szukać w szafie — i osobliwem szczęściem, owe fascykuły brakujące, takimi samemi tasiemkami powiązane jak u starosty, znalazły się od razu... Matuski śmiejąc się ofiarował je, dodając:

— Szczęście, że ich pod placki nie użyto, bo na nie kolej była nie daleka, a dla mnie najmniejszej wagi nie miały...

Tak wyprawa ta na Podlasie, nieco z powodu wesela przeciągnięta, skończyła się tryumfem dla Wacka z jednej strony, z drugiej niepokojem. Rewnowski go już nie odstępował, umówili się tylko, aby naprzód na probostwo do ks. Paczury zajechał, i tam pozostał, dopóki by Wacek nie uprzedził starościny i panny Konstancyi, dla uniknienia zbytniego wzruszenia. Na to zgodził się sędzia, i po dosyć śpiesznej podróży, około południa, (było to jakoś w połowie Maja)—stanęli w Borusławicach.

Ks. Paczura, który już o Wacka był niespokojnym, bo i starosta się niecierpliwił, słał a dowiadywał się, czy o nim słychu nie było — powitał go nadzwyczaj uradowany. Rozumnie się, że i gościa nieznanego, swoim zwyczajem, przyjął sercem całem. Cóż dopiero, gdy się dowiedział, co to za gość był i co on wiozł z sobą.

Z podziwienia wyjść nie mógł, nad osobiwem zrządzeniem Bożem.

Sędziogo tu zostawiwszy. Wacek nie mając czasu odpoczywać, natychmiast proboszczowskiemi końmi pobiegł do Zalesia.

Starosta dowiedziawszy się o nim, byłby z niecierpliwości wyszedł naprzeciw, gdyby go obrzękła noga nie zatrzymywała. W progu zobaczywszy Wacka, ani witał, wołając tylko: Są papiery?

— Są!

— A toś mi łepskil — krzyknął starosta, — dawaj — co żywo...

Nie pytając, ani jak je dostał. ani dla czego tak długo bawił, ani o nic więcej. stary natychmiast okulary nałożył, i drżącemi rękami schwycił fascykły. które szczęściem przy sobie miał Wacek. Już po tasiemkach poznał, że były z tej samej kancelaryi, i to go rozradowało... począł przerzucać żywo rękami, które mu się z radości trzęsły... lice mu się rzmieniło — szczęśliwym był na chwilę

— Jak mi Bóg miły! złotym jesteś człowiekiem! Konia z rzędem mieć będziesz... i jeszcze coś w dodatku.

Wacek począł się tłumaczyć, iż zabawił długo z powodu wesela, i opowiadać grał a tym, jak do papierów przyszedł. Zdało mu się to najlepszym sposobem przygotowania starosty do drngiej nowiny. niemniej niespodziewanej od zdobycia papierów Starosta słuchał dość roztargniony. ale gdy przyszło do poznania się z Rewnowskim w ręce piasnął, i począł na cały głos wołać:

— Jejmość! jejmościuniu!

Pani staroscina siedzącą aż w trzecim pokoju. posłyszala i przestraszona nieco nadbiegła. myśląc że się, nchowaj Boże, co stało. Zobaczywszy Wacka. trochę się uspokoiła.

— Mów a b o w o, — zawołał starosta — mów.

Wacek znowu rozpoczął opowiadanie.

Słuchała go jejmość poruszona... Nazwisko usły-

szawszy, krzyknęła zlekka i przeżegnała się. widać było, że ją jakaś trwoga ogarnęła. Nie wiedziała, czy się cieszyć czy płakać, boć najukochańszą wychowanicę swą, którą jak dziecię miłowała, utracić miała.— Poblądła, spuściła oczy. milcząc odmawiać się zdawała jakąś modlitwę...

— Nie powiem, żebym ja waćpanu za to odkrycie była wdzięczną. — odezwała się, — ale Bóg tak chciał, by sierota znalazła rodzinę... a ja żebym miała zrzeczność ofiarę dopełnić...

Zamysłona, przeszła parę razy po pokoju. — Chodź waćpan. — odezwała się do Wacka — sam jej to opowiedz. ja nie mogę.

Łzy z oczów jej płynęły, płakała rzewnie. Szedł Wacek posłuszny, zmuszony po raz trzeci powtarzać swoją przygodę. W pokoju starościny siedziała panna Konstancja u krosien. Nim do niego weszli, jejmość starannie oczy otarła i od progu odezwała się:

— Oto pan Paczura z drogi powraca—posłuchaj no Kociu. kogo on tam spotkał i co mu się trafiło. Może to i ciebie obchodzić będzie.

Panna Konstancja zarumieniona, patrzyła na starościnę i wchodzącego, któremu głową skinęła.

— A cóż to się mnie tyczeć może! — odparła po cichu i obojętnie.

Wacław usiadł nieco zdala — drżał... Myślał, co przynosi z sobą i z ust mu nie szły wyrazy. Pani starościna czekając stała.

— Mów waćpan... tak, czy owak. powiedzieć przecie potrzeba.

Na pół cicho wymówione wyrazy. doszły widać uszu panny Konstancji, która poblądła. Teraz ją to dopiero naderżyło, że coś istotnie jej się tyczącego mógł przywieźć Wacek. Złęknioma wstała od krosien. On milczał.

Tym razem nie chciał już wchodzić w szczegóły. i rzekł po namyśle.

— U państwa Matuskich wypadkiem spotkałem się

z panem Benedyktem Rewnowskim. który dowodzi. że jest stryjem pani.

Panna Konstancja słuchała. jakby nie wierzyła uszom.

— Ja! miałabym na świecie krewnych? — zawołała, — stryja? Ale czyż to może być?

— On sam to przyznaje, — odezwał się Wacek, — a tak mu pilno było poznać panią, że ze mną razem przyjechał. — Zostawiłem go na probostwie w Borusławicach.

Stała Konstancja niema, spoglądając to na mówiącego, to na starościny, aż w końcu do nóg się jej rzuciła.

— Dobrodziejko moja, — odezwała się płacząc. — nie wiem, czy mam stryja. ale w tobie znalazłam matkę, i dla mnie ty nią być nie przestaniesz nigdy...

Splakały się obie... Więcej smutku. niż radości to przyniosło. Wacek naówczas oświadczył. iż sędziostwo Rewnowscy byli bezdzietni, majątni, wielce na Podlasiu poważani ludzie — i że to znalezienie rodziny za szczęście nważać się mogło.

— Mój Boże! ale oni mi ją zechcą odebrać. wołała staroscina — a co ja bez niej pocznę...

Panna Konstancja równie poruszona płakała. Obowiązki względem rodziny i poszanowanie dla tych, co ją reprezentowali. takie naówczas było, że sprzeciwiać się oddaniu synowicy stryjowi, i przeczyć mu do niej praw nikt nie mógł ani pomyśleć.

Niemal z wyrzutem spojrzęło dziewczę na Paczurę.

— Nie dziękuję panu — rzekła po cichu, — ale tak Bóg chciał, byś był narzędziem woli Jego...

Wyszła panna Konstancja ze starościna zaraz, a w kilka minut cały dwór już wiedział, co się stało, i winszowano zaplakanej.

Z panem sędzią umowa była. aby on spocząwszy, w parę godzin po wyjeździe Wacka. przybył do Zalesia. Tak się też i stało. Sędzia nbrany odświeżnie, przy karabelli. wyświeżony, wygolony. w karmazyno-

wych butach. stawił się w ganku, gdzie nań i marszałek dworu i Wacek oczekiwali. ażeby go zaprowadzić do państwa, już przysposobionych na przyjęcie jego.

Strwożona wielce panna Konstancja. wyprosiła sobie, ażeby dopiero po chwili przyjść mogła. Jak sędziemu tak starości na swadzie nie zbywało... a bez frazesów i komplementów nie mogło się obejść przy pierwszym poznaniu. Sędzia na karabelli zawiesiwszy czapkę. stanąwszy w pozycji malowniczej. skłonił się starości.

— Za szczęśliwy ten dzień i zaprawdę. albo notanda lapillo, konsyderuję. gdy mi fortuny łaska dozwala przestąpić progi domu J.W. Państwa Starostwa. i cześć im moją złożyć. do której dziwne a inpenetrabiles Opatrzności dekreta, wdzięczność mi conjungere nakazują. — niechże łaskawem sercem przyjętem będzie tych affektów wynurzenie i czcłobitność moja.

Na co starosta, nie mogąc wstać i na nogi swe wskazując, odpowiedział nie z mniejszym animuszem...

— Widzisz mnie waćpan dobrodziej podwójnem utrapionego cierpieniem, gdy aegritudine fractus. — nie mogę, jakbym chciał tak dostojnego uczcić gościa... Lecz choć nogi posługi odmawiają, serce do stóp jego składam najuniżeniej.

Starościnę w rękę pocałowawszy. tak dalek wiódł sędzia...

— Łaskawy nuntius, który mnie tu poprzedził, wyraził już zapewne, co mnie tu do domu J.W. Państwa sprowadza... Cud łaski Bożej. której dekreta są niezbadane... Sierotą tu przybyłem. z odzyskanem dziecięciem i sercem przejętem beatitudine et gratitudine odjadę...

Złożył ręce jak do modlitwy. gdy wtem właśnie. wylekła a blada, weszła krokiem nieśmiałym panna Konstancja. oczyma już zdala trwożnemi nowego mierząc opiekuna. który acz nie wiedząc jeszcze kto była — domyślił się synowicy, i ręce ku niej wyciągnął.

W twarzy sędziego tyle było dobroci, w oczach łyż widoczne... jakby krew przemówiła...

Pod wrażeniem tego przyjęcia tak serdecznego. poruszyła się kn niemu i panna Konstancja. do kolan jego przypadając. lecz wnet ją w ramiona pochwycił.

— O! jakże pięknieście ją państwo wychowali — jaki cudny z niej kwiatek! — zawołał. Niech się natrzę, niech nacieszę. a nadewszystko niech *ex corde intimo* naprzód i moczyscie poręczę, iż w nas znajdziecie nie stryjowstwo. ale affekta rodzicielskie i miłość ojcowską a macierzyńską!

Pływały łyż wszystkim przytomnym... a nikt już się na słowo zdobyć nie mógł, staroscina z głową spuszczoną usiadła smutna. za rękę chwytając wychowanicę. jakby się lękała, ażeby jej nie odebrano.

Wszczęła się wnet rozmowa o bracie sędziego, o ojcu panny i jego losach. staroscina zachowaną okazała metrykę i papiery, które poświadczały jak najmocniej. iż istotnie sierota była synowicą sędziego. Starosta jednak długo o tem prawie nie dał. zaraz o innych przedmiotach, de publicis poczynając i o stosunkach obywatelskich. rodzinach. kolligacjach, a naostatek o swoich procesach.

Sędzia. który też z prawem do czynienia niewał, i jak każdy niemal szlachcic naówczas. był *juris peritus*. mógł staroscie stawić czoło. Puścili się w opowiadania i kontrowersje, które obn żywo zajmowały. Staroscina tymczasem z Kostusią szeptały po cichu. Dopiero się od gospodarza uwolniwszy. mógł sędzia na osobnej rozmowie z synowicą poznać i ją bliżej i przekonać się, jaki to skarb mu dała w niej Opatrzność. Przy czem ponownie ręce starosciny ucałował, dziękując za to wychowanie dane sierocie. jakiegoby się i pańskie dziecko nie powstydziło.

Tak wieczór upłynął cały, a starosta zapowiedział odchodzącemu do gościnnego pokoju sędziemu, iż go nie puści i niezcie chce w domu swoim. Panna Konstancja, uspokojona nieco, odeszła ze starosciną.

Rozumiało się samo z siebie, iż dni kilka sędzia tu zabawić musiał. a starościna zapowiadała. iż teraz mu wychowanicy nie odda, ażby po nią z żoną przybył. Chciała też się z tą myślą oswoić.

Wacek, choć go nazajutrz do towarzystwa sproszonego wokował starosta, wymówił się tem. że lasy kilka tygodni stały nieopatrzone i że objechać. co ważniejsze przynajmniej jest obowiązkiem. Do dnia więc ruszył— smutny jak noc—i sam nie wiedział, jak naprzód się do brata skierował. Prawda. że folwarczek jego w lesie był położony, otoczony lasem, i droga dalej tamtędy wiodła.

Wicek na małej swej dzierżawie, namiętnie, powiedzieć można. gospodarzył. cały będąc oddany temu zajęciu od rana do nocy. Dworek. który odnowił z gruntu. małej. schludny. wybielony świeżo. na nowo pokryty. bardzo się ładnie prezentował. Całe zabudowanie dworskie gęsto się około niego skupiało. Tuż była stodoła z drzewa tartego stara i w dobrym stanie, obora w kwadrat zabudowana, w pośrodku której bydło mogło swobodniej pobrykać. szopy na siano, stajnie. chlewy. daszki na pokrycie drzewa... Wszystko to połączone płotami, stanowiło jedno obejście, i gospodarz miał na oku chudobę i mienie swe całe. We dworze naprzeciwko pod ręką też była czeladź. Prawda, że nchowaj Boże ognia. w takiej ciasnocie wszystko szło razem w perzynę. ale Bóg od tego chował. Na dachu do komina wiodąca stała drabina i wycierać go nie zapominano. a z ogniem obchodzono się tak, jak się z ogniem obchodzić powinno. i popioły wyrzucano tylko tam, gdzie nic od nich zapłonąć nie mogło.

Na gospodarstwo Wickowe miło było spojrzeć. bo i czeladź pucłowato a rumiano wyglądała, i bydełko się lśniło szerszą. jakby wodą zlaną. i konie były tłuste i stworzenia wszelkie wypasione były i wesole.

Dziedzińczyk jak zwierzyniec wyglądał.. Nie brakło na dachu gołębi, na płotach kur. i krzyczących jak muezziny muzułmańskie godziny kogutów, i suną-

cych chodem otyłych stworzeń kaczek, i złośliwych gęsi... i indyka, któremu się zdawało. gdy się napuścił. że on tu był królem. Najbrzydsze ze stworzeń, kłapouche nawet świnię, wyglądały wyelegantowane i jak umyte.

Rozumie się. że ten dobrobyt powszechny, głośniejszymi krzykami i buntą wielką się wyrażał. Stworzenia to chodziły niezmiernie zajęte. spiesząc się. nadymając i zuchwale stając do walki. Dwa koguty były dla starej gospodyni wieknistych skarg powodem. bo po całych dniach naprzeciw siebie z dziobami ku ziemi stały i czubiły się potem tak, że piór pełno leżało na podwórku.

Dwa psy podwórzowe, Kruczek i Zuczek, niby nadzorcy tej rzeszy. zwykle na przyźbie lub u proga leżały, ze spokojem stworzeń, których żołądek nie jest próżny.

Właśnie był Wicek przyjechał z pola i chłopak mu konia wodził po podwórzu. a on się kromką razowego chleba z solą do obiadu przysposabiał, gdy Wacek u bramy stojąc, zawołał:

— Jest pan!

Wybiegł ze drzwi z odpowiedzią on sam. i ręce wesoło wyciągnął. ale zobaczywszy marsa na twarzy brata. podbiegł mu naprzód wrota otworzyć.

— A cóż! podróż? chyba bez skutku — żeś taki posępny?

Wacek z konia zsiadał.

— Gdzie zaś! — zawołał. — skutek podróży osiągnięty, nawet taki. jakiego się nikt z nas nie spodziewał... Wiozę ci nowinę. z której bodaj i ty, jak ja, nie będziesz bardzo rad...

Szli razem pod ręce się pobrawszy do dworku. Izba. w której Wicek przyjmował. czystościnną była — lecz uboższą, znać w niej zaraz kawalera było. trochę myśliwca. a lubiącego ład człowieka. Prawda. sprzęt nie wykwinął ją zajmował. ale wymyty, czysty, świeżący niemal. Nie walało się tu nic, bo każda rzecz miejsce swe miała.

— Mów że. mów! — odezwał się Wicek, — co się to stało...

Po raz niewiedzieć już który, Paczura musiał oratu rozpowiadać swoje osobliwsze na wesele do Matuskich przybycie, i ową przygodę nie do wiary z Rewnowskim. Wicek włosy, słuchając, na głowie rozrzucał i kręcił się jak oparzony, nie rzekł nic, ręce tylko potem załamał, wlepił w podłogę oczy i odszedł milczący.

— Hej! hej! — rzekł nierychło. — jedyną pociechę oczów naszych straciny! Bóg widzi, wyrzekłem się ja wszelkiej nadziei — ale choć w niedzielę na mszy, choć u stołu starostwa popatrzyć na nią, jakby się człek nektaru napił. Tydzień człowiek żył potem, przypominając. — I to przepadło.

— Ha! lepiej może. — rzekł Wacek. — biorą nam ją losy, abyśmy się nie dnrzyli daremnie. Wie Bóg, co robi.

— A no, prawda, — westchnął po chwili. — że mnie też życie obrzydnie... ochota od pracy odpadnie. — Chce się czegoś w świat, aby zapomnieć...

— Jasna to rzecz. — odezwał się Wicek, że teraz już o niej ani pomyśleć. Bogaciż to ludzie?

— Zawsze wiosek parę mają, a sąsiedzi i o kapitałach przebakują...

— I trzeba też było — dorzucił, w stół uderzając ręką Wicek. — abyś to ty był tak szczęśliwym i familię jej odnalazł.

— Oj! szczęśliwym! — wtórował ironicznie starszy, — pięknem szczęśliwy!

— Któż to wie! — przebaknął Wicek, spoglądając nań z ukosa. — może ci się Rewnowscy wywdzięczyć zechcą... Ty — ty jeszcze masz choć assumpt do jakiejś nadziei — ale ja — ja...

Padł Wicek na ławę. Choć starszemu do lasów było potrzeba, jak zaczęli mówić o pannie Konstancji, zagadali się niemal do wieczora. Dopiero słońce już zachodzące zobaczywszy, Wacek konia sobie podać kazał, i w las z desperacką miną pokłusował. Wi-

cek się tak zapomniał, że parobczak dopiero przychodzący po obroki obudził go z zadumy, porwał klucze i pospieszył do gospodarstwa.

Ale teraz, teraz mu ono prawie było obojętnem — myślał tylko. co począć... To się wyrzekać chciał panny Konstancji, nie nie mówiąc nikomu o tem, to znowu na odwagę mu się zbierało, żeby się jawnie oświadczyć, a harbuza dostawszy. mieć już spokojne sumienie. Ta myśl go coraz bardziej rozpalała.

— Dla czego, nim ona wyjedzie ze stryjem nie mielibyśmy szczęścia poprobować?

Ale bez brata uczynić tego nie chciał i bez narady z nim. Żał mu teraz było iż mu tego nie powiedział. a nimby się z uim spotkał, czasu dużo mogło upłynąć.

Wiedząc drogę, którą się puścił Wacek, choć wieczór już był późny, konia kazał kulbaczyć i poleciał. O półtorcej mili w chacie leśnika na noclegu spodziewał się schwycić brata. Tak mu pilno było, że konia zhasał i gdy do chaty przybył, szum na uim stanął. Zaraz po koniu, którego do wody prowadzono, poznał, że go tu zastał.

Zdziwił się Wacek i nastraszył.

— A ciebie tu co przygnało?

Spostrzegł, że ten był jak w gorączce.

— Co umie przygnało? Nazywaj jak chcesz, *Mente captus, stultus. asinus* jestem, jak ksiądz prefekt mawiał w szkole... Nie mogłem wytrzymać... przybiegłem na radę.

— Daremna rzecz... ja, ja... choć poprobować muszę... nim nam ją zabiorą. Słuchaj mnie. Cóż to ubogiemu się niewolno swatać do majątniejszej? Odmówią, wysmieją — mniejsza o to — wszystko to lepsze, niż się z tem brzemieniem nosić...

Wackowi, słuchającemu, piersi się też podnosiły.

— Nie gadaj no! — przerwał — i mnie się tego samego zapragnie, jak Bóg Bogiem!.. Masz słusność.

Dadzą odprawę, korona nie spadnie z głowy... pójdę w świat...

— A no, — powtarzał zamysłony, — co ma być, niech się sobie stanie...

Wicek spojrział nań z wyrzniętem.

— Więc oba będziemy szczęścia próbowali? zapytał.

— Czemuż nie!

— Któryż wprzód? — podchwycił młodszy.

— Słuchaj Wicek, — zawołał drugi, — kiedy ci to na myśl przyszło, że rychlej wskóra, kto pierwszy przyjdzie — to ty jej nie znasz... albo to jej pilno? albo taka jak ona da się słówkami ująć? Ale — ale...

— Prawda to zatem, — porywco zaczął młodszy, — zatem po starszeństwie... na waści kolej. ja odstepuję... ale śpiesz się, daję ci dzień, dwa, do niedzieli. jeśli chcesz... W niedzielę przyjadę do Zalesia, i — na pieniek głowę. Stań się wola Boża...

— A pamiętaj, — dodał, — że rezolucja ta nie z czyjej wyszła głowy tylko z mojej.

— Myślisz, że ja tak samo nie chciałem uczynić? — ołparł Wacek. — Bóg mi świadek — wahałem się tylko — wahałem. a tyś mi swoją rezolucją podbił bębenka... Kiedy ginąć to ginąć... A no potem, gdy mi rekuzę da. starostę pożegnaliśmy. — nie chcę tu być...

Popatrzał na Wacka, który stał o plot oparty. — A ty?

— Albo ja wiem, co zrobię? mnie trudniej, — odezwał się młodszy. Dzierżawy tak pośród roku porzucić nie podobna. ja się domęczone do czasu, a no w Zalesiu nogą nie postanę! — dodał gwałtownie... My tam tę truciznę pijemy, od której szalejem. Patrzymy się jej w oczy i durn dostajemy od nich... Komu się w głowie kręci, ten nie wie, że łązić nie powinien... Tak — nie postanie tam noga moja — a. jak umrę z tęsknicy za nią, no — to co? chyba po mnie stary stryj i stara Magdalena zapłaczą. A może głupi Bartoch... Świat się bezemnie obejdzie!

Oba jakoś w desperackim byli usposobieniu.

— Słuchajże, — dodał, konia swojego dosiadając Wicek — masz do niedzieli czas. Ruszaj przodem, i szczęść ci Boże...

— W szczęście nie wierzę, — poważniej i spokojniej rzekł Wacek, — ale masz słuszość, człowiek wie-dzieć powinien, jak stoi... Tak lepiej... Po co się okłamywać...

I rozstali się, ręce sobie podawszy...

Była sobota—mrok padał, staroscina siedziała na poufnej cichej rozmowie z sędzią, który pochyłony ku niej, coś jej półgłosem, dobitnie bardzo opowiadał, takt ręką wybijając na kolanie.

Kiedy niekiedy słychać było głos podniesiony mimowolnie i natychmiast przechodzący w szept poufny. Widocznie przedmiot to był ważny uader. jeśli nie dla pani starosciny, która opowiadania słuchała z pewnym rodzajem rezygnacji obojętnej, to dla sędziego animującego się bardzo.

Panna Konstancja, jakby dla nieprzeszkadzania rozmowie usunęła się była ku trzeciemu oknu i przez nie na dziedziniec spoglądała. Okno było otwarte z podwórza załatywała woń bzów rozkwitłych i czeremchy. Słowik nie daleko nucił swą wieczorną piosenkę. Cicho było, a tak rozkosznie smutno, jak bywa na wiosnę. Natura nawet gdy w rozkwicie, gdy najweselejszą jest, gdy się śmieje — ma łzy na powiekach, ma niewypowiedzianą na zielonych szatach tęsknicę. Życie się podtrzymuje śmiercią... i ból graniczy ciągle z rozkoszą... Czy słuchała panna Konstancja słowika, czy się napawała powietrzem, czy myślała może, jak jej przykro będzie to miejsce, od dzieciństwa ukocha-

ne, porzucić. Iza zdawała się wzbierać pod powieką, oczy jej patrzyły, nie widząc, myśli gdzieś były daleko.

Z obawą i niesmiałością, po cichu, jakby walcząc z sobą, zbliżał się ku niej Wacek. Szedł i siły mu się zdało braknąć — i stawał, rumienił się, bladł, aż wreszcie zdobywszy się na odwagę, przystąpił.

Panna Konstancja zwróciła powoli ku niemu główkę, jakby się go spodziewała, nie okazując zdziwienia.

Przystąpił blisko, popatrzał i szepnął cicho:

— Czyż pannie Konstancji nie smutno będzie nas opuszczać?

— A! bardzo — bardzo, — rzekła cicho. — myślałam o tem właśnie. Stryj jest dobry dla mnie, nie wątpię o stryjence — ale kto mi serce mojej anielskiej starościny zastąpi!

— Nie stracisz go pani!

— Daj Boże! to wiem, że moje przy niej zostanie. Było mi tu jak w raju, ale człowiek do niego stworzony nie jest. I westchnęła.

— Pani trochę żal będzie Zalesia, — mówił Wacek. — ale nam tu wszystkim po niej choć z tęsknicy umierać...

Począł troszkę, oczy miała spuszczone, i nic nie odpowiedziała.

— Czyż pani nie czuła, nie widziała, — ciągnął po chwili. — jak ją tu kochano?

Rumieniła się twarz panny Konstancji, spojrzała trwożnie ku staroście, jakby pragnęła być odwołaną, ale sędzia i ona zajęci byli tak mocno rozmową!

— Panno Konstancjo dobrodziejko, — dodał. — mnie odjazd pani, jak nożem w serce — zabije... Ja — ja! o — mój Boże, choć niegodnym się jej czuję — ja... pani się domysli... Dla mnie bez niej szczęścia nie ma na świecie.

Mówił jękając się, przerywając, łkając wyrazy, a panna słuchała, oczu nie podnosząc, tylko widać było w niej poruszenie, które hamować usiłowała. Ręce jej drżały...

Skończył — nie mogąc długo doczekać się odpowiedzi, szepnął:

— Przebacz mi pani, jeżeli ją obraził.

Wtem powieki jej się podniosły, oczy miała mokre. — chciała mówić i wahała się...

— Ja, — od siebie nie zależę. — rzekła.

— A gdybyś pani od siebie zależała. niechże wiem wyrok moj! — zapytał Paczura.

— Gdybym zależała od siebie — poczęła głosem drżącym. — nigdybym nie mogła ręki oddać nikomu, choćbym serce nawet oddała. taka jest dola moja.. Nie mogę powiedzieć, dla czego... Paubyś nie zrozumiał. Jeśli mi wolę zostawią — ja za mąż nie pójdę...

Wacek spoglądał na nią. chcąc odgadnąć przyczynę, — nie dała mu przegłądać się w swych oczach .. i dodała żywo:

— Ja panu spryjam — mam dla niego przyjaźń prawdziwą, zachowam mu ją całe życie — wierz mi — ale żadnej nie dam mu nadziei — bo nie mogę, bo mi się nie godzi...

Podawała mu rękę, spojrzała bystro i odeszła. Wacek pozostał jak wkopany w ziemię.

Co to znaczyć miało? Oświadczała mu przyjaźń. którą przez całe życie zachować obiecywała — a nadziei nie czyniła? Dla czego za mąż wcale iść nie chciała? — Wacek nie mógł z tego zrozumieć nic. wiedział tytko, że dostał osłodzoną odprawę. i że nic się już nie miał spodziewać...

Różne myśli błękały mu się po głowie skołataney, stał nie wiedząc. co pocznie. Dopiero głośniejsze coraz opowiadanie sędziego z tego snu go rozbudziło. obejrzał się. panny Konstancji nie było w pokoju — wyszedł i on, a raczej wywłókl się do ganku i upadł na ławę.

Tu powtórzył sobie, co słyszał. Znał nadto dobrze pannę Konstancję. aby mógł na chwilę powątpiewać o tem, że mówiła stanowczo i że słowo jej się zmienić nie mogło. Sam wywołał je, — skończone było wszystko... Miał że tu pozostać? Zdało mu się to

niepodobieństwem... Trzeba było Zalesie opuścić, i w świat ruszać. Chciał tylko wprzód wypowiadać się stryjowi ze wszystkiego, wytłómaczyć mu przyczynę — a potem — zaciągnąć się do wojska. Tym sposobem straciłby z oczu miejsca, pozbył wspomnień i możeby mógł, zapomniawszy przeszłości — odżyć kiedyś na nowo...

Jeszcze z temi gorzkimi myślami wzdychając walczył, coraz mocniej utwierdzając się w zamiarze zaciągnięcia do cudzoziemskiego choćby autoramentu, bo do kawalerji przystęp był ubogim niemożliwy, gdy sędzia, się nagađawszy ze starością, zjawił w ganku, i postrzegłszy Wacka, wesoło przysiadł do niego, klepiąc go po kolanie.

— Co tu asindziej tak medytujesz, solo basso! he? Ponure myśli! he?

— Zachciał pan — jest zawsze myśleć o czem.

— A pewnie — rzekł sędzia. — tylko młody powinien zawsze wesoło na świat patrzeć. Wszystko przed nim! He? — spytał.

Wacek zmilczał.

— Ja do waćpana mam interesik. — dodał sędzia, przysnuwając się bliżej do niego. — Dawno się już z nim zbieram.

Obejrzał się do koła — sami byli.

— Winienem panu wielkie szczęście. kochany panie Paczura, — Volens czy nolens. oddałeś mi przysługę, za którą całem życiem wdzięczen będę — nie mniej. Bóg widzi, chciałbym moją gratitudinem okazać ci jawnie...

Wacek rękami strzepnął.

— Ależ posłuchajże, — dodał sędzia. Krzywdy ci nie wyrządzą tem. co powiem. Asindziej mi się podobasz... Sytuację jego wiem. że nie masz nic... że ci Bóg nie dał — temu winien nie jesteś. Starosta go szacuje, kocha starościna. Hm! Rozumiesz asindziej.

Tu mu się do ucha pochylił...

— Jeżeli pannę sobie zyszczesz — ale to warunek—

sine qua non. jeżeli Kostusia zechce pójść za waszeczki, masz moją rękę...

Wacek, podchwyciwszy ją z wielkim zapalem po całował...

— Tylko — warunek — sine qua non. aby ona tego sobie życzyła. bo my jej żadnego gwałtu zadawać nie chcemy... A com rzekł — inter nos... Przyjedź nas potem odwiedzić... pozostań, zabaw, staraj się... Jeśli wola Boża będzie...

Po pierwszym strapieniu doznanem. jakby snem zdało się to i marzeniem Wackowi — nie posiadał się z radości. Przed chwilą zrozpaczony, powiedział sobie, że nadziei tracić nie powinien.

— A! panie sędzio dobrodzieju! — zawołał, — nad zasługi mnie uszczęśliwiasz... dobroczyncą moim jesteś. Mamże się taić? od dzieciństwa kocham się w pannie, życie dla mnie bez niej niema.

— A ona? — spytał sędzia.

— Nie wiem, — począł mieszaną Paczura, nie chcąc się przyznać do odmowy, nie wiem... Ani śmiem się spodziewać. Jednak pod protekcją pańską, przy łasce jego — któż to wie, dostąpię może szczęśliwości tej... Kochałem ją sierotą...

— Jam bo się tego domyślał zaraz. — rozśmiał się sędzia, który to brał wesoło. — domyślałem się z wejrzeń na nią ciskanych... Młodzi się zawsze zdradzają. Bądź asindziej dobrej myśli... panna skromna, nie ła-two się jej wydać z afiektem... Możesz się starać... a to rzecz twoja, żebyś się wystarał. I — jakoś to będzie! — roześmiał się, klepiąc go po ramieniu, — mnie się coś zdaje, że to pójdzie po myśli.

Zawołano na wieczerzę. poszli, a Wacek jak pijany siadł w końcu stoła... Miejsce panny Konstancji nie było zajęte, staroscina oświadczyła, że ją trochę głowa boli i że do stołu przyjść nie miała... Zeszła wieczerza cała na opowiadaniu procesu o nabycie dóbr, dwaj prawnicy niezmiernie się rozgorączkowali, spierając się o jakąś formalność i znaczenie prawne intromissji... ale Wacek z tego i słowa nie słyszał...

Nazajutrz rano. ledwie z łóżka wstał. gdy Wicek się zjawił. Stanąwszy w progu spojrzał mu w oczy badająco, czytać z nich chciał wyrok swój.

Brat podszedł ku niemu na pół wesoły, pół smutny...

— Nie gadaj mi długo, — zawołał młodszy, widząc, że się Wacek zbiera na opowiadanie szerokie. — tak, czy nie.

— Ależ posłuchaj! ani tak. ani nie!

— Nie mówiles z nią?

— Owszem — miej cierpliwość?

— Niech cię — z twoją cierpliwością, ja jej nigdy nie miałem! — wołał Wicek.

Musiał jednak zebrać się na nią, bo brat mu uczciwie i szczerze począł swą rozmowę z panną Konstancją powtarzać.

Tak mi Boże dopomóż — rzekł. — słowo w słowo ci mówię, jak mi odpowiedziała!

Wicek się zerwał.

— A! no wola Boża, mogę ja poprobować! krzyknął.

— Teraz słuchaj dalej, — począł Wacek, i spotkanie swe z sędzią, rozmowę z nim znown dosłownie prawie mu powtórzył.

Zbladł słuchając Wicek.

— Szczęśliwyś. — rzekł, — co mam mówić na to!.. Czyż mnie to ma zagradzać drogę? nie wolnoż mi się odezwać do niej? szczęścia probować? mów...

Wacek się namarszczył — widać było, że mu to nie szło w smak.

— Ja ci zabronić nie mogę, — rzekł sucho. — Cóż mnie do tego? Nie mam prawa drogi ci zapierać...

— A jaż ci twojej nie zagram! — zawołał młodszy.

— Przepraszam. — odezwał się z goryczą Wacek. — już! Nie chce mnie ona dziś — toć się rozmyślić może. gdy mi wolno będzie zbliżyć się do niej i gdy mi ludzie. zamiast przeszkadzać, jak dotąd staroscina, pomagać zechcą.

— Możesz ją teraz podchwycić. korzystając z momentu... albo ja wiem... A no — rób co chcesz!

Przechadzał się żywo po izbie — Wicek się zadumał i czoło w rękach ukrył... Widząc go tak zafrasowanym, Wickowi przykro się zrobiło.

— Ja ci drogi nie tamuję! — powtórzył, — rób co chcesz...

Nie odpowiedziawszy nic Wicek, wstał ze stołka: zawrócił się i wyszedł z izby... Sam nie wiedział, co poczynić. W kapliczce ogrodowej dzwoniono pierwszy raz na Mszę świętą. Czasu było dosyć na nabożeństwo, ale nie mając co czynić z sobą, ku niej się skierował Wicek.

Ludzie dworscy i niektórzy ze wsi nawet, poczynali się przede drzwiami gromadzić. Ks. Serafin szedł powoli do zakrystji. Unikając rozmowy i spotkania, Wicek wszedł nieco w głąb ogrodu, zamierzając za drugim dzwonkiem pójść do kaplicy. Ledwie kilka kroków uszedł, gdy przed sobą zobaczył nagle z książką od nabożeństwa w rękach pannę Konstancję. Przestraszył się razem i uradował, zdawało mu się, że samo przeznaczenie stawilo ją na jego drodze, — aby los się roztrzygnął. Był jak w gorączce...

Ona go witała, badając ciekawie oczyma...

— Dzień dobry!

— Panno Konstancjo dobrodziejko, — zaczął żywo Wicek, oglądając się do koła, czy ich kto nie słucha, przysmał się ku niej tak, że się o krok cofnęła, — panno Konstancjo dobrodziejko, dla mnie to dzień albo będzie w życiu najlepszy, albo najnieszczęśliwszy... Pani...

Panna trwożliw'e się obejrzała.

— Co panu jest?

— Co mi jest? oszalałem po prostu! — rzekł Wicek. Panią nam zabierają. — czyż pani nie wiesz tego i nie widzisz, że ja się kocham śmiertelnie... że ja...

Złożył ręce na piersiach..

— Zabij mnie jednym słowem! — dodał. — Chwyciłem chwilę przyjazną... postępuję sobie jak warjat...

Wiem to... ale w istocie szalonym się stałem przez tę miłość...

Zarumieniona, niespokojna, panna Konstancja zdawała się chcieć niekać. Po namyśle podniosła oczy ku niemu.

— Widziałeś się pan z bratem? — spytała.

— Dla czego to pytanie?...

— Zapytaj go, proszę, com mu wczoraj odpowiedziała, — mówiła Konstancja głosem smutnym. — zapytaj go... i te same słowa, nie wyjmując żadnego, weź dla siebie. Sprzyjam panu... mam przyjaźń dla niego, zachowam mu ją wiernie, ale nadziei nie czynię — nie mogę...

To mówiąc, gdy Wicek chciał odpowiadać jeszcze, przesunęła się drożyną i pośpiesznym krokiem udała się ku kaplicy. Gonić było niepodobna.

— A więc obu nam jedna odpowiedź — rzekł w duchu — obu jedna odprawa... Ha, no! z tą różnicą tylko, że on na to nie zważa, i może się starać a zalecać. — a mnie zamknięta droga na wieki...

Powlókł się do ławki pobliskiej i siadł na niej. Zdało mu się, że się znalazł nadto obcesowo — że... sam może był winien... że pannę nastraszył takim wybuchem... powiedział sobie, że ją przecie jeszcze dnia tego spotkać może i odnowić rozmowę...

Drugi i trzeci raz zasygnowano do kaplicy, a Wicek nie słyszał, dopiero chłopak, który go tam siedzącego zobaczył, oznajmił mu, że czas na mszę i napędził... Wszedł biedny, stanął u drzwi i modlić się nawet nie mogąc, przetrwał oparty o ścianę, aż do końca.

Przed nim klęczała starościna, panna Konstancja, kilka sierot i sędzia, który z rozłożonemi rękami, na pół głosno z namaszczeniem odmawiał po łacinie modlitwy. Wacek stał także z boku, z twarzą smutną, nienastannie oczyma rzucając na brata, którego czerwoność i niepokój zdradzały poruszenie wewnętrzne. We drzwiach się wychodząc spotkali, lecz nie przemówili do siebie. Dnia tego gości było kilku, towarzy-

stwo liczniejsze, i mimo zabiegów, Wickowi do panny bardzo się trudno zbliżyć było, co go do największej doprowadzało niecierpliwości.

Usiłując badać pannę Konstancję. Wicek z niej nie poznać nie mógł; miała, jak zwykle, twarzyczkę poważną, wyraz zamysłony, oblicze spokojne. Ani go uniękała. ani mu okazywała gniewu, którego się obawiał. Ku wieczorowi dopiero, gdy Wacka odwołał starosta dla jakiejś skryptury, udało się mu przysunąć do panny Konstancji.

— Pani się na mnie nie gniewasz?

— Za cóż? nie wiem!

— A! dziś rano — nie byłem przy zmysłach! zawołał. Wprawdzie i wieczorem toż samo czuję. to samobym chciał powiedzieć — ale na kolanach. błagając o miłosierdzie...

— A ja. rano i w wieczór jedną mam tylko odpowiedź — odezwała się panna, — wierz mi pan... Życzę mu jaknajlepiej.

— A zabijasz mnie pani...

— Panie Wincenty! — z wyrzutem odezwała się panna...

— Więc to nieodwołalny wyrok dla nas obu?

Z lekka zarumieniło się lice panny Konstancji.

— Nie może być inaczej — rzekła cicho.

— Nawet... gdyby mój brat miał zrzeczność, pozwolenie. czas... starania się o zmianę? — zapytał Wicek...

Pytanie to zdawało się niepokoić ją — podniosła oczy.

— Zkądże pan wnosisz, że to być może? — zapytała.

— Mam powody do tego... A! zazdroszczę mu. Zdaje mi się, że go nienawidzić zacznę, że choć bratu... wrogiem się stanę...

Gdy to mówił, przestraszona panna ujęła go za rękę.

— Na miłość Boga, — szepnęła. — ani pan mów. ani myśl połobnie! Czynisz mi przez to boleść największą...

I przerwawszy chwilę — dodała żywo:

— Daję panu słowo... tak — najuroczystsze... to się zmienić nie może... ale pan mi dać musisz słowo, że ku bratu gniewu, zazdrości, mieć nie będziesz... Daj mi pan słowo... ja proszę, ja się tego domagam... Słowo!?

Stłumionym głosem, Wicek jęk raczej wydał niż słowo, i odszedł.

Panna pośpieszyła do starościny.

Tak się ten dzień skończył. Wicek nie mówiąc z bratem, chciał odjechać do domu. Zdążył spostrzec, że powracającemu od starosty panna Konstancja kilka słów rzuciła przechodząc, i Wacek dopędził go na ganku.

— Czekaj, — rzekł. — potrzebuję mówić z tobą, proszę cię...

Zeszli oba razem w dziedziniec. Widać było, że starszy pełen był żalu i rozdrażniony.

— Cożes to splótł przed panuą Konstancją? zawołał, zbliżając się, — jakim prawem mogłeś jej o tem mówić, co się mnie tyczyło, a do ciebie nie należało?

Powiedział to głosem drżącym i gniewnym.

— Chciałeś mnie tem sparaliżować! pannę uprzedzić, żeby się miała na baczności... Taki to z ciebie brat!

Wicek słuchał, gryząc wargi.

— Tak jest, — wygadałem się — potwierdził.

— Więc kwita z przyjaźni, — dokończył Wacek, obracając się do niego tyłem — Bywaj zdrów.

Ani słowa nie odpowiedziawszy. Wicek poszedł do stajni, zaprzęgać kazał i wyjechał

Wacek stał długo wzburzony cały, i nie rychło mógł wrócić do dworu, gdzie nań starosta czekał.

Tak znowu przyjaźń braterska rozbila się o tę dziwną miłość obu — bez nadziei. Wacek już o wojску nie myślał, bądź co bądź, choć mu panna Konstancja powiedziała wręcz, że staraniem jej postanowienia nie złamie, postanowił być cierpliwym.

Na pozór spokojniejszego charakteru i łagodniejszego usposobienia, w istocie był gwałtowniejszym od

brata, a przynajmniej mocniej stał przy swoim. Zapamiętałe kochając, zapominał się do tego stopnia, iż ufając w poparcie sędziego, mówił sobie: — Nie ze- chce mnie, nie pójdzie za nikogo, ktokolwiek się ośmie- li posunąć do niej, wyzwę na rękę i obetnę. A zabije on mnie. — co mi tam!! o życie nie stoję!

Jeszcze dni parę, wstrzymywany ciągle, zabawił sędzia, wreszcie pożegnał starostwo oboje, czule się pościł synowicy i obiecując przyjazd swój z żoną za- brał się do odjazdu. Wacek nadskakiwał mu, jak mógł, służył i widocznem było, że o łaski jago zabie- gał — nderzalo to wszystkich, widziała to i panua Konstancya. Nie tylko w Zalesiu tak tańcował około niego, ale wyjeżdżającego przeprowadził do Bo- rnsławic, do stryja, zapraszając go, aby na probostwo wstąpił.

I księdza na chwilę na stronę wzięwszy, wszyst- ko mu wyznał Wacek, nie nie mówiąc o bracie, wy- śpiewał i to, iż mu sędzia protekcję swą przyrzekł. Ksiądz Pacznra, rozrzewniony, nściskawszy synowca, sędziego już nie wiedział jak przyjmować i gdzie sa- dzić. Ręce przed nim składając, choć nie mówił za co i dla czego, oświadczał się z wdzięcznością, powta- rzając ciągle iż w modlitwach swych wspominać ich będzie codziennie.

Przy zręczności też rozwiódł się z pochwałami synowców, szczególniej starszego, opowiadając o je- go najlepszem sercu, statku i wszelkich przymiotach. Sędzia też potakiwał. Podano butelkę, zjawił się ja- koś do niej Hołłowicz, który zabawiać umiał, czas prze- szedł wesoło, a Wacek jeszcze na konia siadłszy, sę- dziego o pół mili dalej przeprowadził.

Tymczasem Wicek, wróciwszy do domu zgryzio- ny, rozmyślał, co z sobą ma czynić? Dumy w nim było przynajmniej tyle, co miłości.

— Nie chce mnie ona? nie będę jej lazył w oczy — nie zobaczy mnie więcej. Skwitował brat z przyjaźni, niechże będzie z nami kwita... Nie potrzebuję do Zale- sia jeździć, ani się im na oczy nastreć...

Raz tę myśl powziąwszy, Wicek nazajutrz zajądł się znowu wziął do gospodarstwa. Następnej niedzieli nie było go w Zalesiu. nie przyjechał i na drugą. Zamiast do kaplicy, ruszył do stryja. Ks. Paczura obu ich zarówno kochał. a zdawało mu się zawsze. że tego, którego nie widział, miłował więcej. Już był stęskniony do Wicka. Zobaczywszy go. począł gderać.

— Kochany stryju. w domu roboty przez wierzch głowy... a czego nie dopatrzę sam... to przepada.

— Ależ niedziela. dzień Pański.

— To prawda, a świnię i w ten dzień w szkodę chodzą. — rzekł Wicek, śmiejąc się.

Tu stryj począł mu. myśląc. że może nie wie o niczem. opowiadać o szczęściu Wacka. i o tem. jakie mu obietnice czynił sędzia.

— O tem ja wiem — odparł Wicek. — ale z tego nic nie będzie.

— Jakto? a to dla czego? — podchwycił proboszcz zdumiony.

— Dla tego. że panna mu wręcz oświadczyła. że go nie chce. — rzekł Wicek.

— A ty to zkąd wiesz? — zawołał ks. Paczura zdumiony.

— Z ust samego Wacka. — mówił młodszy. Po-chlebia on sobie. że pannę nakłoni... — ale...

Posmutniał proboszcz. — Dla czegoż ou mnie o tem nie mówił nic?

— Tego nie wiem. — krótko nrywając. dokończył Wicek.

Uderzyło to księdza. iż brat o bracie jakoś się wyrażał kwaśno; przykro mu się zrobiło i pomyślał. że nazajutrz też starszego weźmie na konfessatę.

Cały dzień Wicek zabawił. ale on. co zwykle wesołym bywał. teraz chodził jak struty. odzywał się mało. wzdychał. i w końcu proboszcz. pogłaskawszy go po głowie. zapytał:

— Co tobie jest. ty mój zabiegliwy włodarzu? czy szkodę masz w gospodarstwie? czyś chory? mów. Może ci potrzeba czego? tobyśmy ci pomogli...

Wicek go w ramię pocałował.

— Ale nic mi nie jest, — rzekł ze śmiechem wymuszonym... ot, zwyczajnie, planetami na mnie humory przychodzą, co tam zważać na to! Chciałbym się z tej okolicy wynieść, powiem szczerze.

Ks. Paczura się przeżegnał.

— A toż co? — spytał. Chcesz biedy szukać. Nadto ci tu spokojnie i dobrze? A gdzież znajdziesz drugiego starostę i drugą taką dzierżawę, gdzie cię o tenutę nie pytają? Oszalałeś czy co..?

— A! wszystko to dobre, — rzekł Wicek, kręcąc się, — to prawda — ale co na takim gospodarstwie zrobić można? Maciek zrobił, Maciek zjadł. . Wolałbym gdzie u starosty w oddalonych dobrach rządca być.

— Tak, i przez tę chciwość dla grosza — mnie i okolicę, gdzieś wzrósł, porzucić — wstydzilibys się. Porzuć te grzeszne myśli i panu Bogu dziękując za to, co jest — siedź na miejscu. Wiesz przysłowie o kamieniu... ludzie, co się bardzo kręcą, rzadko się czego dobrego dobiją.

Wacek się już nie sprzeczał więcej, i odjechał wieczorem, ale w myśli mu to tkwilo, ażeby się z okolicy wynieść. — Chciał o tem mówić ze starostą, szło mu tylko o to, ażeby się w Zalesiu z panną Konstancją, ani z bratem nie spotkać. Czekał sposobności.

Tymczasem pannę Konstancję musiało to uderzyć, że już Wicka więcej nie widziała, i że wyraźnie od Zalesia unikał. Posyłał po niego Sniehota dowiadywać się, złożył się robotą i w polu niedobrem zdrowiem. Nie pojechał.

Wreszcie raz panna, która grzeczną zawsze będąc dla Wacka, unikała z nim rozmowy, sam na sam, raz się do niego zbliżyła z pytaniem.

— Cóż to jest panu Wincentemu, że się aui pokaze?

— A, ja nie wiem, — odparł Wacek.

— Przecieżbyś pan o bracie wiedzieć powinien. Nie widziałeś go pan?

— Nie widziałem.

— Ale to się nie godzi! Czyż nie jesteście z sobą jak dawniej?

— Od czasu. jak mnie zdradził, znać go nie chcę. — rzekł Wacek.

— Panna Konstancya zarumieniła się zniecierpliwiona.

— Jeżeli ja mam być między braćmi powodem do niezgody, — odezwała się. — słowo panu daję — że do niego nie przemówię, nie spojrzę nawet...

— Cóż panią tak Wicek obchodzi! — począł starszy.

— Tyle co i pan, rzekła spokojnie panna Konstancya. Zrobiłabym to dla waćpana z nim. co robię dla niego z wami. Jeżeli się panowie nie pogodzicie. nie będziecie po dawnemu... jak mnie pan żywą widzisz, ani spojrzę, ani przemówię.

Tych słów dokończywszy, na odpowiedź już nie czekając. odeszła żywo. — a Wacek mocno wzburzony pozostał w miejscu. Z rana sobie powiedział: — Cóż? ja go jeszcze będę przeproszał — a! niedoczekanie...

Trwało to postanowienie dwa dni, a gdy w przeciągu ich panna w istocie ani spojrzała, ani odpowiedziała na przywitanie, ani nawet widzieć się go nie zdawała chwyciło go to za serce.

— Nie bądź pani tak okrutną, — rzekł po cichu, trzeciego dnia. — choć mnie to Bóg wie co kosztować będzie, pojedę jutro do brata, i będzie zgoda...

Panna Konstancya obejrzała się nań z uśmiechem łagodnym. kiwnęła mu głową, potakując, i odeszła.

Drugiego dnia rano Wacek na konia siadł i do brata jechał. W domu go nie zastał — bo teraz zadadle owo gospodarstwo prowadząc, od rana do nocy siedział sam przy robotnikach. i obiad sobie jak dla parobka, w dwojaczkach nosić kazał na pole.

Koszono właśnie błotne łąki, i Wicek na grobli siedząc, przypatrywał się robocie. gdy zobaczył kłusem nadbiegającego brata. Popatrzał nań. ale sądząc,

że przejeżdża tylko tamtędy, zaraz głowę odwrócił i nie patrzył nań nawet.

Usłyszawszy, że Wacek po za nim staje—też nie drgnął.

— Słuchaj Wicek. — odezwał się. zsiadając z konia starszy,—przyjechałem do ciebie umyślnie. — Skrzywdziłem cię, bom miał żal. aleś i ty mnie za skórę zalał, — jeśli winien. przepraszam... Nie chcę waśni braterskiej—darnj mi, uściśnijmy się i niech to będzie zapomniane na wieki.

Wicek i tak już samotnością i smutkiem był roztkliwiony, posłyszawszy te dobre słowa, głosem serdecznym wymówione, zerwał się i skoczył bratu na szyję...

— Wacku, — to ja cię proszę o przebaczenie! Jam winien! Daruj ty mnie! Dwoje nas jest, jednej matki dzieci na świecie... niech nas łađa waśni nie rozdziela... Daruj,...

Ściskając się, obaj łzy w oczach mieli, Wickowi serce biło mocno.

— Więcej ci powiem Wacku kochany,—rzekł,—ja ci z drogi ustąpię. namyśliłem się — nie mam tu co robić. Panna obu nas nie chce. a mnie to już najpewniej; co mam siedzieć i truć się? w świat pójdę! Mam do starosty zaufanie, kocham go jak ojca. powiem mu wszystko i poproszę. by mnie puścił. Gdy z oczu wam zejde, tobie będzie lżej... a może i ja zapomnę!

Chciał Wacek mu perswadować i powstrzymywać, ale ten się opierał...

Siedząc na grobli, gadali z sobą do wieczora, rozstali się po bratersku, serdecznie, i Wacek spokojny. z lekkim sumieniem do Zalesia odjechał.

Wicek przy swoim stojąc, dobrał sobie godzinę dla widzenia się ze starostą, i pod wieczór. gdy on zwykle w swojej kancelarji nad papierami siadywał. poszedł do niego... Że już mrok padać zaczynał, nie zniecierpliwził się stary, iż mu robotę przerwano. okulary ściągnął i witającego zagadnął:

— A toż co cię za chandra napadła, żeś przez kilka

tygodni ani nosa nie pokazał? Malkontent, czy co, u kadnika...

Sklonił mu się Wicek do kolan.

— Malkontentembym się nazwać nie mógł, rzekł,—chyba niewdzięcznikiem. Niech mnie pan starosta ojcowskiem sercem wysłucha...

— Praw... no—co tam...

— Młodość — ojciec mój a dobrodzieju—począł Wicek. Niechaj to, do czego się przyznam jak przed ojcem, zostanie przy panu moim...

— Sekret! no — proszę! — rozśmiał się stary... Praw — a na półmisku szeroko nie rozkładaj.

— Otom się zakochał bez nadziei. panie starosto dobrodzieju. — wprost wyznam. w pannie Rewnowskiej. Ona mnie nie może chcieć. a ja tu patrząc na nią. coraz mocniej szaleję. Dlatego przybyłem prosić łaski pańskiej, niech mnie pan gdzie do dalekich dóbr wyszle... abym tu nie był.

Starosta zdumionemi popatrzał oczyma.

— Rozum nad lata! jak Bóg miły, — zawołał. To się waści chwali... Jeszcze mi się nie trafiło spotkać takiej miłości, co od obiektu swojego ze strachu ucieka. Ale—masz asindziej rację. Panna Rewnowska za ciebie nie pójdzie... a ty głowę darmo będziesz tracił...

Pomyślał chwilę.

— Cóż ty chcesz z sobą robić?

— W świat uciekać!

— Hm. — mruknął stary Sniehota, — mam ja koło Horodła za Bugiem wioskę... a tam mnie wszetecznie kradną, choć pszenicę rodzi. jak złoto... Puszczę ci ją dzierzawą. bo rządzą ci się być nie zechce.

— Dla czego nie?—odparł Wicek.

— Nie wypada. spadłbyś z dzierzawcy na gubernatora—jakbym cię zdegradował. Ułożymy się... jakoś to będzie.

Wicek go pocałował w rękę.

— Ale to bo i dziewczyna niepocziwa. — rozśmiał się starosta — głowy pozawracała wszystkim. Al-

bom się onylił. lub i Wacek za nią szaleje, znam jeszcze kilku takich. Chodzi to skromnie jak trusia. a kiedy popatrzy, pożary wznieca! Dziewczyna bo jak lania, rozumek nie dla proporcji... i statek wielki. Każdyby chciał nad tem odnieść tryumf, a panna jak skała!

I śmiał się dobrodusznie starosta...

— Ale mnie pan nie zdradzi! nawet przed panią starościną!—dodał, do kolan chyląc się chłopak...

— Bądź spokojny, — śmiejąc się rzekł stary, jak w Wirgiliuszu stoi... sam expertus, miseris succurrere disco... Sza! umalujemy te przenosiny. Niech się panna nie domyśla, boby jej to do nosa poszło, że aż kawalerów rozpędza!! Fiu—fiu!!

Chciał starosta zaprosić na wieczerzę Wicka, ale ten się wymówił, i zaraz z nikim się już nie widząc, oprócz brata. odjechał do domu.

Pomimo danego słowa—starosta sub rosa, tegoż wieczoru wygadał się przed jejmością. Pani jednak przed Konstancją nic nie wypowiedziała... A Wicek już się za Bug wynosił.

III.

Smutny to był dzień zaprawdę dla Zalesia, gdy po tygodniowym pobycie w niem, oboje państwo Rewnowscy, zabierając z sobą synowicę na Podlasie, wyjeżdżać mieli. Dopiero się to uczuć dało, jak jedna twarz, jedna milcząca i skromna panienka, której na pozór widać tu ani słyszać nie było, wiele miejsca w sercach zajmowała. — jak jej oczom wszystkich braknąć miało. Nie mówiąc już o starościnie, która po kątach płakała, za każdym spotkaniem ścisła wychowanicę, a uśmiechać się musiała temu, co się jej szczęściem nazywało — nie mówiąc o staroście, który sam przez się i dla żony był markotny — nie mówiąc o nieszczęśliwym Wacku, niewiedzącym, czy się ma smuć, czy cieszyć — cały dwór był we łzach i żalach. Sama panna Konstancja chodziła blada, z sercem ściśniętem, bojąc się okazać, co cierpiała, aby dobrych państwa Rewnowskich, co ją jak dziecko tulili do siebie, nie zasmuć.

Na ten dzień uroczysty rozstania zjechał ze mszą świętą do kaplicy ks. Paczura. W dziedzińcu stały już powóz i bryka wyładowane, ludzie się koło nich kręcili, a we dworze snuły się smutne twarze, nie chcąc wierzyć, żeby panna Konstancja na zawsze straconą być miała.

Obiecywali też Rewnowscy przyjeżdżać z nią często... Proboszcz pocieszał, jak umiał, starościnę.

— Moja mościa dobrodziejko, choćby i z własnym dziećciem rozstawać się trzeba... Taka kolej ludzkich losów.

— Wiem, że jej tam dobrze będzie, bo to ludziska i serca złote... ale — zawsze... zawsze...

Wzdychano tak i stękano... Zaczęła się msza w kaplicy na intencję podróżnych. Wacek do niej służył. W czasie mszy kilka razy słyhać było, jak starościna i panna Konstancja zaszła się od płaczu. Trzymała chustkę na oczach, utulić się nie mogła. Stara Ościńska, którą łyzy cudze zawsze też rozrzewniały, i sama żalując Koci, beczała głośno.

Pobłogosławił proboszcz odjeżdżających... Czeakało na nich jeszcze śniadanie.

Starosta, który już mógł chodzić, acz nogę jedną miał w aksamitnym bucie, udawał niezmiernie wesołego, aby nie dać się żonie i drugim rozrzewnić do zbytku. Podżartowywał z panny, że tak jak Zalesie teraz opuszcza, wkrótce i stryjowstwa porzuci, bo jej tam długo na koszu siedzieć Podlasiaki nie dadzą.

Wesołość ta nadrabiana, jakoś echem się w nim nie odzywała. Sędzina tylko Rewnowska, szczerbiotliwa zawsze, coś chciała też wesołego mówić, próbowała się uśmiechać, pocieszać, a i to nie szło. Sędzia widząc to, za czapkę wziął i pożegnanie się zaczęło. Padła do nóg panna staroście, potem starościnnie, która o mało nie zemdląa, przyniesiono lawendogry, pannę Konstancję sam sędzia musiał pocieszać, prowadzić, i po wznowionych jeszcze pożegnaniach, siedli wreszcie do powozów—ksiądz przeżegnał z ganku—rnszono...

Długo jeszcze, długo chustkami z ganku i z powozów znaki dawano sobie, aż na zakręcie drogi znikły one...

— Moja jejmościunin kochana, — rzekł starosta, całując w rękę żonę:—dobrze to, że asindzka masz takie

złote serce, ale to dla niej samej męka... Proszę mi nie płakać.

Tego dnia jednak w każdym kącie łez było pełno. Najprzykrzejsze było położenie panny Marjanny Ber-
tańskiej sieroty, wziętej w miejsce panny Konstancji,
która czuła dobrze, iż jej zastąpić nie potrafi. Miesza-
ła się biedna, płakała i desperowała. Dziewczę było
niczego też, roztropne i skromne, ale do tamtej po-
równać się nie mogło...

Wacek milczący około proboszcza, którego za-
trzymano, assystować musiał: Wicka już oddawna nie
było, bo się z łaski starosty na ową dzierżawę za Bug
wyniósł, i znakn życia, jakby na umyślnie, nie da-
wał...

Gdy tu takie lamenta po sierocie,—w drodze sę-
dziowstwu Rewnowskim ze swą zdobyczą nie było le-
piej. Panna Konstancja, choć pracuje nad sobą, aby
lzy powstrzymać, coraz to się rozbeczy jak dziecko.

Sędzia począł opowiadać wesołe dykteryjki, ale
ich nikt nie słuchał.

Wies państwa Rewnowskich, między Wisznica-
mi a Włodawą położona, w której zwykle przemiesz-
kiwali, nie ładnie się nazywała. Z prastarych czasów
mianowano ją Muchomory, może dla tego, że istotnie
ogromne lasy otaczające ją, w ten rodzaj grzybów ob-
fitowały. Nazwisko i samej sędzinie i jemu miłem nie
było—z dawna myśl miał Rewnowski przezwąć Bene-
dyktowem albo Benedyktopolem. Lecz ludzi odzwyczaić
od starego miana rzecz nie łatwa. Najlepszym
tego dowodem były owe Czołhany na Teofilpol prze-
zwane, których nowe imię dukatami opłacono, a stare
bizuunem pędzono precz, i pół wieku trzeba było, nim
się to dało ugruntować. Muchomory też zostały Mu-
chomorami tymczasem. Majątek był duży, ziemi do
zbytku, sosnowego lasu, ba! i dębiny dosyć, łąk nie-
mało acz niskich, ziemia za to nie bardzo rodziła.
W lata mokre podtapiało i prząło, w posuchę znowu
gorzało wszystko. Rowy kopano i kopano, a z wodą
i jej dystrybucją nie umiano sobie dać rady. Wszelako

to, co Bóg na wioskach jego dawał, starczyło obficie sędziemu, na szlachecki żywot w tym kącie spokojnym.

Kupowało się naówczas tylko to, czego już w żaden sposób dom dostarczyć nie mógł. cukier. bakalie, korzenie. wino... Zresztą w domu robiono, czego on potrzebował. Życie było skromne na pozór, dostatnie bardzo. Nie miało ono połysku i świetności, ale oparte było na tęgich podstawach. Sędzia gospodarzem zbyt zabiegliwym nie był. ani opieszalym. Wglądał po trosze we wszystko, a życia sobie posuchą ani ulewą nie psuł.

Dom w Muchomorach nizki. z dachem wysokim, niezmiernie był długi. bo wazki. Zbudowano go tak niegdyś i zostawiono, jakim Bóg dał, przystawując kletki. nie troszcząc się o fizjognomię. Komórek też w nim było dużo, jedne o wschód cały niżej, drugie o dwa podniesione. Nie było jednostajności i w innych rzeczach. suity z belkami. płócienne i podrzucane na trzcinę, świadczyły, że w różnych czasach powstały. W dwóch pokojach były szpalery w okładzinach drewnianych. w innych ściany gliną wyrównane i bielone. Po alkierzach sosnowe dyle, z których się ściany składały. tylko mech w środek między nie powtykany przybierał.

Tak i ze sprzętami w domu. Dopatrzeć między niemi było można pewnie XVII-go wieku sięgające i nowsze, były piękne i od siekiery ociosane. Na kominkach i szafach obok srebrnych puharów złocistych, stały gliniane kufle i zielone szkło proste. Ani sędzia ani sędzina tego odziedziczonego dawnego porządku zmieniać nie widzieli potrzeby. Przybywały czasem rzeczy, innemi obdarowywano przyjaciół, rzadko co kupiono. Nie mając dzieci, państwo Rewnowscy otoczyli się byli z dawną rozmaitego rodzaju rezydentami, których już teraz pozbywać się nie było sposobu — nikt też o tem nie myślał.

Niewymagająca to była ta ludność gracialistów, ale dosyć liczna. Każdy niby się czemś zajmował.

w rzeczy zaś najlepiej jedli i plotki nosili. Więc na pierwszym miejscu stał Rewnowski Hilary, starzec, krewny daleki czy imiennik. zwany dziaduniem. Ten się już ledwie włóczył. i to o kiju, a czasem o dwu, nogi miał jak kłody. W szarej kapocie, podpasany pasem nicianym. koloru nijakiego, w pół przegięty, zgarbiony. łysy, brodę i brwi miał niezmiernie wybujałe, głos gruby, tubalny i wyglądał wcale nie ładnie. Był to jednak najlepszy z ludzi, pobożny, cichy. i wdzięczny. Szanowano w nim wiek i niedolę. Żołnierzem niegdyś był i dużo o Leszczyńskim mówić umiał.

Drugim z kolei był Hadziakiewicz, zwany Hałaburdą (ale po cichu); niespokojna dusza, łatwowierny, gorączka. lecz ile razy co zmalował. płakał. do winy się przyznawał, i w godzinę nową burdę wyprawiał.

Sędzia lubiący spokój, dawnoby się go z domu pozbył—ale mawiał naiwnie: „Jak ja go wypchnę, kto go weźmie? pytam... zmarłby gdzie chyba u żyda pod ławą”. Hadziakiewicza sędzia mógł zbunczyć i głowę mu zmyć, jak chciał. od niego ścierpiał wszystko. Był to w spokojnych Muchomorach. prawdziwy — turba-tor chori.

Ledwie już wzmiankować warto trzeciego. skromnego i rzadko się ukazującego. niby rezydenta, niby kapelana. księdza Sobrańskiego, który miewał czasem lekkie napady obłąkania, nieszkodliwe nikomu. Dla tego mu mszy świętej odprawiać czasem długo nie było wolno, a gdy sobie to pozwolenie wybłagał, z radości i rozkoszy u ołtarza we łzy się rozpląwał. Pobożny był nadzwyczajnie, rozrzewniony zawsze. chodził z rękami prawie ciągle zaciśniętymi jak do modlitwy, i szeptał też nieustannie coś po cichu... Grosza mu nie można było dać, bo pierwszemu ubogiemu obdał go natychmiast; a raz odzież z siebie wszystką tak rozdarował. że przez tydzień ze swej izdebki nie mógł się ruszyć. Dziwiło go to, iż drudzy się temu dziwowali. znajdował naturalnem wywłaszczenie siebie dla ubogiego. Ksiądz Sobrański nosił pasek i włosiennicę, co piątek wstrzymać go od dyscyplin nie by-

ło podobna. Gdy na niego przyszedł ów czas oblężania, naówczas skarżył się, że go zewsząd otaczały złe duchy i wskazywał je po kątach. Napadały go trwogi, i modlitwą dopiero mógł się uspokoić. Ks. Sobrański pokazywał się rzadko, unikał ludzi... a gdy trochę w domu bywało tłumiej, nic go już z izdebki, której ściany całe były oblepione obrazkami i modlitewkami, wyrwać nie mogło.

Okolo sędziny bawiła najprzód pani strukczasyna z Olgierdowiczów Pomorska; osoba niegdyś bogata, przywiedziona do bezdomnego ubóstwa, które ją jednak z godności i uczucia dostojenstwa wysokiego rodu — nie uleczyło. Sędziostwo oboje sadzili ją na pierwszym miejscu, honorowano biedaczkę i wybaczano jej słabości różne — starając się, aby nie czuła przykrego położenia.

Strukczasyna chodziła zawsze w sukni na robrotanie (łataniej), niby strojna, wykrygowana, bielila się i różowała. Inbila opowiadać o czasach dawnych i dawała sobie tony ogromne. Czyniło ją to śmieszna — ale biednemu wiele się przebacza. Uchybienia swej godności, posledniejszego miejsca u stołu i t. p., nie mogła znieść. Wspomnienia młodości, gdy jeszcze piękną była, najmilszym były jej rozmów przedmiotem.

Ułonna mocno, ale twarzy wcale ładnej i oczu czarnych rzadkiego blasku, z długimi chudemi rękami, panna Micka, była przy kluczach i zastępowała panią sędzinę. Była też to osoba dobra i usłużna, miała tylko tę słabośćkę, iż się jej zdawało, że się wszyscy mężczyźni w niej kochali. Romansową była i nazywała się sama tklivą... Naostatek Różia, daleka kuzynka jegomości, ruchawa, śmieszek, dosyć lekkomyślna dziewczeczka, której trzeba było pilnować ciągle, aby nie popełniła jakiej niedorzeczności — dopełniała rejestru dworn i rezydentów. Na folwarku tuż było się jeszcze pomniejszej rzeszy kilkoro, która się tylko w wigilię do opłatka pokazywała.

Gdy państwo Rewnowscy dowiedzieli się o synowicy, i w Muchomorach rezeszła się wieść, że ową, za

straconą mianą sierotę, odzyskano — przyznać trzeba. iż nikomu na myśl nie przyszło jej zazdrościć, ucieszyli się wszyscy szczęściem gospodarstwa, którzy w sierocie jakby własne widzieli dziecię. Ks. Sobrański, któremu mszę odprawiać było pozwolono. odprawił dziękczynną; spłakał się stary Rewnowski, winszując, Hudziakiewicz kłął się i przysięgał, że zawsze przeczuwał. iż dobrym sędziostwu Bóg musi zesłać pociechę. Strukczaszyua z góry zapowiadała, iż pannie dobrych manier nauczy.

— Bo to — dodała — niech sobie mówią, co chcą, dziś już tej manieri ludzie nie mają, co była na Saszkim dworze, ani się uklonić, ani uśmiechnąć, ani chodźć, ani siedzieć, dziś żadna nie potrafi. Inaczej byłoby za nieboszczyka króla jegomości... a co za elegancja! dziś do czego kobiety podobne!... dam już niema...

Sędzina swym zwyczajem głową potwierdzając kiwała... Panna Micka cieszyła się nowej przyjaciółce, przed którą spodziewała się spowiadać ze wszystkich nieszczęśliwych amantów. którzy jej nie dawali pokoju... a Rózia! Rózia może rachowała na to. że gdy wszyscy będą nowo przybyłą zajęci, ona swobodniej na ganek wybieży bałamucić prowentowego piosarza.

Gdy państwo Rewnowscy wyjechali już po Konstancję, rolę gospodyni domu, której sobie wydrzećby nie dała nikomu, objęła strukczaszyua. Ona siadała na pierwszym miejscu u stołu. Stary Rewnowski nieco głuchy. zajmował miejsce przy niej, i opowiadań jej tem cierpliwiej słuchał. że rzadkie słowo z nich do ucha mu wpadło.

Hadziakiewicz na wyjeźdźnym dał był sędziemu najuroczystsze przyrzeczenie. że w czasie jego niebytności. awantury nie robi — i upierał się przytem, iż go dotrzymał, bo tylko jednego żyda pobił i za pejsy wytargał, za to, że broniąc się. psa podwórzowego kijem potracił. i jednego stróża bizunem skropił za to, że mu odpowiadał.

— A tego bo ja ścierpieć nie mogę, — rzekł: to darmo! żeby mi cham miał pod nos... dmuchać...

Dwa te epizody według niego bynajmniej przyrzeczenia danego nie łamały...

Ponieważ bytność państwa Rewnowskich u starostwa przedłużyła się jakoś nad miarę i rachubę, oczekiwano w końcu z wielką niecierpliwością powrotu co dzień, co godzina, sprzecząc się o to, w której porze dnia przybyć mogli. Hadziakiewicz się kłął i przysięgał, że nie mogą inaczej przyjechać, tylko na wieczór, dowodząc to noclegami i popasami, jedyne mi możliwymi na gościńcu. Etapy te skazywały jadących na nieodzowny, według niego, przyjazd wieczorny. Panna Micka, która i Hadziakiewiczza między innymi posądzała o miłość ku sobie, uśmiechając się, usiłowała go przekonać, iż prawdopodobniej nie przyjadą rano, ale wybrawszy się z Zalesia, mogą, zmieniając noclegi na popas, et vice versa, przybyć na obiad.

Strukczaszyzna nie miała o tem stanowczo wyrobionego zdania, jednak z obiadem zawsze przyczekiwano, i w kuchni był zapas taki, aby uchowaj Boże potrzeby, obiad się sklecił na prędcę. Kucharz pocziwy pijaczyna, zostawał pod dozorem, i arendarz miał przykaz wódki mu nie dawać do wieczora.

Przez pół dnia niemal w ganku pod słupami, widzieć zawsze było można, albo starego Rewnowskiego, albo Hadziakiewiczza, albo pannę Micką w mitenkach z kluczami, wyglądających, ażali nie jadą.

— Dosyć, że ich jak niema, tak niema — wzdychając i z gracją jedząc obiad, mówiła strukczaszyzna. Żeby tylko uchowaj Boże jakiego nieszczęścia!

— Ale co znówu, jak Boga kocham, niech mnie diabli wezmą, szelma jestem, — wołał Hadziakiewicz. — zawsze pani strukczaszyzna coś takiego wymyśli! Jakie nieszczęście! co? gdzie! cóż? Wywróciliby się? oś trzasła? koło się rozsypało! Dla Boga! wielkie nieszczęście... Rozbójników że po lasach niema, ani o powietrzu nie słyhać. At! Co to gadać! Szelma jestem..

Stary Rewnowski dopytywał, o co chodziło i kładziono mu do ucha — a on głową kiwając, pokaszliwał.

Właśnie jednego dnia siedziano u stołu przy obiedzie. i strukczaszyzna sięgała po flaszeczkę z tłuczonym cukrem dla posypania naleśników. gdy wpadł Niczypor, chłopak z kredensu, i krzyknął:

— Państwo jadą!

Wszyscy się zerwali od stołu.

— Gdzie? jak to może być! O tej porze! Strukczaszyźnie flaszcza z fioletowego szkła wypadła z ręki, potoczyła się i padła na podłogę. Szczęściem, tylko się cukier wysypał. bo sitko z niej spadło, flaszcza od serwisu została. Rewnowski dojadł naleśnika, i dopiero powstał. swoich dwóch kijów szukając, Hadziakiewicz bez czapki już był w pół dziedzińca, a ks. Sobrański w kącie. ręce złożywwszy, modlił się po cichu.

Niczypora pełnięto. aby obiad natychmiast na nowo gotowano. W całym dworze popłoch się zrobił, z oficyny powybiegało. co żyło. nawet kucharz z różnem, na którym już kurczęta proprio motu, na gierwszy odgłos — wbite — sterczały.

Czeladź niepoddziewana a ciekawa, walczyła ze wstydem a ochotą widzenia państwa i „naszej panny.“ z niesłychaną ciekawością. a gdy się ukazała — widać było po twarzach, że oczekiwani nie zawiodła. że je przeszła swą pięknością i wyrazem dobroci a skromności.

Sędzina z pośpiechem i szczebiotliwością zwykłą zaczęła zapoznawać: Pani strukczaszyzna dobrodziejka... moja Kocia... a prawda? a co! nie mówiłam? Micko kochana. uściśnijże ją, Róziu. chodź tu zaraz, weź tę chustkę... Jak się ma ks. Sobrański?... zdrów widzę... Rózia... chodź bo tu...

Witał się i sędzia ze swymi, ale naprzód uczcił strukczaszyinę ucałowaniem jej ręki.

— Cóż. jakże? scyatyka? ulżyło? — spytał.

Hadziakiewicz się kłaniał do kolan.

— A słowa mi dotrzymałeś? — pytał sędzia.

— Święcie! — odparł Hałaburda. — święcie.

Stary Rewnowski, któremu się na wolnem powietrzu udało to dosłyszeć, huknął tubalnym głosem:— Tylko żyda pobij i stróża. .

— Widzisz! — pogroził sędzia.

— Niech śród ziemi pójdę — bodajem skisł — szelma jestem — nie naruszyłem słowa, — krzyknął Haddzickiewicz. Co prawda, to prawda. Żyd się na Parola kijem zanuchnął. Żeby on pańskiego, szlacheckiego psa miał bezkarnie poniewierać! — A niedoczekanie jego! Grzmotnąłem i coś się za pejsy potargało... a przecież poszedł o swej sile. Stróż zuowu — odpowiadał!! Żebym ja to miał znosić! Chanie ty jakiś! Wlepiłem mu! Cóż to za burda? To burda? to jest sprawiedliwości wymiar — bodaj mnie kaczkę deptały — szelma jestem...

Wśród tej wrzawy na ganku, wchodziła prowadzona do domu paaua Konstancja, dla której przy mieszkaniu sędziuej. przygotowano. wyświeżono. wykadzono najpiękniejszy pokój. Nie było tu zbytku nigdzie, nie mogło go być i w nim, ale świeżutko, ładnie i wonno; urządziła go pauna Micka. Zaraz też oua, Różia i sędzina, powiodły tam Kostusię. W ciągu podróży już ona była do swej nowej opiekunki. jak oua do niej przystała. Sędzia był w synowicy rozkochany, sędzina płakała z radości. I na twarz smutnej sieroty wystąpił też promyk wesela. Nie mogła uie odpowiedzieć sercem na tyle dobroci i miłości, na które jeszcze zasłużyć nie miała czasu.

Nim obiad improwizowany podano, musiała pan-na Konstancja z sędziną obejść cały dom, a nawet zobaczyć kawał ogrodu, który był raczej pocziwym sadem starym. pełnym drzew owocowych, z jedną w pośrodku altaną lipową. Równać się on nie mógł z pięknym owym w Zalesin, ale też tu wszystko było skromnie i po szlachecku.

Sędzina chcąc sad swój pochwalić, zaręczała że lepszych sapieżanek nigdzie nie było, i że jabłka burstówki — „chyba równie” doskonałe rodziły. — Wska-

zała na maliny nawet i na kwatery agrestem i malinami powysadzane.

— Już to tu wszystkiego. — dodała panna Micka — mamy pod dostatkiem. Z łaski Bożej, chyba ptasiego mleka brak.

Konstancja chwaliła wszystko, aby zrobić przyjemność sędzinie, która jej natarczywie patrzała w oczy.

Cała reszta dnia zeszła na oględzinach i wtajemniczanin, na bliższem zabieraniu znajomości. Strukczaszyzna zabrawszy głos, coś ze swej autobiografii udzieliła, komunikując, jak wielki podskarbi koronny u nóg jej klęczał, a że był dosyć ciężki, wstać potem nie mógł, aż mu rękę podała.

Zdała w kątku modlący się ks. Sobrański wydawał się dziwnie trochę, ale sędzina szepnęła na ucho Konstancji, że się go wcale obawiać nie było powodu.

Sędzia, jak wszyscy domatorowie, znalazłszy się w swoim kącie znów... czuł się szczęśliwym. — Wszędzie to dobrze, a w domu najlepiej! — powtarzał z rozrzewnieniem. A co wyszedł i postrzegł nową postać jaką, z którą się jeszcze nie witał, — wołał, uśmiechał się, i pozdrowiał wesoło.

Dopiero wieczorem wytoczyły się skargi i uzbierane pod niebytność państwa żale. Panna Micka oskarżała Rózię o płochość i miłostki z pisarzem, a oprócz tego, o bałamucenie wdowca ekonoma. Haziendaiewicz miał spór z prowentem o obroki. Ekonom z arendarzem sprawę wnosił o wódkę podejrzanego pochodzenia. i t. p. Wszystko to odłożono do rozstrzygnięcia spokojnego czasu.

A że po sąsiedztwie gruchnęła już była poprzednio wieść i zapowiedziano przybycie panuy Konstancji, niepodobna było nie sprosić miłych sąsiadów, i nie nakazać im, a nie pochwalić się synowicą. Żądała tego sędzina, pochwalała strukczaszyzna myśl tę, sędzia się godził, a panna Konstancja musiała milczeć, choć to okazywanie jej miłe być nie mogło.

Uprojektowano obiad — i na ściąganie tłumnie dalekich i najdalszych, ale bliższego tylko sąsiedz-

twa — a primo loco Matuskich, w których domu Wacek Paczura oznajmił szczęśliwą wiadomość Rewnowskim. I obiad przecię taki bez wstępu, bez piramid i cukrów. bardzo prosty, choćby z leguminą i kremem. na wsi się nie daje bez pewnego przygotowania. O mięso się trzeba ubezpieczyć, bo tu częściej chude krowy biją. niż tłuste woły, cielę domowe na rzeź wybrać, drób oznaczyć, i tysiące drobnych rzeczy przygotować. Sędzina na pieczyście z razu forytowała prosięta, przeciw czemu zaprotestowała strukczaszy-na, znajdując je smaczniemi, ale nieprzyzwoitemi. Powodem do wyboru prosiąt było. że sędzia je bardzo lubił. więc się mógł przy gościach pożywić; usunięto jednak te istoty mniej szlachetne i zastąpiono je indykiem ogromnego wzrostu. który oddawna takie burdy wyprawiał jak Hadziakiewicz — i pozbyć się go pilna była potrzeba. Ponieważ karuczek był w domu, — zapowiedziano więc cytrynową i różową galaretę, zawsze bezpieczniejszą od kremu, którego charakter niestały nigdy się na energię jego spłacić całkiem nie dozwalał.

Sędzia co do wina dał dyspozycję summaryjną. Miano jeszcze do kawy poobiedniej upiec sucharki. Na obiad wybrano niedzielę. Sam Rewnowski w ciągu tygodnia miał objechać i sprosić sąsiadów. Lista ich z domowymi wynosiła osób około dwudziestu.

Nadszedł dzień ten uroczysty — pogoda mu sprzyjała. Konstancję z pomocą i radą strukczaszynej, ustrojono... szczęściem, nie zbyt przesadnie. Jej we wszystkim było i zawsze pięknie. Wyprosiła się od zbyt napszonego ubrania, wybrała jak najprostsze, a dobra sędzina pozwoliła jej w tem dogodzić swej fantazyjce.

Już się goście zjeżdżać poczynali. a sędzia w gan-ku przyjmowaniem ich był zajęty. gdy z wielkiem podziwieniem swem njrzał tak rychło wcale niespodziewanego tu Wacka. który też szczególnym trafem na ten dzień przybywał.

Jak się to stało, wytłómaczyć musimy. Po wyjeździe panny Konstancji wszyscy w Zalesiu po niej

tęsknili. ale Wacek rady sobie dać nie mógł. Chodził w gorączce i jak oszalały. Starosta go kilka razy niecierpliwie zapytał: — Co ci jest? Co za giez cię ukąsił?

Nie odpowiedział z początku. Drugiego czy trzeciego dnia zastał go nad przepisywaniem dokumentu. z piórem w ręku. tak zamysłonym i pogrążonym. że nie usłyszał, jak pan Sniechota nadszedł. stanął. obserwowował go długo, wreszcie za ramię pochwycił, wstrząsnął nim i krzyknął:

— Co tobie? czyś zdrewniał? gadaj! co to takiego jest? Ja mruków nie lubię. Boli cię — mów...

Wackowi w istocie tak dolegała ta miłość. iż mu się zdało. że lepiej uczyni, gdy się do niej przyzna staroście.

Pocałował go w rękę: — Panie starosto dobrodzieju, — rzekł. — co mam taić? głowę straciłem... Jestem zakochany w pannie Konstancji Rewuowskiej.

Starosta się w boki wziął i śmiał się.

— Jak Bóg miły! a to coś osobliwego! I ty! no proszę!... a panna?..

— Panna zbyła mnie ni tem ni owem, ale sędzia uczynił mi nadzieję i przyrzekł swą protekcję. Tymczasem kto wie, co tam wypaść może. Młodzież ją otoczy ... uprzedzi mnie kto...

Starosta śmiał się ciągle.

— Mirabilia! Co to jest młodym być! Hej! hej! głowa się pali... A no — o cóż asindziejowi idzie? Jeżeli ci sędzia uczynił nadzieję — nie będę przeszkadzał. ruszaj smalić cholewki — ja tu i tak z ciebie pociechy mieć nie będę, bo głowa i serce gdzieindziej. — Z Panem Bogiem.

Widać było, że starosta trochę był markotny — odwrócił się. pochodził.

— Niech mi lasy powyrąbnją... cóż robić! dla miłości twej warto jaką sosnę poświęcić. A żebyś odemnie jak pasternak goły nie jechał... muszę ci dać na wyprawę...

Otworzył biurko, dobył rulon i wcisnął mu w rękę.

— Dosyć, że ta Konstancja nie tylko nas opuściła sama, ale jeszcze nam ludzi pozabierała za sobą, — westchnął z cicha — taka to pociecha, gdy człek wychowuje sieroty...

Starosta poszedł zaraz opowiedzieć o tem żonie, która, o lepszej partji marząc dla swej faworytki, nie mogła się wydziwić sędziemu, co ją za Wacka już wydać przyrzekł... i protekcję mu obiecał. Choć go lubiła staruszką, ale z Kostusią porównywać się nie mógł jej zdaniem.

Jak tylko odprawę od starosty dostał Wacek — nie mógł już wytrzymać, natychmiast się wybierać zaczął, i tak się dobrze uwinął, że na ową niedzielę stanął w Muchomorach.

W oknie naówczas stojąca panna Konstancja z sędziną, gdy go poznała, zaczerwieniła się jak piwonnia, i odeszła pomieszana. boć łatwo się było każdemu domyślić, co tu młodego chłopca tak pilnie pędziło.

Witając jednak sędzinę, Wacek się wytłómaczył, że go starościna przysłała dowiedzieć się, jak państwo dojechali i — o zdrowie panny Konstancji.

Tym sposobem wyklamawszy się trochę, Wacek, widząc pannę zakłopotaną swem przybyciem, napastliwym być nie chcąc, usunął się na bok. i z Hadziakiewiczem, trochę mu znanym z wesela Matuskich. rozpoczął rozmowę.

Goście tymczasem napływali, a mężczyźni zwłaszcza, co który zobaczył synowicę państwa sędziowstwa, to za głowę się chwycił i w pochwałach rozlewał. Junoną zwali ją jedni, Wenerą drudzy. inni Djaną — i cała mitologia zużyta została na uwielbienia. Sędzina śmiejąc się szeptała: — A co? nie mówiłam! Niema równej.

Młodzież kołem ostąpiwszy panie, które w jednym kątku siedziały, wejrzeniami strzelistemi aż inkomodowała nieszczęśliwą ofiarę, która oczu nie mogła podnieść, żeby nie spotkać wzroku natrętnych. Miejszało ją to mocno. Niektórzy tak byli niedyskretni, iż

półgłosem nucili hymny, których nie mogła nie słyszeć. Już się zabierano iść do obiadu, przy którym swobodniejszą być sobie obiecywała umęczona panna Konstancja. gdy szum się zrobił w sieni i w pokoju zaczęto się odzywać:

— A to kasztelaniec Pocięj!

— Słowo daję! to taranty Pocięja! mówił inny.

Gospodarz, który kasztelanica i mało znał. i wcale nie zapraszał, zdziwiony poszedł ku gankowi. W istocie był to kasztelaniec. który na drodze się spotkał z panem Wasiutyńskim jadącym do Muchomorów. Ten mu wyśpiewał. że jedzie bardzo piękną pannę. świeżo przybyłą tu z pod Lublina oglądać. Kasztelaniec. kawaler modny. płochy człek. panicz. wielki płci pięknej miłośnik. *s t a n t e p e d e* postanowił towarzyszyć Wasiutyńskiemu, na bryczkę go swą wsadził — i pojechali.

Młodym był pan Pocięj, jak wiadomo znacznego rodu i wielkiego imienia. Wychowanie w domu odebrał francuzkie. a już i zagranicą bywał, szlacheckie więc towarzystwo i jego obyczaje. dosyć sobie lekcewał. Zdało mu się. że zaszczyt czyni dworcowi. do którego zajedzie. Ubrany modnie. po francuzku. w peruce, którą podróż nieco nadwężyła. we fraku haftowanym, koronkach. łańcuszkach. błyskotkach. wyglądał trochę niewieście, przy zawieszistej szlachcie wąsatej. Lecz strój ten już naówczas w wyższem towarzystwie bardzo był pospolity. w mieście niemal powszechnie przyjęty, i znamionował wedle pojęć ówczesnych postępowych ludzi. Ci. co się starego ubrania trzymali. za zacofanych byli miani. Kobiety zwłaszcza, bardzo łaskawemi oczyma patrzyły na żaboty koronkowe. mankiety i białe ręce. które z pod nich wychodziły.

Wysiadając już kasztelaniec. śmiał się. nie wątpiąc. że impressję uczyni nie małą.

— Nieproszony gość! — zawołał. witając się z sędzią — ale zaszczycając się przyjaźnią jego i respekt mając dla domu państwa, chciałem im z przyjaciółmi

powinszować szczęśliwego. o którym słyszałem. ewenementu.

Sędzia pokornie dziękował, tryumfalnie wprowadzono go do pokoju, przed sędzinę. Strukczaszyzna jak indyk nadeła się, zobaczywszy eleganta, i miny robić zaczęła... aby zwrócić na siebie jego uwagę. Kasztelanic jednak dość roztargniony, szukał oczyma solenizantki dnia tego, i znalazłszy ją, ku niej zaraz przylgnął. Nawykły do tego, że go panie piękne z nadskakującą grzecznością przyjmowały, zdziwił się trochę chładowi, jakim go panna Konstancja powitała — lecz to go tylko większym jeszcze natchnęło animuszem. Przysiadł się do niej z natarczywą rozmową, ale w tejże chwili do stołu oznajmiono. i odstąpiwszy jej, musiał prowadzić sędzinę. przy której też go posadzono.

Wackowi dostało się miejsce, jeśli nie przy panie, to naprzeciw, lecz nie wiele z tego skorzystał, gdyż oczu prawie nie podnosiła, i ona jakoś smutna a zadumana siedziała. Kasztelanic nie mogąc wprost paunie się zalecać, która mu niezmiernie w oko wpadła. nsiłował się z dowcipem i konwersacją popisać przed wszystkimi, mówił wiele, nie zawsze do rzeczy, śmiał się sam. aby drngich do śmiechu pobudzać. pił. zabawiał, dowcipował i w istocie strukczaszyne zachwyił.

Przypominał jej kawalerów owych czasów szczęśliwszych, gdy się oni jeszcze w niej kochali—i—słowo w słowo tym samym trybem błyskotliwym zalecać nsiłowali.

Pan Pocię. z tego aplanzu starej pani nie bardzo był rad, wołałby jedno wejrzenie panny Konstancji, a ta widocznie go nniakała. Mocno go to obeszło... W takim dworku pod strzechą znaleźć taką obojętność, takie lekceważenie dla kawalera. co w Warszawie nieważ niesłychane sukcessa. srogim było ciosem. Wziął więc na kiel..

Po obiedzie na chwilę się zetknawszy z sędzią. wyraził mu uwielbienie gorące dla panny Konstancji, a zarazem poddał myśl, że w takiej kompanii wesołej,

jużciby też i muzyczkę warto postawić, aby się młodzież rozruszała.

Sędzia nie był od tego — posłano do Wisznia po miejscowych muzykantów, którzy na weselu Matuskich dowiedli, że choć nie tego grali, ale dwa dni i dwie nocy bez spoczynku mogli pełnić swe obowiązki.

Kasztelanic, o którym już z boku Hadziakiewicz się wyrażał w swoim języku, że zaszłapał, w istocie był mocno zajęty, i namawiając do muzyki, chciał zyskać pretekst, aby tu dłużej zabawić. Na muzykę trzeba było czekać, potem gdy się towarzystwo zaanimoowało, nie łącno było przestać. Spodziewał się f a w o r e m tańca do panny zbliżyć, popisać z figurą i zręcznością i głowę zajechać.

Nie chciał ruszyć z Muchomorów, nie postawiwszy na swoim. Serce tam jeszcze żadnego nie miało udziału, ale próżność grała.

Nim muzyka przybyła, kasztelanic mimo przeszkód wielu, do panny się docisnął, i wziął ją w objęcie. Na pannie Konstancji i ta napastliwość trochę za śmiała robiła przykre wrażenie. Zdawało się jej, iż kasztelanic w imię tytułu i pozycji swej nadto sobie pozwalał... Była więc w tem usposobieniu, iż szukała tylko zręczności, aby mu okazać, iż wcale jej się to postępowanie nie podoba.

— Cóż to dla mnie za szczęśliwy dziś dzień, — mówił kawaler. — gdy niespodzianie taką gwiazdę wśród tych lasów naszych świecącą ujrzałem!... olśniony jestem...

Panna Konstancja spojrzała zimno, niby nierozumiejąc.

— Jaką gwiazdę? — spytała.

— A do kogóżby tu się to adoptować mogło, jeśli nie do pani! — rzekł z galanterją.

Pan kasztelanic znać nawykł w stolicy do takich komplementów. — odezwała się panna. — a ja, wieśniaczka jestem... Wie pan, że mnie się one wydają śmiesznemi...

-- Jakto? śmiesznemi?

— Tak! zwłaszcza przy pierwszym poznaniu, — odparła Konstancja. Tak mało się znamy... nie pochlebiam też sobie. abym na takie jasne nazwisko kiedykolwiek zasłużyła.

— Skromność pani—nie dozwala...

— Piękną mamy pogodę? — przerwała panna, zwracając się... a po chwili spytała kasztelanica, dokąd się wybrał w drogę, bo słyszała, że tu przypadkiem zajechał?

— Wcale nie przypadkiem,—odezwał się uparty admirator,—rozgłos i sława wdzięków pani. brzmiały po całym sąsiedztwie, sprowadziła mnie tu...

— Doznasz pan zawodu!

— Jestem zachwycony!

Konstancja się rosniała:—Widzę, że kasztelanic bierzesz mnie zawsze za jedną z dam warszawskich, nawykłych do tego języka?

— Innym do pani mówić nie podobna!

— A ten dla mnie niezrozumiały, bo mi się zdaje pożyczony z teatru!—odezwała się panna.

Kasztelanic zagryzł usta...

Panna Konstancja skorzystała z jakiegoś zapytania sędziny i wymknęła mu się. Później zaś tak go unikała widocznie, iż kawaler powziął ztąd rankor wielki.

— A to mi gąska!!—mówił w duchu,—co za fochy! patrzcie! Ktoby myślał, że wojewodziańska lub księżniczka. tak się to dnie i nosi z sobą!

Nie zraziło go to, i owszem, postanowił dosiadywać. Nadjechała muzyka, rozpoczęły się tany, chciał rej wodzić w nich panicz. lecz szlachta jak konie tabuny, pot poczuwszy. zakrzyczała go i niemal zadepnęła.

Był tu dysharmonijną nutą.

Dawno też byłby kasztelanic Muchomory porzucił — lecz tak pobitemu i skonfundowanemu jawnie trudno odjechać było. Z lekkomyślnością paniczkową, nie bardzo wiedząc co poczynąć, obrachował, że puszczanie szmermela będzie zemstą najlepszą. Siedziała

trochę na uboczu pani strukczaszyzna, mocno wykrygowana, którą z postawy wnosząc, brał za osobę wielkiego tu wpływu używającą. Przystąpił więc do niej.

Bogu tylko jednemu wiadomo było, jak ją tem uszczęśliwił. — Nie pojmowała dotąd, jak takiej dystynkcji kawaler mógł w niej nie poznać osoby swojego świata i wychowaniem sobie równej. Z radości drgnęła aż, wyprostowała się mocniej jeszcze, i wdzięcząc się na wachlując. odezwała:

— Co też to pana kasztelanica na tę pustynię zagnało? Bo to... dobrzy ludzie — ale pustynia!! i parafia!! A! a! Proste, dobroduszne kreatury... nie to, do czego ja i pan nawykliśmy...

Kasztelanic rozsiadł się tak szeroko i swobodnie, jakby był u siebie w domu, i bawiąc się dewizką od zegarka, począł:

— Pani dobrodziejko... jeśli się nie mylę... strukczaszyzna...

— Tak jest... z Olgierdowiczów.

Sklonił głowę kasztelanic. — Pani dobrodziejko, — ciągnął, — co mnie tu sprowadziło, — fama oczu panny Rewnowskiej...

— O te bałamuty! bałamuty! — zaslaniając się wachlarzem, szeptała strukczaszyzna. No i jakże te oczy? czy uczyniły impressję?

— Zabójczą! okropną... Strzała utkwiała mi w sercu...

— Już pan ją czuje?

— Pani wie, — wejrzenie jedno i po człowieku!! miłość przychodzi jak piorun!!

— Tak! tak! słyszałam to nieraz... Mówił mi to niegdyś pan Podskarbi koronny... który...

Uśmiechnęła się skromnie...

— I on i wy wszyscy. — dodała z melancholią strukczaszyzna, — wszyscy bałamuci! Nikomu wierzyć nie można. Wyjedziesz pan kasztelanic kilka mil, i inne oczy, a miłość nowa wypędzi pierwszą impressję.

— Bardzobym rad, żeby się tak stało, — mówił

kasztelanic. — bo — śmiertelnie jestem zakochany. a panna, jak uważam. sroga i nie łaskawa...

— Cóżes asindziej chciał. żeby zaraz affektem odpowiedziała?

— Choćby grzecznością...

Strukczaszna pochyliła się ku niemu, aż woń pudru jej i różnych ingredjencyj toaletowych go zaleciała... — Między nami mówiąc trochę dzika... niezbyt okrzesana... Wychowanie jej dano takie... Ja dopiero się chcę nią zająć...

Kasztelanic westchnął przesadnie...

— Polecam się względem pani... O! te oczy! te oczy!!

Uszczęśliwiona zaufaniem kawalera, strukczasza dała mu znak porozumienia głową i szepnęła:

— Będę mu służyła...

Kasztelanic wstał... Tego mu dosyć było. — Rzucił strzałą Parta, zostawiał za sobą nadzieję, że powróci — i że się rozmiłował na serjo. Mścił się tym sposobem, bo nie wątpił, że to głowy pozawracać miało i wszelkie rachuby na niego skierować.

Zyskać sobie Pocięja takiej szlachcianeczce, toć było przecie szczęście nie lada!

Przez cały ten wieczór przemęczył się Wacek, okrutną zazdrość i gniew obudzał w nim ten kasztelanic we fraczku. od którego piżmo czuć było; oprócz tego do panny Konstancji przystęp był trudny. Rozpytawszy się o starośćinę, od której przywiózł list. panna unikała go. Za drugim razem gdy się spotkali,

a Wacek wzdychać począł, i miał począć rozmowę o sobie—zapytała go—o brata.

— Brata mojego niełaska pani wypędziła, — rzekł Wacek — a gdzie i dokąd ona mnie pchnie! to Bogu wiadomo!

Niby nie posłyszała panna Konstancja. Młody Matuski i inni sąsiedzi ciągle ją brali do tańca. a że unikała kasztelanica. szła chętnie z niemi. Wacek ani się mógł docisnąć.

W końcu już zdesperowany. gdy kasztelanic też odjechał zły i kwaśny, stanął Paczura pod oknem, ręce zwiesił tak — patrząc na nią. skamieniał jak posąg. Smutno nań było spojrzeć, tak z twarzy mu biła rozpacz.... i smutek. Już dobrze było późno, gdy zlitowawszy się nad nim panna Konstancja rękę mu podała, wybierając do przetańcowania. Rzucił się, jakby go różeczką czarodziejską dotknięto, poweselał. ale po chwili rzucono go i znowu został — sam jeden. Gonił oczyma uciekającą, gdy skrzypki jakoś nstały, i panna idąc odpocząć usiadła około niego. Złożyło się tak, iż w bliskości nikogo nie było, coby mógł podsłuchiwać. Mężczyźni poszli się chłodzić na ganku. kobiety z sobą szczebiotały...

— W istocie pana starościna do tej podróży namówiła? — zapytała Konstancja...

— A! panno Konstancjo dobrodziejko, — zawołał Wacek. — alboż mnie do tej podróży namawiać było trzeba? Ja tam w tej pustyni wytrzymać nie mogłem. Wolałbym tu za parobka służyć, niż tam pannać...

— Cóżbyś pan na tem zyskał?

— Patrzyłbym na panią,—rzekł Wacek.

— Wszak pan słyszałeś, com mu raz mówiła? To się odmienić nie może.—odezwała się poważnie panna Konstancja.—nie może!!

— Pozwól mi pani choć łudzić się i spodziewać.

Zamilkła panna i wachlowała się chusteczką.

— Gdybyś mi pani powiedziała. że inny jest szczę-

śliwszy, żeś pani uczyniła wybór... — rzekł Wacek po chwili.

— Cóżby to pomogło! — szepnęła panna, — jam panu mówiła, nigdy za mąż nie pójdę, bo nie mogę. Mocne to postanowienie. Wiem, że stryjowstwo wydaćby mnie chcieli — ale mnie przymuszać nie będą...

Ze spuszczonemi oczyma mówiła to spokojnie i powoli.

— Takie moje przeznaczenie! — dodała.

— Ale powód?..

— Powodu panna powiedzieć nie mogę. — przerwała panna Konstancja. Sprzyjam mu mocno... wdzięcznam mu za dobre serce dla mnie... proszę byś pamiętał o mnie... ale zarazem, abyś gdzieindziej szczęścia szukał... tu — tu pan go próżno będziesz czekał...

— Jakto? nawet mi pani zostać nie pozwalasz!!

— Bronić nie mogę — proszę... — mówiła, wahając się panna Konstancja. Mówią, że u mężczyzn uczucia te prędko przechodzą, pan pojedziesz, zapomnisz i — będziesz szczęśliwy... Ja panu tego z serca życzę!

Mówiła i głos jej drżał przejęty — wstała potem żywo i uśmiech kłamany na nsta przywoławszy, pobiegła do sędziny. Wacek siedział jak wkuły.

— Niechże to kto zrozumie! — mówił w sobie. — Zdaje się życzliwa. Gdy mówi, — czuję, że nie gniewa się na mnie, a odpędza... To oszaleć trzeba...

Zamyślił się Wacek, co ma czynić.

— Zostanę, — rzekł w duchu. — niech choć poprobuję, co Bóg da, to da, zawsze będzie czas iść precz.

Nazajutrz strukczasyna z wielkimi ceremoniami, w tajemnicy największej powierzyła sędzinie sekret kasztelanica, — kasztelanie się kochał; od pierwszego wejrzenia śmiertelnie był ranny — i niezawodnie się mógł ożenić. Cóż to za szczęście byłoby dla rodziny Rewnowskich, skolidację się tak, taką partję znaleźć dla sieroty...

Ktokolwiek wie, jak u nas wielką do rodu i związków familijnych przywiązywano wagę, nie zdziwi się

tem, że sędzinę sama ekspektatywa takiego marjazu niesłychanym sposobem uniosła i wyegzaltowała. Uwierzyła strukczaszynie i miłości bałamutnej kasztelanica.

Strukczaszyzna podniosła głowę ku sufitowi, rękę jedną po nad głowę i ramionami ruszyła... w milczeniu... Sędzina się kręciła niespokojna. Co tu było począć?

Pobiegła do męża...

Sędzia siedział u siebie, czytając z Warszawy nadesłaną jedną z tych gazetek à la main, które przepisywane naówczas. po kraju całym krążyły, gdy żona weszła z rumieńcami na twarzy, po których nawyki był poznawać. że albo ją co bardzo ucieszyło, lub mocno rozgniewało.

— Co ci to, mój aniele? — spytał.

Stała mała pani sędzina naprzeciw męża, ręce założyła na piersiach i niema poczęła długo patrzeć na niego.

On cierpliwie czekał.

— A co? — bąknął.

— Co? co? A toż to, kochanie ty moje najdroższe, bąka strzeliłeś takiego... ale takiego.

— Ja? bąka?

— Tak — ty... Wiesz! kasztelanic się chce żenić z Kostusią. Oświadczył to strukczaszynie! A tyś sobie ręce związał tym Wackiem...

Oslupiały słuchał sędzia.

— Kasztelanic chce się żenić z Kostusią! Oszalała baba! Co jej takiego! kasztelanic? ależ on nie emancypowany. a kasztelan dumny pan. prędzejby mu dał pod fraczek sto odlewanych, niż żonę szlachciankę... A! to mi się podoba!

Sędzina, istota łatwo się dająca przekonać, czarno i białe, zmieszała się.

— Strukczaszyzna — poczęła...

— Strukczaszyzna tylko o romansach myśli. marzy i mówi. Coś jej się przysniło...

— No—toż się da widzieć,—przerwała nieco zwąt-

piwszy sędzina, — o to idzie, aby się z tym Wackiem nie spieszyć, kasztelanic musi się przecie starać—aby się wystarał.

— A no—zobaczmy! a ja — ja asindźce mówię — przez imaginację wyjechała na koronację, tej kobiecie nie zawsze świta w głowie...

— O! już bo jegomość a starosta co na kobiety nie wymyślacie! Uszy więdną...

— Zobaczmy!—dokończył sędzia,—zobaczmy. Da się widzieć!

Żona wyszła—ale sędziemu klin zabity nie ustąpił z głowy.. — Kasztelanic! Pocięje! Rewnowscy z Pocięjami! Co za liść wspinały na genealogicznem drzewie... Rozum jednak powiadał. że z tego nic być nie mogło...

Wszelako — z Wackiem Pacznrą był ostrożniej. unikał rozmowy i trochę się stał chłodniejszym. Wacek zaś. mając pozwolenie dawne, siadł jak na rezydencji.

Micka suponowała. że jej czarne oczy mogły też nie być bez wpływu; z czego daleko domyslniejsza Róża śmiała się do rozpuku, bo już wiedziała dobrze. o co chodzi...

Wacek polował. jeździł. stękał i siedział.

Z panną Konstancją ani się już mógł rozmówić, unikała go widocznie.

W półtora tygodnia, gdy nikomu, oprócz strukczaszynej. nie był na myśli kasztelanic, ujrzano jego konie—przyjechał... Sędzia się zdziwił bardzo.

— Co u kaduka! czyby ta baba miała istotnie z nim taką konfidencję?...

Gdy dano znać sędzinie o przyjeździe. wbiegła do Kostusi, poczęła ją całować, śmiać się, i zapowiedziała jej przybycie konkurenta. W tej chwili spojrzała na nią. Konstancja, jak trup była blada i drżała jak w febrze...

— Jezu miłosierny! co ci to jest?

Podano wody — ale panna wnet do siebie przy-

szła. Nim sędzina dalsze mogła rozpocząć badanie schyliła się do nóg jej i z uczuciem błaganiem szepnęła:

— Matusiu moja! — gdyż tak mi się nazywać pozwalasz, — matusiu. ja proszę. ja modłę, — pozwólcie. bym do niego nie wyszła...

— Do kaszelanica!! — zawołała z rozpaczą sędzina.

— Matusiu kochana — jest dla mnie wstrętliwy — to lalka nie mężczyzna... Dla czego mam się męczyć? Niech wie, że ja go nie chcę, jeśli ma jakie zamiary... i niech sobie z Bogiem jedzie...

Sędzina chciała jej prosić — ale Konstancja poczęła ścisnąć, całować. łasić się jej, ulitowała się więc — i jak zawsze była łatwą i dobrą, przystała na to, żeby powiedzieć, iż chora...

Ledwie z tem wyszła. gdy w sieni spotkała strukczaszynę. śpieszącą na konferencje o stroju:—Wystaw sobie — wyjść za ucie nie chce. za nic! — zawołała. łamiąc ręce...

Obie natychmiast powróciły nalegać, ale — Kostusia była niewzruszona. odmówiła wręcz strukczaszyńnie.

— Już to ja do panny Konstancji szczęściem się pochwalić nie mogę, — westchnęła urażona staruszka. Cóż tedy? Jak sobie kto pościele... Wyszła stara gniewna. mówiąc w duchu: — Przewrócona głowa! Głupie dziewczę... Na to niema ratunku...

Kasztelanic, który sądził, że drugą tą bytnością wywoła wrażenie niezmiernie, i będzie miał zrzeczność zabawiania się z piękną panną. o dalszych następstwach nie myśląc. — z razu oczekiwał apparycji. pochlebiał sobie, że fioki na jego intencję pannę zabawiły tak długo — wreszcie. gdy mu oznajmiono, że chora, a strukczaszyňa minę pewną zrobiła, mocno to uczuł. Dosiedział jednak, i znalazł zrzeczność rozmówienia się na osobności z protektorką.

— To są kaprysy, — szepnęła mu stara. — fonfry! panna widać kim innym zajęta, a sędziowstwo dają jej

sobie dogadzać... wszelkim kaprysom!! Nie chora... jako żywo...

Ruszyła ramionami.. Kasztelaniec zarumienił się z gniewu i apprensji. pierwszy raz w życiu afront go taki spotkał... Gotowało się w nim zemsty pragnienie, — ale na kim ją tu wyrzucić było?... Piękna panna, co go tak nielitościwie odpychała, jeszcze mu się wydawała piękniejszą... jeszcze pożądanszą...

Ukrywając w sobie to wzburzenie, kasztelaniec pozostał dłużej umyślnie. Po raz drugi zbliżył się do strukczaszynej, ciekawy dowiedzieć się, kto mógł być jego rywalem. Jejność nie wahała mu się wyrazić podejrzenia, iż Wacek Paczura, mizerny szlachetka, mógł być tym — wyraziła się — proferowanym.

Na pierwsze spojrzenie już kasztelaniec czuł jakiś wstręt do tego wąsatego gładysza w czamarze. Nie powiedział ani słowa... zabawił do wieczora, i wyjechał. Wacek powracał tą samą drogą z lasu, którą kasztelaniecowi już po uad wieczór przybywać było potrzeba...

Gościńiec to był piaszczysty, szeroki, lasem otoczony do koła, wyjeżdżony przez chłopskie wozy, sznakające sobie lżejszej drogi... Wacek szedł bokiem ze strzelbą na ramieniu... Zdala po koniach poznał wracającego kasztelanica... Pocięj też zobaczywszy go, ponieważ piasek był spory, pod pozorem ulżenia koniom, wyskoczył i pieszo skierował się ku lasowi, obrachowawszy, że się spotka z Paczurą. Sam dobrze nie wiedział, na co się to zdało, ale bnta podrażniona wiodła go do zaczepienia szlachetki.

Z dała kilka razy się zmierzylili oczami, a że Wacek nie był mu osobiście znany, tylko go widział kręcącego się po pokoju, — witać go nie myślał. Skręcił nieco w las... Kasztelaniec, któremu to było nie na rękę, zdjął kapelusz...

— Za pozwoleniem. — rzekł, — zdaje mi się, że miał przyjemność...?

— Tak jest, spotkałem pana kasztelanica w Muchomorach...

Skłonił się Wacek zimno.

— Ja właśnie ztamtąd powracam, — odezwał się kasztelanic, śmiejąc się żartobliwie. Nie miałem dziś szczęścia, bom panny Konstancji nie widział, a nie taję, że dla niej szczególnie się wybrałem, piękna bo panna! Jak pan znajduje?

Zdziwiony tą rozmową. Wacek się zasępił.

— Znajduje jak wszyscy, że panna Konstancja Rewnowska piękną jest bardzo. — ale dziwi mnie tak lekka mowa o niej.

— Pana to dziwi? — rozśmiał się kasztelanic, jak-by szukał przyczepki, — a mnie to dziwi, że pan się dziwuje! he? Co pan na to?

Wacek stał dalej, już nie wiedząc co mówić.

— Za pozwoleniem pana kasztelanica — rzekł. — ja nie dobrze rozumiem. .

— A! pan nie rozumie!! — poczał się śmiać sucho kasztelanic, — pan rozumieć nie chce? he? co?

— O co panu idzie? — zimno odezwał się Wacek.

Pocieć zmierzył go od stóp do głowy oczyma, przystąpił bliżej i rzekł cicho:

— Pan niema ochoty...

I ręką wskazał fechtowanie.

— Owszem. — odparł Wacek. — dla czegoż nie? tylko nie widzę racji!

— A gdy komn ręce świerzbią? to nie jest racja? — zapytał Pocięj.

Wacek głową dał znak potakujący.

— Pan się bijesz na szpady? — spytał Pocięj.

— Biję się i na szpady — choć na szable wolę...

Na szable nie służyę... Szpad i rapirów parę mam z sobą... a gdybyśmy...

Odwrócił się do służącego i mruknął. Ten już dobywał dwa rapiry równe, które nigdy Pocięja nie opuszczały. Z gracją podał jeden przeciwnikowi Pocięj. zrzucił frak i stanął. Wacek, nie wiedząc za co i dla czego ma się bić, troszkę się śmiejąc w duchu z napastnika, a nie wiele ważąc te żelaza, które naówczas z pogardą rożenkami nazywano, — postawił

strzelbę pod drzewem, zakasał rękawy, rozpiął suknię i czekał...

Przez ciekawość raczej niż z potrzeby. oba oni z bratem probowali się na szpady fechtować — ale Wacek nie miał wprawy. Zdawało mu się, że to rzecz łatwa i w porównaniu do szabli — igraszka. Naprzeciw niego stał przeciwnik znany z wielkiej biegłości i fechtmistrz jakich mało... Zaledwie się złożyli, Pocięj poczuł z kim ma do czynienia, zwyciężyć a nawet zabić antagonistę było dlań igraszką; począł więc przyskakując, odskakując, odsadzając się, parując, koląc z gracją, chyżością i wprawą taką, że Wacka nim się opamiętał, dotknął kilka razy. aż krew trysnęła — na ostatek z wielkim śmiechem. wytracił mu szpadę z ręki i kolnął go w bok tak, że mu z prawej strony po nad żebrami skórę na wylot przeszył. Wacek chwycił się za bok — lecz nadto był silny, aby go to obalić mogło... Nim się opamiętał, co czynić z krwią ubiegającą, co z kasztelanicem, spostrzegł, jak ten mu się skłonił, z rąk sługi wziął frak, poskoczył ku powozowi i skinął na woźnicę, aby jechał.

Tuman pyłu wzniosł się na gościńcu... i kasztelanik znikł mu z oczu.

Długo nie mógł przyjść do siebie Wacek... Opatrzył się... miał cztery pchnięcia. a z tych jedno zdawało się groźnem... bok przeбитo nie głęboko wprawdzie, krwawił mocno... Zawiązanie na prędce chustką nie wiele pomogło... Paczura lekał się osłabnąć i paść; pośpieszył więc co prędzej ku dworowi... W pochodzie istotnie parę razy słabo mu się zrobiło. Spojrzawszy na siebie, postrzegł, że cały był krwią obmazany... Chciał się cofnąć właśnie, bo w tej chwili wchodził w dziedziniec, gdy sędzia zastąpił mu drogę... Krew na odzieży przeraziła go.

— A to co! — krzyknął...

Wacek się uśmiechał. — Nic... nic...

— Przypadek? strzelba? zwierz? mówże — wołał sędzia, i nie czekając odpowiedzi, począł krzyczeć: — Jest tam kto? — Po cyrulika! Jest tam kto?

Głos, którym się Rewnowski rzadko odzywał, bo zwykle mówił cicho i spokojnie. cały dwór na ganek i podwórze ściągnął.

Najpierwszy przypadł Hadziakiewicz. bo gdzie krzyk było słyszeć i zamieszanie, a hałas się wszczął. nigdy go tam nie brakło.. Zobaczywszy krew, wnet począł nie pytając rozdziewać rannego, aby dojść do źródła.., stało się to tak szybko, że nim Wacek pomyślał o obronie, ten już go rozpiął, opatrzył, ręką machnął i zawołał:

— Nic, — szelma jestem - mizerja! od rożna.

Sędzia stał, nie rozumiejąc.. Sędzina zdala zobaczywszy okrwawionego, biegła ręce łamiąc. — Co się stało!? Tuż za nią panna Micka. Różia. ks. So-braniski. w ganku stary o kijach Rewnowski.. biegli, stawali. coś widząc i domysławiając się straszego, a nie mogąc dopytać, co się stało?

Napadano milczącego Wacka pytaniami do koła. ten jeszcze rozmyślał. przyznać się, czy zmilczeć, Utaić pojedynku nie było podobna... Hadziakiewicz krzyczał na cały głos:

— Ale nic! furda! No cóż? co? pokłócili się rożenkami... Szach! mach.. i tyle — zalepi się. zasklepi... i nic... Jak Pana Boga kocham...

— Rożenkami? z kimże? gdzie?

Wacka na pół niemego prowadzono na ławę w ganku... Siadłszy. począł się uśmiechać...

— Spotkałem się w lesie z kasztelanicem, — miał ochotę próbować się ze mną na szpady... Odmówić nie było podobna.

— I naszpikował! — wołał Hadziakiewicz. — naszpikował. — ale to nic. A jemuż się co dostało?

— Nie wiem, — rzekł Wacek.

Zawiazywano rany. — i przestrasz pierwszy przechodził. gdy panna Konstancja wyszła niespodzianie na ganek, o niczem nie wiedząc. Spostrzegła bladego i okrwawionego Wacka... krzyknęła i zapomniawszy się. przypadła ku niemu z takim wyrazem rozpacz i bólu, że przerażona sędzina pochwyciła ją,

obawiając się, aby nie omdlała. Nie była to zwyczajna litość dla ranionego obojętnego człowieka, w tym krzykn i zmienionej twarzy łatwo mógł poznać każdy, że Wacek nie był jej obojętnym..

Nie postrzegła się biedna panna Konstancja razu, iż zdradziła serca tajemnicę, nie zawstydyła się, ale przypadając ku siedzącemu, poczęła wołać z wyrazem niemal rozpaczliwym: — Zabity!

— Duszczeko... aniołku! — opamiętaj się.. ale zmiłujże się... nic mu nie jest... lekko ranny, — wołała sędzina.

Wacek wstał, chwytając ją za rękę wzruszony... Nie wyrwała mu jej... stała odrętwiona, zwolna przekonała się i z mowy Wacka i z twarzy przytomnych, że nie było niebezpieczeństwa. dopiero rumienić się poczęła, cofnęła krok i zakryła oczy...

— Ranny? — spytała głosem cichym... — ale któż pana ranil?

— Żartem — tak — probowaliśmy się z kasztelanicem.

— Żartem? z kasztelanicem?.. — powtórzyła panna Konstancja, — żartem? — Spojrzała na otaczających, — krew? niema niebezpieczeństwa?

— Najmniejszego! — wykrzyknął Hadziakiewicz — Co to to! jakby szpilką pokłóty! fnda!

Jednakże Wackowi dosyć krwi upłynęło, błąd był i poprosił, aby go do jego pokoju zaprowadzono. Sędzina zamysłona wzięła za rękę Konstancję i weszła z nią do dworu... Mężczyźni ciągle się spodziewając wyjaśnienia jakiegos — pociągnęli za rannym...

Panna Konstancja w milczeniu doszła z sędziną do swojego pokoiku, tu padła na krzesło, i zakrywwszy twarz chustką, rzewnie płakać zaczęła...

Biedna Rewnowska stała nad nią z niecierpliwością doświadczonej niewiasty, która wie, że się trzeba dać wypłakać, nim się badać zacznie. Powtarzała tylko pół głosem niekiedy:

— Ale moje dziecko!

I podawała jej wodę w szklance.

— Napij się — to cię orzeźwi...

Lzy tymczasem nie ustawały... Długo czekać było potrzeba, dopóki panna Konstancja nie uspokoiła się nieco. Podniosła zapłakane oczy ku sędzinie, i pocałowała ją w rękę...

— A! pani! co teraz ludzie powiedzą o mnie!

Milczała zapytana długo...

— No, cóż tam — co tam mają mówić? Zlekkaś się... Zresztą dawny znajomy, razemście się wychowali...

Przeszła się po pokoju sędzina.

— Między nami mówiąc — mój aniele, chyba wy się kochacie? Hm! moja duszko, toż wiesz, my przeciwnie temu nie mamy nic... Uspokój się. Sędzia sobie życzy tego mariażu... ja twój szczęścia pragnę...

Ręce złożywszy, porwała się z krzesła panna Konstancja.

— A, moja najdroższa pani — matko kochana — za nic w świecie! ja za niego iść nie mogę.

Sędzina stanęła tak zdziwiona, iż uszom wierzyć nie chciała, patrzała na nią wielkimi oczyma, jakby nie rozumiała.

— Tak! a! tak! — kończyła Konstancja, — ja iść za niego nie mogę, ale nie pojdę za nikogo...

— Tego to ja już nie rozumiem, duszeńko moja, — z cicha, łagodnie poczęła sędzina. — ale, uspokój-no się — wytłómacz...

Na rozplomienionej twarzyczce panny Konstancji znać było egzaltację i poruszenie niezwykajne... W milczeniu łamała ręce, chcąc mówić i nie mogąc się zebrać na słowo. Gdy nareszcie odezwała się, głos jej zachrypły był i cichy...

— Posłuchaj mnie, mateczko. — mówiła. — potem powiesz sama, że inaczej uczynić nie mogę! A! tak, ja go kocham — to prawda... kocham go... a nie godzi mi się ani mu tego przyznać, ani pójść za niego...

Zrezygnowana na to, iż nic tu zrozumieć nie będzie mogła, sędzina czekała wyjaśnienia...

— Ja go kocham — szeptała Konstancja. — a ukrywać to przed nim muszę... Ich jest dwóch braci... oni oba się razem pokochali we mnie, oba mnie kochają... Póty są w zgodzie, dopóki odmawiam obu — ręka moja wniesie waszą śmiertelną między braci... Mamże ja dla szczęścia mojego rozdzielić ich i uczynić wrogami! A! to nie może być i nie powinno... Kocham tego. tamtego mi żal — nie pójdę za żadnego z nich. aby w zgodzie i pokoju żyli z sobą...

Mówiła żywo, patrząc w oczy sędzinie, która słuchała z nateżoną uwagą, ale zdawało się, że tego rozumowania jakoś pojąć nie mogła.

— Uspokój-no się, kochanie moje, — rzekła powoli — bo zbyt znacznie jesteś jakoś zaafektowana... Romyslisz się... Ducha Świętego wezwiesz na pomoc... wszystko się ułoży... tylko się uspokój, kochanie moje... pomódl się... Słowo daję... ja nie nie rozumiem!

Pocałowała ją w głowę sędziua, — myśląc w duchu: — Ani wiem, co począc... bałamuci... egzaltowana... Trzeba się poradzić z jegomością.

— Uspokój się, — dodała, całując znów Konstancję, która płakała ciągle, — zostawiam cię na chwilę samą... połóż się... odpocznij...

I wyszła na palcach z pokoju, mocno skłopotana wprost do męża na naradę.

Sędzia poruszony i gniewny, właśnie był od ранego Wacka, zdawszy go Hadziakiewiczowi, powrócił do swojej kancelarii i przechadzał się po niej, pomrukując sam do siebie, gdy weszła żona na palcach, po cichu... Z twarzy jej widać było jeszcze i strach zaledwie przebyty i smutek a niepewność. Spojrzało na siebie małżeństwo...

— No, cóż jejmość na to? A to mi się pięknie spisał kasztelanic... Niewinnego człowieka na szerokiej drodze napasć... ni przypiął, ni przyłatał! bij się... to fiksat! furjat! zamknąć go do czubków!

Sędziua stała zamysłona...

— A już to prawda, — odezwał się, — Bóg nam dał niespodzianie odnaleźć tę zatraconą sierotę, ale

powiem ci. kochanie... że kłopotu z nią... Ja już nie wiem. jak my z tego wyjdziemy? Wystawże sobie...

— No cóż! co? Kochają się z Wackiem! powiesz mi? Ja to dawno przewidywałem... Niema w tem nic. Sprawi się wesele i będą szczęśliwi...

— Tak to jegomości powiedzieć łatwo... Gdzie! zaś! gdzie!

— Ależ o mało nie omdlała, gdy go zobaczyła ranym. — krzyknął sędzia... Słabyby zobaczył, że go kocha...

— A kocha, — rzekła sędzina smutnie potrząsając głową... Sama mi się do tego przyznała. ale to w tem właśnie sęk.. wyobraź sobie...

Tu w czoło uderzyła się ręką.

— W głowie u niej... licho wie co!

— Jak to? cóż? co?

— Co? albo ja wiem co? Dosyć, że mi powiedziała: — Kocham go, ale za niego pójść nie mogę.

Sędzia stanął, dziwne uiny robiąc z podziwu.

— Tobie się przysłyszało? kochanie moje! Cóżby to znaczyło...

— Jakaś historia romansowa... Jak żyję, nic podobnego nie słyszałem — ciągnęła dalej sędzina. Jest ich tych Paczurów dwóch braci. Otóż ona powiada, że oni się oba w niej kochają i przez to między sobą się zaczęli nienawidzić. Ona tedy postanowiła nie iść za żadnego, aby między bracią wasni nie robić...

Słuchał sędzia, słuchał i splunął.

— Racja fizyka! — odezwał się wreszcie, — racja fizyka!.. At! babskie gadanie... Wszystko się to ułoży... Bracia się pogodzą, Kostusień wydamy i będzie po Bożemu. Tamten sobie drugą znajdzie... ale kasztelaniciowi tego nie daruję...

Gdy sędzina się przekonała. że mąż jej nie brał tego na serjo -- i w nią duch wstąpił. — nabrała otuchy, że się to wszystko da jakoś ułożyć szczęśliwie.

Przybyły cyrulik poobwiązywał rany Paczurze; nie opuszczał go też Hadziakiewicz, rad. że się przy tej zręczności wykrzyczeć i wyhałasować może. Ks.

Sobrański przez łitość znowu zaszedłszy do chorego, siedział nad nim. modląc się po cichu, ze złożonemi rękoma... Stary Rewnowski pierwszy odszedł, gdy się dowiedział, jak rzeczy stały. Rany nie były niebezpieczne... ale nudnie wymagano od Wacka szczegółów o tym pojedynku. których on opowiadać nie chciał, znajdując go smiesznym. Był takim w istocie. Nie pochwalał się tem nawet, że i on — tak było w istocie, — kolnął parę razy kasztelanica. nim mu ten szpadę wytrącił. Pocięj miał rękę przebitą. i bok raz dotknięty... Nie zważał na to w pierwszej chwili, choć wsiadłszy do powozu. uczuł, że mu krew płynęła z ręki obficie. Trafem. rana ta była niemal niebezpieczniejsza od zadanej Wackowi, bo sięgnęła nadwerzężyła. i Pocięj zaledwie dojechawszy do miasteczka, musiał dla bólu i krwi upływu kazać się opatrzyć...

Sapieżyński doktor. Niemiec, kiwał głową, grożąc mu. że na fletrowersie, na którym wirtuozem był, może już grać przestać będzie musiał. — kłął więc kasztelanic szlacheckie dwory i znajomości. gdy we dworze szlacheckim nawzajem na pańską bntę i fantazję narzekano. Choroba Wacka przeciągała się. musiał siedzieć w izbie dla obwiązanego boku tak, że nawet panny Konstancji nie widywał. której współczucie za serce go ujęło tak, iż się czuł niem szczęśliwy i obiecywał sobie wiele.

Sędzina tymczasem usiłowała ciągle płaczącą i smutną synowicę nawrócić i przekonać. że dla imaginowanej niezgody braci. nie powinna siebie poświęcać. gdy ma do jednego z nich przywiązanie. Panna milczała, ale mocno przy swoim stała.

Wyzdrowiał w końcu Wacek o tyle, że mógł przyjść do pokoju, a śpieszno mu było, aby prędzej pannę zobaczyć. Powitała go Konstancja bardzo miło, serdecznie, a sędzina. ułatwiając im porozumienie, zostawiła ich samych, nie wątpiąc bynajmniej. że dziecinna obawa Konstancji ustąpi.

Miał tę nadzieję i Wacek, jakoż korzystając ze

sposobności. chwycił za rękę pannę. zaklinając ją, aby mu szczęścia dla skrupułu dziwnego nie wydzieraa..

Panna Konstancja miała czas się namyslić. kazała usiąść Wackowi, i odpowiedziała mu poważnie i chłodno.

— Nie jest to zbyt ni skrupuł ani fantazja... Zważ pan sam... Wincenty mi się z miłością oświadczył jak i pan... gdybym za pana poszła. musiałby wyrzec się domu naszego, a waćpan brata. związki krwi byłyby zerwane. żal do waćpana zachowałby na zawsze... Nie może to więc być, abyśmy się pobrali. — Nie pójdę wprawdzie za innego, ale za pana nie mogę...

Napróżno Wacek błagał i prosił. panna była nieporuszoną. — zarazem jednak okazywała mu tyle przyjaźni. tak była spokojną i niemal wesołą. że Wacek nie zdesperowawszy jeszcze postanowił użyć wpływu sędziego. i samej pani. a przy swoim obstawać.

Sędzina codziennie prawie nalegała na Konstancję. która ją całowała w rękę. milczała. słuchała. a przekonać się nie dawała.

Spróbował sędzia wymowy i argumentów przekonywających. których siły by! prawie pewien. Z godzinę siedział z Konstancją, przemawiał do serca. przywodził przykłady. starał się ją skruszyć obrazem nieszczęśliwego młodzieńca. — słuchała go z uszanowaniem. lecz... odpowiadała, że sumienie jej na to małżeństwo nie dozwala...

— A! no — dodał sędzia, — ja sobie postanowiłem nie zmuszać i nie namawiać cię — rób, jak chcesz. Zatem trzeba o Wacku zapomnieć. a innego sobie wybierać...

— Kochany stryju. — odezwała się Konstancja. w rękę go całując. — czy już wam tak pilno pozbyć się mnie z domu? Ja się wcale nie śpieszę za mąż! po cóż mnie wypędzacie?

— Bo nie chcę, abys waćpanna u nas doczekała Jezusowych latek i wyszła na zgryźliwą starą pannicę. — rzekł sędzia.

— Ja zgryźliwą nigdy nie będę! — zosmiała się

smutnie Konstancja... — Dobrze mi u stryjowstwa, mogę się im przydać może... za cóż mnie z domu wygonić chcecie?

— Ale dziecko moje! — protestował sędzia.

— Pozwólcież mi zostać! Nie tęsknię za zmianą stanu!

— Dziewczyzna nparta! — powiedział sobie wychodząc sędzia, — nparta! Dajmy działać czasowi...

Wróciwszy do kancelarji, kazał zawołać Wacka i radził mu nie nalegać i nie nacierać, a wytrwać, nie siedzieć ciągle, ale przyjeżdżać często: — Panna ma dla ciebie skłonność skrupuły z czasem przejdą... Jakiś to będzie.

Idąc za radą Rewnowskiego. Paczura jak tylko mógł bezpiecznie jechać, pożegnał Muchomory, i ruszył do Zalesia, a najprzód do stryja, aby go uspokoić. Wiesz się bowiem była rozeszła o niedorzecznym pojedynku, nie z winy Wacka, ale kasztelanica, który o nim rozповідаł, nosząc dotąd rękę na temblaku... A że tam nie wiedzieć co opowiadano i w Bornsławicach i w Zalesiu, stryjowi winien był wypowiadać się, jak to było.

Czekał też na niego niespokojny ks. Paczura, zgryziony wielce. Oddziaływało to na jego zdrowie, nawet i na nogi był cierpiący. Hollowicz w tem ntrapieniu placu mu dotrzymywał i rozmowę bawił. Właśnie i teraz siedział z nim, gdy Wacek nadjechał. Stara Magdalena, wiedząc, jak proboszcz niecierpliwie wyczekuje Wacka, pierwsza przybiegła dać znać, że jedzie, za nią wpadł Mamert, nie wiedząc że ona go uprzedziła, naostatek głupi Bartoch, zdyszany, drzwi otworzył, głowę wściбіł i nic nie mówiąc, rozśmiał się na głos... Był pewien, że go proboszcz zrozumie.

Poprzedzony przez tylu posłów, nadjechał Wacek. Ks. Paczura stał w progu czekając, do uścisku gotów.

— Żeby cię Bóg kochał! i ciebie i Wicka, — zawołał proboszcz. Co tu pomoże i opieka Boska i stara-

nie ludzkie i szczęście, kiedy rozumu niema... Siadajże! A zbladłeś! Krwi ci ntoczyli...

Ksiądz z niepokojn i miłości nie wiedział sam, co ma mówić. Człł się w obowiązku dać moralną naukę...

— A bo — sam sobie winien jesteś!! Po co to kochanie... te amory! te imaginacje! po co! Zatrutowacie mi starość... No widzicie... widzicie! starostwo tacy łaskawi... i tego... O! mój Boże! mój Boże! — westchnął starowina.

— Kochany stryjn — rzekł Wacek. — ale ja bo się nie czuję do winy...

— A któż? ja winienem? — spytał ks. Paczura...

Błada twarz delikwenta już się nad nim więcej znęcać nie dopuściła, ksiądz rad był, że go widzi, i gderać nie myślał. Dopytywał tylko o pojedynek i rany, które, jak zapewniał Wacek, pogojone były.

Potem zajęto się podwieczorkiem. Dopiero po odjeździe Hołowicza, proboszcz zapytał:

— Cóż? — zenisz się — nie?

— Panna dotąd odmawia... mnszę czekać...

Spuścił głowę ks. Paczura i począł chodzić po izbie wzdłuż, z tyłu za sobą ciągnąc chustką.

— Ja ci tam nic nie będę gadał. — począł powoli. — bobys ty mnie nie zrozumiał, a gotówbys starego dziwakiem ogłosić — ale z temi waszemi miłościami dzisiejszemi, to czysta swawola. Ludzie się wszyscy kochać powinni; dziewczyna uczciwa, dobrych rodziców, pobożna, nie brzydka, powinna każda młodemu mężczyźnie przypaść do serca. Małżeństwo sakrament, nie traktament... Dalipan! hm! wam koniecznie bo tej jednej potrzeba, do której się fantazja czepia... Asindziej jak i Wicek moglibyście się dawno pożenić z uczciwemi dziewczętami, ale nie — chce się tej bo jednej, której dostać nie można! Co z wami robić!! Kara Boża!

Nie umiał Wacek co innego odpowiedzieć nad to, że się zenić nie chce...

— A to źle. — odparł ksiądz. — Żenić się potrzeba, aby nie broić, mówi Święty Paweł — ale w ożenieniu szukać nie zabawki, tylko obowiązku... Stary Testament przykazywał pilno młodemu ożenienie... Cóż? wagabundować po świecie? wzdychać do księżycy...

Ks. Paczma tak wypowiedziawszy swe przekonania, dosyć dla młodego niesmaczne. — przyszedł go uściskać, aby smrowy ton swych wymówek złagodzić stryjowskim pocałunkiem.

— Tak się to mówi — rzekł — z obowiązku kapłańskiego. — nie dzieci jesteście, rozum macie, róbcie, co wam się zda lepszem, byleście o Bogu nie zapominali. Ja, stary, wkrótce oczy zamknę... a radbym was widzieć już obu postawionych, jak należy i szczęśliwych...

Po skończonej rozmowie pojechał Wacek do Zalesia. Tu go znów wzięto na nowe konfessaty, ale starosta nie namawiał do niczego. dopominał się tylko, aby lasy objechać. Już mu donoszono, że tu i owdzie sąsiedzcy chłopci do lasów wpadali. Kazał naza-jutrz zaraz na konia siadać, a wieczorem dokumenta były do przepisywania. Starościna ledwie się doczekawszy, aby mąż skończył z Wackiem, zabrała go do siebie. Miała przeczucia, że tam jej wychowance tak dobrze. tak spokojnie. jak u niej być nie może. Musiał Wacek opowiadać, jak mieszka, jak ją kochają. i czy nie smutna. czy nie zmizerniała, czy ją głowa nie boli?

Sercem nie przybranej ale prawdziwej matki bolała nad oddaleniem Kostusi. Coraz nowe sypały się pytania. Musiał Wacek dwór opisywać. opowiadać o strukczaszyńie. o pannie Mickiej. o życiu. obyczajach, o sąsiedztwie. nawet o tem. jak tam jadano. i czy Kostusi nie szkodziło inne pożywienie. A wszystko się jej tam nie podobało...

Gdy późno już Wacek dokończył, starościna wzdychając rzekła, biorąc go za rękę:

— Nie może to być. abym ja tam nie dojechała... Waćpan mi będziesz towarzyszył... Ze starostą nad-

robie, aby mi koni dał i na kilka dni puścił... Tęskno mi do dziecka, które pan Bóg dał na to, abym się niem nie nacieszywszy, postradała... Choć pojedę, zobaczę. Nic asindziej nie mów. W dobrą chwilę wyrobię to u Jegomości...

Nie wiem, czy kto temu uwierzy — ale jest to najprawdziwszą prawdą, że status quo, jakieśmy opisali — trwało jeszcze lat około dziesiątka...

Panna Konstancja była już prawie starą panną, choć tego po niej widać nie było; wszyscy żyjący bohaterowie powieści naszej, postarzeliby po trosze i widzieć się to na nich dawało...

Wacek opalił się, schmurniał, dostał trochę marszczków na twarzy — kilka razy w rok przybywał do Muchomorów, bawił po dni kilka, panna go mile zawsze przyjmowała, a że natarczywym być poprzestał, chętnie z nim i długo rozmawiała, — ale gdy zagadnął o małżeństwo, główką tylko potrząsała. — Nie i nie!

Za każdą też bytnością jego zapytywała naprzód:

— Widział pan pana Wincentego?

Wacek, ten włożony na siebie obowiązek, widywania się kilka razy na rok z bratem, spełniał jak najpilniej. Jeździł do niego, bawił po dni kilka, polowali nad Bugiem, rozmawiali po całych nocach, a jak gdyby umówionego co między nimi już było, żaden o panie Konstancji ani wspominał.

Wicek prowadził takie życie, jak gdyby pragnął pracą i trudem nieustannym zabić w sobie uczucia,

i wspomnienia. Gospodarz był zagorzały, nudny, drobnotkowy i egzaltowany razem. Stał godzinami nad robotnikiem, gdy przyszła orka, chodził w ślad za plugiem, czasem zniecierpliwiony, brał sam w rękę sochę, albo radło, i pokazywał, jak się z rolą obchodzić powinno... Każdy posiew tak go zajmował gorąco, jakby dramat namiętnego widza... Co będzie ze wschodem ziarna? a nuż posucha? a nuż chłód? nuż się zaostrzy? nuż spóźni? nuż wybuja? a tu pogoda nigdy taka nie przyjdzie, jakiej się gospodarz spodziewa... Zeszły oziminy dobrze, ruń piękna... nadchodzi zima. Tu dopiero — co Pan Bóg da... Śnieg może paść na niezmarzłą ziemię — wyprzeje.

Przez całą zimę myśli się, co to wyjdzie z pod śniegów? Nareszcie skowronek zaśpiewał... Kotki na wierzbach, leszczyna kwitnie... Wiosna!! Złazą powoli skorupy śniegowe... czarno... Każdego dnia, co rana w pole się leci — zielenieje czy nie? W niektórych miejscach zboża ani znaku — odorywać czy nie? Czekać jeszcze? Siał na nowo? Później czy pójdą pogońce na rzadkiem życie? czy pszenicę skosić czy nie? Nuż wylegnie?

Dramat urodzaju rozwija się powoli. Posucha!! nieszczęście — moczy... liście żółknieją. A co będzie na kwiat? Nuż chłody, albo wiatry, i ulewy... Łada burza może sypnąć gradem... W jednej godzinie całego roku praca w niwecz idzie. Wreszcie wszystko się przetrwało... kłos nabrał, schyla się, złoci... Co to będzie we żniwa? Czy się to da zebrać sucho... A tu o robotnika trudno? Pszenica już w kopach, ale i w nich porosnąć może... Dwa, trzy dni słoty, i czapki zielenieją!! Zwieziono ją do stodoły? Jaki będzie wydatek? jakie ziarno? Dalej, jakie ceny? Czy sanę Bóg da na dostawę...

Wszystko to zarazem płacze się i miesza... Ledwie zebrane jedno, drugie się już sieje. — Serce trzeba dzielić między rolę a stodołą, między tokiem, a zagonem.

Podobne historie z sianem na łąkach, z jarzyną,

z ziarnem. Wydarło się kosztownie kawał pola z pod lasu. wykarczowało, wypaliło, posiało len albo proso. — ale czy one zapłacą robotnika?

Z koimi też jest czem się zatroskać. żeby tego parobcy nie pomarnowali, — z bydłem, aby się przezimowało, — z owcą, aby motylcy na moczarach nie dostała; naostatek z domową czeladzią, aby się ani do zbyt ku klóciła, ani nadto nie kochała.

Wicek, biorąc to wszystko do serca, zrobiwszy sobie z tego cel życia, nie miał i chwili odpoczynku... Zmęczony, potem spał jak kłoda, a obudziwszy się, musiał lecieć, bo tam już zawsze coś czekało na niego. Zimą — ba! była staroświecka gorzelenka, śmierzdząca, na której wódkę brzydką pędzono, i przy niej szopka, gdzie stały woliki domowe, które sprzedawały, gdy potłuściły. z zarobkiem. Trzeba więc było wstać do zacieru, wstać do rozdawania brahy, dopilnować, aby gdzie parobcy ognia nie zapuścili... a gdy z blaszanej rurki zardzewiałej poczęła kapać śmierzdząca siwucha, by jej zbyt nie podstawiano półkwartków defraudowanych.

Nie miał czasu Wicek próżnować, choć się zawsze kochał; w tej pracy utył tawet jak prosty parobek. Brat, który do lasu prawda jeździł, ale i na pokojach czasu wiele tracił, i był więcej do ludzi, miał Wickowi za złe, że tak się zakopał, zardzewiał, a od gospodarstwa nawet ruszać się nie chciał.

Ledwie raz w rok się wybrał z tenutą do starosty. a najwięcej dwa do stryja, któremu z leśnych produktów coś do spiżarni przywiózł: to rydzów fasieczkę, to miodu trochę, to serków, to masła... a nawet kaszy jaglanej. gdy się pięknie udała...

Skutkiem tej pracowitości i bardzo skromnego życia. Wicek ani się opatrzył, jak najuczciwiej w ciągu tych lat, znacznego się dorobił kapitaliku. Dziwiło go to samego i pytał się siebie czasem — na co mu się to przydać może? Odpowiedzieć było trudno — ale szło. więc szło i bez myśli się ciulało. — Niech to sobie będzie...

W pierwszym roku żywej duszy nie widywał Wicek, oprócz wołów swoich i koni, a parobków. Po-bożny jednak do kaplicy w Uściługu dojeżdżał, do ko-ściołka w Horodle, tu zwykle stawał w kącie, pomo-dlił się i z nikim nie zadając, odjeżdżał do domu...

Myśliwstwa wielkim miłośnikiem nie był, jed-nakże wilcy szkodę robili, a czasem zwierzyny za-żądał starosta, polowanie więc się urządzało. Jakoś drugiego czy trzeciego roku na jednym takim polo-waniu, które wypadło u samego skraju lasów, trzeba było wypadku, że się Wicek zetknął z innymi myśli-wymi z sąsiedztwa. Byli to panowie Myśłowscy, oj-ciec i syn, dzierżawcy też, od dawna dobra w sąsiedz-twie trzymający. Ci się bardzo pragnęli poznać z są-siadem, ale głoszone go dzikim, więc się mu nie narzu-cali. Tu nadarzyła się zręczność. Wicek uprzejmie ich powitał, zawiązała się rozmowa, naturalnie nie o czem innym, tylko o gospodarstwie... Myśłowscy mieli wód-kę i bigos, prosili na przekąskę. Przy śniadaniu za-wiązała się dobra znajomość. Stary Myśłowski, szlach-cic dawnej daty, ze wszystkimi przymiotami i wada-mi stanu. „jak mnie widzisz, tak mnie pisz“ — i serde-czny i przebiegły, otwarty i filut. — ale z kośćmi pocz-ciwy—uwziął się Wicka mieć przyjaciелеm. I on i syn tak jakoś chodzili koło niego, że go do siebie zaciąg-nęli. Choć na dzierżawie, Myśłowski żył niemal po pańsku. Dzierżawa była dobra, a oni lubili żyć i po-stawić się. Konie, stół, wino mieli wytworne... Gdy po raz pierwszy przybył tu Wicek, wyszła do obiadu pani Myśłowska z córeczką, mogącą mieć lat ze dwa-naście. Zobaczywszy ją, osłupiał Wicek... te same py-tające oczy czarne, też same miała długie ciemne war-kocze — była podobną, a raczej mu tak przypominała Kocie, gdy ją z bratem z za szpaleru po raz pierwszy widzieli,— że na widok jej, jakby mu młodość jego na-gle wróciła — o mało nie zapłakał... Przez cały czas oczyma wyrostka ją ścigał, a serce mu biło... Powagę miała też samą!!

Powróciwszy do domu, Wicek wmówił w siebie, że to była czysta imaginacja.

At! co na myśli, to się w oczach roi! Gdzie zaś! ani się umywała!

Splunął, otrząsł się i chciał zapomnieć. — Długo potem u Mysłowskich nie był, — chciał zapomnieć tego widziadła, wyrzucając sobie, że mógł być tak dziecinnym... Znowu wciągnęli go Mysłowscy. pojechał i — toż samo mu robiła wrażenie. Dzieweczka rosła i dojrzewała w oczach... Matka się nią cieszyła, a że córek więcej nie miała, już wyrostek, niby w domu gospodarzył... Kręciło się to i udawało gospośię, z kluczycami chodziło, a miało taką powagę i rozumek, że miło było na nią patrzeć.

Do Wicka kilka razy zagadała śmiało jak dziecko... O cudo! nawet głos jej przypominał niezapomnianą!!

Wickowi było i miło i przykro... Miał na sumieniu, że śmiał porównywać tę dziecinę jakąś, z tamtem bóstwem swoim. Wyrzucał to sobie jak apostazję i niewierność, lecz próżno walczył z sobą, — dziewczka go ciągnęła jak jakaś zagadka... Ale — dziecko to było...

W oczach jednak pana Wincentego z pączka wyrastał kwiatek, z dziecka robiła się dziewczeczka, panienka, panna...

Zaczęto już mówić w sąsiedztwie o pannie Zuzi Mysłowskiej. jako o ślicznej osobce, któraby nawet już i za mąż pójść mogła, choć matka się zaprzysięgała, że jej młodo nie wyda... Kawalerów już roіło się wielu... Zuzia na nich ani patrzyła... Gospośią była, dumną ze swoich kluczyków, a faworytką w domu... co jej tam było tak prędko iść za mąż!

Wicek, który zrazu rzadko bywał, a poznał ją dzieckiem niemal, oswcił się z nią wielce. Byli z sobą dobrymi przyjaciółmi, bez ceremonii. Ta przyjaźń taka stara, rosnąc, stawała się coraz trwalszą i mocniejszą. Wicek się zapominał na poufalej gawędce z panną, ona go lubiła. Najczęściej mówili z sobą i sprze-

czali się o coś gospodarskiego, o kury, o gołębie, o ogrodowinę. o motki, o takie prozaiczne rzeczy, że w tem sentymencie, między talki i marchew, nie sposób było pomieścić.

Ale spory odbywały się wesoło i zabawnie, Wicek słynął jako gospodarz. Zuzia miała pretensję być gospodynią, jakich mało... Rodzaj współzawodnictwa związał się między nimi. Ile razy przybył do Mysłowskich, wnet mu się chwalono z czemś. a on się popisjwał też z tem, co u niego się zrobiło.

Raz okrutna sprawa była o dynię, którą się Zuzia chwaliła, a która miała ważyć coś około trzydziestu funtów; Wicek ręczył, że u niego są większe i przywiózł w beczce takiego olbrzyma, że otrzymał zwycięstwo.

— Ale to pięknie, pięknie! że pan mnie dałeś harbuza! — cicho, żartem, szepnęła Zuzia...

Wicek się zaklął, że nie miał złej myśli. A! w istocie — marzyło mu się całe co innego tylko w sumieniu czuł się nieczystym, zdradzając miłość starą, pierwszą, najdroższą.

Czy państwu Mysłowskiemu przyszło kiedy na myśl, że z tej przyjaźni co więcej być może? — odgadnąć trudno.

Przyjmowali serdecznie sąsiada, ile razy przybywał, a dawano mu swobodę zabawiania się z przyjaciółką. najzupełniejszą. Zuzia chętnie bardzo. może chętniej niż do młodszych. wybiegała do pana Wincentego. aby się z nim pośmiać i pogawędzić. Różniła ją ta chwilowa wesołość od panny Konstancji. ale — ale — Wicek znajdował. że wesołość Zuzi do powagi Kostusi. jak dwie krople wody była podobną.

Mybysmy za to nie ręczyli — oczy jednak czarne miały wyraz ten sam głęboki, zadumany, pytający, niepokojący, i choć usta się śmiały i szczebiotały — one patrzyły uroczyście.

Gdy panna dorosła. Wicek uczuł się nieszczęśliwym, niespokojnym, jednym słowem zakochanym. Najgorzej było, iż mu się zdawało, że kochał zawsze tam-

tą. a tę w dodatku... że może ta miłość była jakąś fałszywą i niepocziwą.

Zaklął się więc po jednych odwiedzinach:—Więcej nie pojedę! — i nie był cztery miesiące. Kawał czasu.

Aż jednego dnia przybył Mysłowski stary sam.

Wicek w kożusku domowym był właśnie na oborze. wyszedł do niego jak stał..

— Panie Wincenty, a już też tego nadto. — rzekł Mysłowski,—czy się gniewasz, czyśmy cię urazili, nie wiedząc. co to jest u Boga? cztery okrągłe miesiące nie byliście u nas! a czy się to godzi!

Wicek się tłumaczył, że czasu nie miał. Mysłowski nie wierzył.

— Będę sądził. że chyba, dalipan, się gniewacie—odezwał się odjeżdżając Mysłowski,—jak u mnie pojutrze nie będziecie na obiedzie.

Wicek przyrzekł. że przyjedzie. Zadany gwałt był wcale na rękę... Pojechał.

Trafiło się, że na samym wstępie w pokoju, spotkała go jedna Zuzia.

— A! toż cud! — zawołała. — Pan! pan Wincenty! Oczom nie wierzę! Coż się pan przegniewał?

— Ja się nigdy nie gniewałem...

— I ani razu pan nie byłeś — czte-ry — mie-sią-cel! Poduiośła palce do góry — czte-ry mie-sią-cel!

Wicek tak był szczęśliwy z widzenia jej, iż zapomniiał się. za rączkę ją chwycił i — pocałował.

Pocałował? toby było nic... Wszyscy naówczas panie całowali w ręce — ale przyzwoicie, skromnie. a pan Wincenty porwał tę rączkę i cały zaczerwieniony, — jak zaczął całować... nie było temu końca... Byli sami. Panna ze strachu, czy coś. ręki mu nie wyrwała — całował, aż się zarumieniła jak wiśnia. aż ją strach wziął i serce jej bić zaczęło... Matka nadchodząca z wymówkami — trańta na to całowanie, i coby się miała pogniewać, podbiegła ku niemu radośnie...

— A! przecież pana oglądamy!

Zuzia ustąpiła, ale rzuciła okiem na Wicka i — dobiła go...

Co się z nim stało od tego momentu. nie wiadomo. Siadł przy Zuzi — i ani się ruszył od niej, zagadali się, zaczęli się śmiać... zapomnieli. nikt im nie przeszkadzał, i cały dzień do późna byli z sobą. — Mówili tylko o gospodarstwie — co zaś tam ich oczy gadały, tego, jak wiadomo, nikt nie może wytłómaczyć. prócz tego, do kogo to adresowane.

Dosyć, że gdy o szarej godzinie wyjeżdżał Wicek, panna mu szepnęła u progu:

— A niechże też bo pan całemi miesiącami o nas nie zapomina.

Jakoś we dwa potem miesiące. w Borusławicach zjawił się Wicek w porze, w której tam bywać nie zwykł. Niezmierną z tego miano radość — ks. Paczura niedomagający, aż się rozplakał. Znowu cały dwór. jaki jeszcze żył, i ruszał się, zbiegł oglądać panicza, choć on już wyglądał wcale nie po paniczowsku. Co najwięcej dziwiło proboszcza, że Wicek, co bywał zwykle chmurny i posępny, tym razem śmiał się i zacierał ręce, a wesołą miał twarz na podziw, i żartował sobie z Magdaleny, że za męża nie poszła... Nie było to w jego obyczaju. Z bryczki, faszeczek, kobiałek, koszyków, węzełków, nadobywano do spiżarni co niemiara...

Po obiedzie, na który teraz regularnie przyjeżdżał Hołłowicz, pod pozorem dotrzymywania kompanii proboszczowi. w istocie dla tego, że mu w domu dzieci dokuczały, — Wicek wziął na ustęp stryja do jego sypialni. i siedzieli tam, jak ciekawcy, a niecierpliwący się obrachował dzierżawca. blisko trzy kwadransy.

Z sypialnego pokoju. przedzielonego od sali komórką. niekiedy dochodziły głosy, które Hołłowicz usiłował podsłuchać i zrozumieć — ale, że mu się zbyt przybliżać nie wypadało, bo lada chwila mógł ktoś wejść i złapać go nauczynku, — tylko jakieś wykrzykniki wesołe chwytął — i śmiech ks. Paczury... to

znowu jak groch sypiące się gęsto wyrazy Wicka. opowiadającego żywo?

Co to mogły być za sekreta. do których on nie był przypuszczony, nie miał wyobrażenia dzierżawca... domysleć mu się było niepodobna. Wiedział jednak, że księżyna się przed nim z tem wygada. Urazę miał do Wicka, który go eliminował z tak zajmującej rozmowy.

Gdy wreszcie po tych trzech kwadransach wyszli znowu do wielkiej izby, ksiądz miał twarz rozjaśnioną. rozpromienioną, z jednego oka łza radości mu ciekła... a usta się widocznie uśmiechały. Jednakże siadłszy. zaczęli zaraz o czem innem mówić, i Hołłowicz przez punkt honoru nie zaczął.

Wicek miał jechać do pana starosty, i widzieć się nazajutrz z bratem,—lecz Wacek był w Muchomorach od tygodnia, i parę dni tam miał jeszcze zabawić.

Zastał tylko starego procesowicza, który w papierach się grzebał jak zwykle. Gdy mu o Wicku oznajmiono, zdziwił się. że gospodarstwa w gorący czas odjechał, zląkł się nawet. czy się tam co nie stało.

— Jak się masz asindziej! Pan Jezus przy Wasze-ci! Co tu robisz? To dopiero gość! Siadaj i praw, co wiesz. bo żeś nie darmo przybył, to pewna...

— Pan starosta zgadł.—odparł Wicek,—przyjechałem po błogosławieństwo!

— He? — spytał starosta. — po co?

— Po błogosławieństwo...

— Cóż to? przecież ci panna Konstancja z głowy wywietrzała? A to—winszuję.

— Przepraszam pana starostę. takuteńką drugą znalazłem...

— Żartuj zdrów!! — poważnie odparł Śniehota... — takie Kostusie na kamieniu nie rosną...

Wicek zaczął się tłumaczyć. opowiadać. słuchał starosta długo. wreszcie go za rękę chwycił: — A wiesz, co ja ci powiem?!

— Co każe starosta...

— Figła splełamy Wackowi. Asindziej wiesz, że panna Konstancja za niego nie szła. boś się ty w niej kochał... Supponuję tedy, że teraz, gdyś ty sobie dubeltową znalazł, ona już wyjdzie za Wacka, i pocziwy Wacek będzie szczęśliwy... Proś-że go ty na wesela nie mówiąc na co i dla czego.. podwoi niespodzianka radość!

Figiel pana starosty nadchodzącej pani zdał się niedobrym, ona i dla swej Kostusi i dla Wacka chciałyby była jak najprędzszego rozwiązania, starosta się uparł... Była tedy lukta długa, a że stary pan przy swych fantazjach stał i Wickowi za to rok dzierżawy chciał darować — trzeba było słuchać... Miał to w charakterze swym starosta. że i w procesach i w innych życia przygodach, figle i niespodzianki lubił. Nie oszczędzał ich i żonie — choć czasem więcej strachu, niż przyjemności przynosiły. Uparty był stary.... Cieszyło go to zawczasu... Zaraz chciał nawet słać do proboszcza, aby z sekretu nie wydawał, i zabiegał tak. że się po jego woli stać musiało.

Wicka odarzonego nazajutrz odprawił do domu.

Gdy z Muchomorów powrócił Wacek, dowiedział się o bytności brata, i przyszedł dopytywać, co go sprowadziło.

Starosta minę zrobił smutną.

— Żal mi go nieboraka. — rzekł, — niech to będzie między nami, ale tego roku noga mu się pośliznęła, i na dzierżawie stracił tak, że przyjechał się od tenuty wypraszać... co było robić? — musiałem mu defalkować...

— Ale czyż może być! — zawołał Wacek, — urodzaje były sliczne...

— Zachciałeś — grad powytlukał... Dużo w kopach porosło. On co zawsze bywało na samej pszenicy tyle zarabiał, i kopy nie miał suchej. Bydło mu na języki się pochorowało, owce zamotyliczone... Formalna klęska.

Zgryzł się Wacek mocno.

— Niech to będzie między nami. prosił mnie o sekret...

Trochę mając zapasu, chciał heroicznie bratu nim służyć Wacek, a że go był ulokował u starosty. odezwał się z tem. a Śniehota go zburczał.

— Dajże pokój—da on sobie rady... Nie masz się co z zapasów odzierać — ja mu już pomogę...

Niespokojny był Wacek, lecz że od brata wiadomości żadnej nie miał. a przycichło ztamtąd, czekał czy się nie odezwie.

W parę miesięcy potem. jakoś już jesienią późną, odebrał list od Wicka.

Pismo było jakoś niezrozumiałe. a tak się zdało niedorzeczne, że z niemi do starosty przyszedł...

— Co to tam za papier trzymasz? — spytał Śniehota.

— List od mojego brata—zebrał się nareszcie napisać, ale mu się czy w głowie pomieszało, — czy co takiego?

— Cóż on tam pisze? — Starosta spojrział z miną bardzo nasepioną,—a wiedział dobrze, co stało w liście.

Wacek ciągle ramionami zżymając i cudując się — począł czytać. W istocie. list był dziwaczny. Wicek zaklinał brata, aby dla bardzo ważnego interesu. znajdował się w Horodle na dzień i godzinę naznaczoną. Tak to było enigmatycznie ułożone. iż nie wiedzieć czego się domyslać. ale pojedynku najprędzej. Starosta. który list kazał sobie podać i sam go odczytał, był też tego zdania, że pewnie szło o wyzwanie na rękę.

— Otóż biedy napisał.—rzekł.—a nigdy się tego po nim nie spodziewał. Prawda, że żywy jest, ale ludziom nigdy nie daje powodu do zaczepki. z kądemu to przyszło? Hm—osobliwa rzecz.. A no—krew nie woda! i to po ludziach chodzi.

Wacek chciał się wybrać wcześniej, starosta go

nie puścił. Gdy do odjazdu przyszło, zawołał go do siebie. i uczynił mu tę uwagę, że choćby i o wybitą szło, należało garderobę wziąć najlepszą, bo potem zgoda i festyn nastąpić może, a gdyby i pogrzeb nawet, na który się ubrać pięknie należy.

Z niezmiernym niepokojem w duszy wyjechał Wacek. Starościnie go żal było, podszeptęłaby mu pewnie całą prawdę, ale męża się lękała, nie darowałaby jej tej zdrady... Stało się tak. iż na dzień naznaczony. a nawet i godzinę, stawił się Wacek. Zajeżdżał do karczmy, której gospodarza mu brat wypisał... Tu przyjęto go i wprowadzono do stancji, ale Żyd filut. namówiony, nie powiedział. o co chodziło, zapewnił tylko, iż pan Paczura wkrótce nadjedzie — z przyjaciółmi — i radził się ubrać.

Wszystko to tak było ciemne i niezrozumiałe. iż Wacka niecierpliwie zaczynało. Napadł na żyda, aby mu powiedział coś więcej, ten uciekł, ręcząc, że o niczem nie wie.

Już było około południa, gdy Wacek ubrawszy się jak od święta. z czapką na bakier, wyszedł przed karczmę. Zły był i żył się. Nie lubił sekretów, — miało to minę, że sobie z niego żartować chciało — nie lubiał też żartów...

Wtem groblą poczęły się ukazywać jadące powozy... Jeden. dwa — cztery — sześć, konie w kokardach. woźnice z bubietami przy kapeluszach... Zdumiał się. Wszystko to wprost potoczyło się przed kościół. Nie myśląc już wiele, czapki poprawiwszy, poszedł i Wacek. Zaledwie miał czas do parkanu się zbliżyć, gdy ujrzał brata wystrojonego z bukietem... po prawej stronie!!

Tuż w powozie drugim panna jechała w bieli, w wianku. z czarnemi oczyma... a! ale nie panna Konstancja. On nie znalazł w niej do tamtej żadnego podobieństwa...

Zaczęło mu się dopiero w głowie robić jaśniej. Brat się żenił! a! więc i on nareszcie rozwiązany był, a panna Konstancja już mu swej ręki odmówić nie mogła...

Zapomniawszy o wszystkim, rzucił się brata ściskać...

Łzy mu z oczu płynęły. Byłby ścisnął znajomych i nieznanych, tak mu się serce otworzyło szeroko, tak mu w piersi zrobiło się ciepło, taką radością zapłonęło w nim, od stóp do głów...

Więc powitania, radości wielkie i śmiechy... zaprowadził go Wicek do swej bogdanki i przedstawił, Zuzia z za łez dziewiczych spojrzała nań... Trzeba było iść do kościoła, bo już w nim organista marsza grał, aż się rozlegało. O! dziwny zbieg wspomnień... Marsz to był, którego niegdyś grywał Małachiewicz na organach w Borusławicach. a chłopcy nieraz, w niedostatku innej siły, lub przez swawolę, kalikowali do niego... Obu im na myśl wnet przyszły pierwsze owe lata... i Małachiewicza nauka i dzwony, pod którymi się wysypiał Bartoch i poczciwy Mamert i stara Magdalena. Jakież było zdziwienie Wacka, gdy z innymi wchodząc do drewnianego kościółka, w drzwiach zakrystji ujrzał ks. Paczurę, który czekał z agendką w ręku na państwa młodych...

Wszystko się odbyło jak najuroczyściej. a Wacek lzy miał na oczach—ślub ten był niejako własnym jęgo, od tak bardzo dawna upragnionym.

Gdyby był mógł, uściskawszy brata, puściłby się natychmiast do Muchomorów, aby pannie Konstancji oswobodzenie zwiastować. Po ślubie dla uspokojenia go, doniósł mu ks. Paczura, iż sama staroscina, tego dnia co on do Horodła, wybrała się do Rewnowskich, aby dobrą zwiastować nowinę.

Z kościoła wszyscy musieli ruszać do Mysłowskich, gdzie wesele przygotowane, a stary dzierzawca bardzo dbał o to, aby było suto i świetnie.

— Posag czy dam, czy nie, to sprawa inna ale żeby ludzie o weselu mojej córki jedynaczki lat kilka nie mieli co rozpowiadać—to nie może być! Jakem pocziw!

Sprowadził więc Mysłowski na to wesele i muzykę z Włodzimierza, i wino z Łucka, a nawet fajerwer-

kera od Lubomirskich, ażeby sztuczne ognie z cyframi wyprawili.

Moździerzy kilka pod oknami ustawiono. Kucharzy pięciu klóciło się, swarzyło, smażyło, popijało w knchni i masło łyżkami na ogień dla podsycania go ciskało. Kiedy hulać, to hulać...

Caluteńkie sąsiedztwo było zaproszone. a że na stoły nie stało miejsca w budynku mieszkalnym, uprzątnięto szope, umajono ją sośuiną i jedlinką, obwieszano wieńcami, z tarcic na przedce ułożono podłogę. i z niej naprzód jadalnię, potem balową salę uczyniono.

Mysłowski, gdy mu syn lub żona czynili uwagi, co to będzie kosztowało, odpowiadał:

— Niech kosztuje, co chce! musi być. — Córka jędnaczka... a Mysłowskiego stanie na to!

Trzy dni trwało owo wesele, a czwartego wyproszono się na przenosiny, gdzie znowu Wicek musiał wystąpić—choć skromniej daleko. Żona mu sama rozkazała, aby się nie ważył czynić zbytków. Mysłowski nie miał tego za złe, bo rad był zakasować nawet zięcia.

Zwykłym trybem odbywały się obrzędy przyjęcia... z chlebem i solą na domowym progu...

Przypadło Wackowi witać tu bratową, a przyjmował ją serdecznie, myśląc, jak jego Kostusie też w progu uowego domu, sędzina powita.

Dopełniwszy tego obowiązku, gdy i stary ks. Paczura, pobłogosławiwszy wszystkie kąty, śpieszył zmęczony do domu. Wacek z nim się zabrał, a ztamtąd już wprost nie do Zalesia, ale do Muchomorów, gdzie się spodziewał zastać staroscinę.

Stryja na probostwie wysadziwszy, na całą uoc ruszył Wacek, — serce mu się w piersi tłukło, a usta Bogu dziękowały Tyle lat oczekiwania. przestał się już być nawet spodziewać.

W Muchomorach... gdy wyskoczył z bryczki przed gankiem, tuż mu obie ręce nastawił do uścisku sędzia... Razem weszli do pokoju. Konstancja siedząca przy staroscinie, wstała zarumieniona, z uśmiechem

na ustach i—przebaczyli pewnie Wackowi wszyscy, iż do niej wprost poszedł i pierwszą ją przywitał. Całując rękę jej, czuł, jak drżała. Nie mówili słowa, słów nie było potrzeba.

Kolej przyszła na sędzinę uszczęśliwioną jak dziecię, szczebioczącą, śmiejącą się, na starość, potem na resztę towarzystwa.

— Mój mąż—to człowiek, co czasem dla figła gotów kogo nabawić choroby, — odezwiała się starościna. — ale się na niego nie gniewaj. On to wszystko tak ułożył! Aż mi waćpana żal było.

Wacek szczęśliwy przebaczyłby był naówczas najśroźszą urazę, a wiedział dobrze, iż starosta też za figła wynagrodzi. Śmiano się i opowiadano, jak nadjeżdżające wesele zdziwiło o niczem niewiedzącego brata. W spisku byli wszyscy, i niespodzianka zupełnie się powiodła. Sędzina ciekawa niezmiernie dopytywała się o młodą bratową, jak wyglądała, bo wieść już tu doszła, że miała być do panuy Konstancji podobną. Wacek protestował i zaprzeczał, a miał słuszość może.

Podobieństwo to upatrzone w dziewczęce, znikło w dorosłej panience, dopełniła go Wickowi wyobraźnia i tęsknota. O szumnem weselu mówił Wacek, lecz tylko dla tego, aby przeciw podobnemu protestować...

— A już to darnj, kochanie, — odezwał się sędzia, — raz się dziecko z domn daje — cichaczem je tak wyprawić, bez uroczystości należytej — to cygańska rzecz... Weselisko musi być, co się zowie... To darmo... A obyczaj stary! Tem się nie godzi pomiatać, jak zaczniemy wszystko przerabiać, nic nie zostanie...

Znaleźli się w pokoju wszyscy domownicy, oprócz w Bogu już odpoczywającej strukczaszy, która podobno grzybów nadto zjadłszy, ze światem się pożegnała, — oprócz starego o dwu kijach Rewuowskiego, który się z łóżka nie ruszał.

Hadziakiewicz witał Wacka radośnie, czując, że przy weselu, które się obiecywało, do nie jednej czupryny bezkarnie będzie mógł wziąć intromissję.

Nie opierała się więcej panna Konstancja. wesele naznaczono za parę tygodni, gdyż wszystko niemal doń gotowem było. Dom w drugiej wsi. który puszcza-
li młodym Rewnowscy, od dawna był odnowiony i urządzony; wyprawę sędzina od pierwszego roku rozpoczynając. coraz już tylko niepotrzebnemi dodat-
kami wzbogacała. Bielizna szlązka z Wrocławia dawno była sprowadzona. na suknie materje leżały, ku-
ny przewietrzano tylko, aby ich mole nie jadły...

Ks. Paczura też prosił o pośpiech:

-- Niech ja jeszcze Wackowi pobłogosławię, to już później oczy zamknę spokojnie.—a—wielki na to czas... Zmęczony jestem. podbity i do niczego nie-
zdatny. Z probostwa do kościoła ledwie dołączę, wikarym się trzeba wyręczać, summy odśpiewać tru-
dno,—po co się człowiek zdał na świat?

Stało się. jak sobie życzył ks. Paczura: dawał ślub i Wickowi, na który oboje starostwo a oprócz tego mnóstwo obywatelstwa zjechało. Starosta. nie chcąc ani spadkobiercom swym krzywdy uczynić, ani wychowalcowi okazać obojętności. puścił mu prawem dożywotniem wioskę dobrą, zapewniając jej trzyma-
nie dla obojga małżonków. — Wicek z żoną stawił się na ślub brata. a tu mogli wszyscy porównywać, kto chciał dwie panie, które tylko z pięknych mo-
że oczu były do siebie podobne. Zuzia żywszą nie-
równie będąc, śmiała się, biegła. dziecinną prawie wydając się przy poważnej Konstancji, której we-
selość nawet przybierała wyraz uroczysty. Pokocha-
ły się one. mimo tej pozornej charakterów różni-
cy, — jak siostry. od dnia pierwszego. — i miłość ta przetrwała potem lata długie, jak ta, co dzięki Konstancji. łączyła teraz obu braci rywali.

Tak się kończą proste te dzieje kilku serc i kil-
ku ludzi. innych. różnych bardzo od naszych czasów. Nie tylko powłoka i barwa zmieniły się dzisiaj. — podobni ludzie w położeniu jednakim. w naszym świeciecale inaczej postąpiliby sobie. Pobudki czy-
nów, sprężyny władzące, wszystko teraz z innego

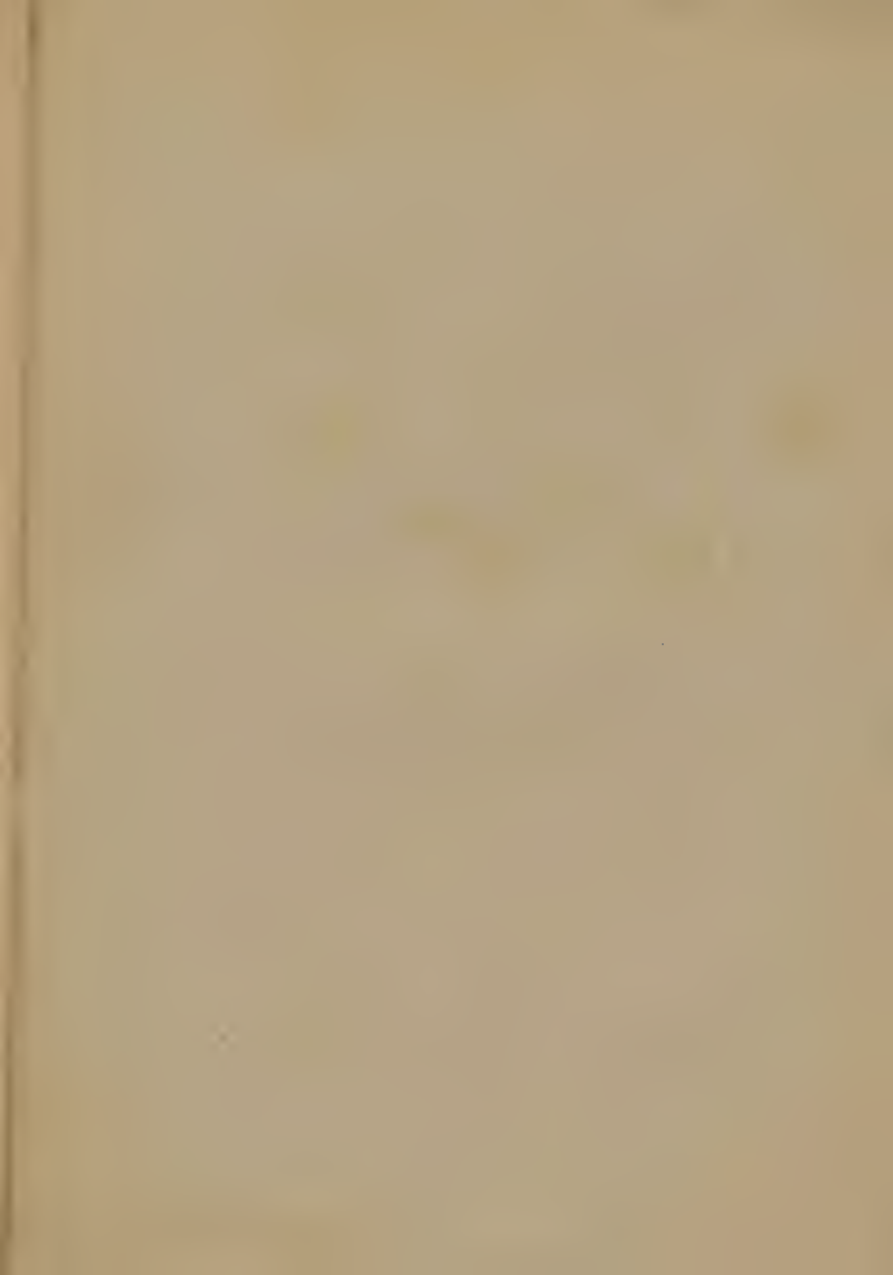
kruszcem, kształtem innym, nastrojone różnie. Gorzej? lepiej? któż to powie? Przez gorsze idzie się do lepszego, a dróg dziejów ludzkich sędzią jest Ten, co je wyznacza.

5 Września 1876 roku. Drezno.

K O N I E C.







WYBORU POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYDANIE TANIE)

Wychodzi rocznie 20 tomów.

PRENUMERATA WYNOŚI:

Rocznie (za 20 tomów)	Rs. 6 kop. —
„ „ „ „ z przesyłką	„ 7 „ —
Półrocznie (za 10 tomów) . . .	„ 3 „ —
„ „ „ „ z przesyłką	„ 3 „ 50
Kwartalnie (za 5 tomów) . . .	„ 1 „ 50
„ „ „ „ z przesyłką	„ 1 „ 75



WYSZŁE Z DRUKU TOMY ZAWIERAJĄ POWIEŚCI:

- | | | |
|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|--|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|
| 1. Boża opieka,
2. } W mętnej wodzle.
3. }
4. }
5. } Dzieci Wieku
6. }
7. Piękna Pani
8. }
9. } Powrót do Gniazda. | | 10. }
11. } Macocha
12. }
13. }
14. } Pałac i Folwark.
15. }
16. Na Cmentarzu, na Wulkanie.
17. „ „ i Papiery po Glince.
18. }
19. } Morituri.
20. }
21. Bracia Rywale. |
|--------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|--|----------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------------|

Biblioteka Raczyńskich

JK 618



JK0618